40. ROCZNICA ŚMIERCI KRÓLA POPU

Łysiak o Elvisie Presleyu – antykomuniście

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 33/235 14–20 SIERPNIA 2017

Czego Kaczyński nie powinien się uczyć od Orbána

ARTUR PARTYKA O KULISACH ZDOBYWANIA MEDALI

Czy Saakaszwili zostanie w Polsce?

KULISY NAGONKI

Jak media próbują zrobić z Macierewicza ruskiego agenta

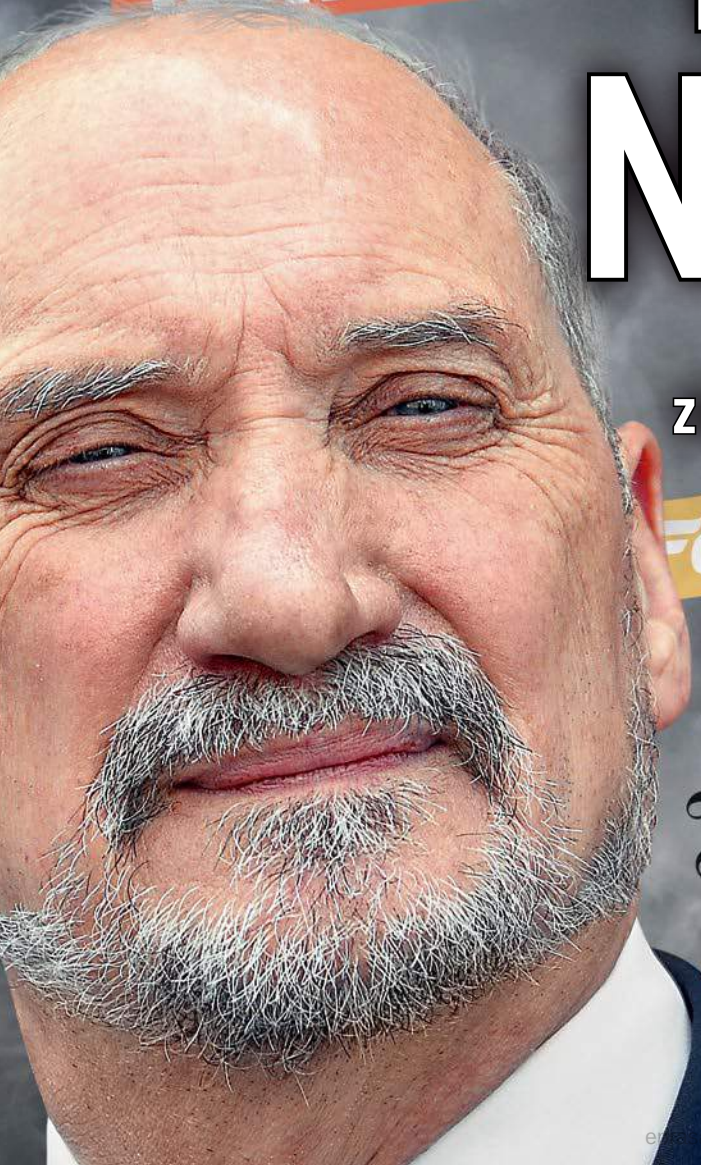

SPUTNIK
Newsweek POLSKA
Forward
DIE ZEIT
Deutschlandfunk
Frankfurter Allgemeine ZEITUNG FÜR DEUTSCHLAND
POLITYKA
GAZETA wyborcza

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 105 tys. egzemplarzy

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.
Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA

PATRONAT HONOROWY

SEJM
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

PARTNERZY STRATEGICZNI:

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY:

PGNiG

PARTNER WYDARZENIA:

LOTTO

MECENAS:

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/

eprasa.pl 990798051

Przeprosiny

Z uwagi na fakt, że w dniach 10 – 11 lipca 2014 roku, 25 lipca 2014 roku, 16 sierpnia 2014 roku, 19 i 20 sierpnia 2014 roku oraz w dniu 26 września 2014 roku w numerach 158. (859.), 159. (860.), 171. (872.), 189. (890.), 192. (893.) oraz 224. (925.) dziennika „Gazeta Polska Codziennie" zamieszczone zostały artykuły pt. „Komendant Policji – w tle podpalenie i narkotyki", „Komendant może stanąć przed sejmową speckomisją", „Szef policji grozi naszym dziennikarzom", „Komendant każe tłumaczyć się prokuratorowi", „Metoda na Sienkiewicza", „Podejrzany kolega komendanta na wolności" oraz „Zeznania obciążają komendanta Działoszyńskiego", które zostały oparte na nieprawdziwych i nierzetelnych informacjach na temat Pana Marka Działoszyńskiego – Komendanta Głównego Policji, a także jego syna Wojciecha Działoszyńskiego i które naruszyły dobre imię Pana Marka Działoszyńskiego oraz jego rodziny, a w konsekwencji naraziły Pana Marka Działoszyńskiego na utratę nieposzlakowanej opinii, niniejszym w imieniu spółki Forum S. A. w Warszawie, wydawcy dziennika „Gazeta Polska Codziennie", wyrażamy głębokie ubolewanie i przepraszamy Pana Marka Działoszyńskiego. Zarząd spółki Forum S.A., wydawcy dziennika „Gazeta Polska Codziennie"

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zwycięstwo konfederacji

Doprawdy dawno już nie widziałem tak zaskoczonych twarzy komentatorów jak w chwili, gdy dotarła do nich wieść o wynikach najnowszego sondażu preferencji politycznych. Otóż według badania przeprowadzonego przez IPSOS dla portalu OKO.press – zleceniodawca jest ważny, bo wyklucza podejrzenie o stronniczość – 40 proc. wyborców popiera obecnie Prawo i Sprawiedliwość. To najlepszy wynik od wyborów w październiku 2015 r. Jeszcze trochę i rządząca partia zdobędzie większość konstytucyjną. Ten sondażowy sukces jest tym bardziej wart podkreślenia, że w badaniach dramatycznie wypada opozycja. PO popiera 21 proc., a Nowoczesną – 6 proc. respondentów.

Tak, wiem doskonale, że jedno badanie niczego jeszcze oznaczać nie musi. A jednak w tym przypadku warto mu poświęcić więcej uwagi. Związani z opozycją komentatorzy, publicyści, eksperci, podobnie jak sami politycy, byli przekonani, że walka o sądownictwo będzie przełomem. Wreszcie udało nam się doprowadzić do protestów zwyczajnych ludzi – cieszyli się. Prąc do przyjęcia za wszelką cenę ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa i o Sądzie Najwyższym, Prawo i Sprawiedliwość samo ukręciło na siebie bicz – wierzyli. Nic dziwnego przeto, że sondaż spadł na nich jak grom z jasnego nieba.

Jak go zatem należy tłumaczyć? Zgłaszając dwa weta, prezydent Andrzej Duda ukradł opozycji cały show. Liderzy Platformy i Nowoczesnej byli absolutnie przekonani, że głosząc postulat „trzy razy weto", doprowadzą do polaryzacji całego elektoratu. Z jednej strony stanowczy zwolennicy PiS, z drugiej wszyscy pozostali. A ponieważ „wszyscy pozostali" to więcej niż wyborcy PiS, opozycji wreszcie udałoby się pokonać złą passę. Te plany pokrzyżował Andrzej Duda.

Po pierwsze, pokazał, że wbrew opowieściom totalnej opozycji obóz prawicowy to szersza konfederacja różnych grup i środowisk. Po drugie, udowodnił, że – znowu wbrew propagandzie – Polską nie rządzą fanaberie i kaprysy Naczelnika z Żoliborza, ale że w zbudowanym przez niego systemie władzy są też bezpieczniki. PiS to nie dobrze naoliwiona machina do realizacji jednostkowej woli, ale konfederacja, w której kiedy jedna grupa idzie za daleko, hamuje ją inna. A to daje poczucie bezpieczeństwa. Różnica zdań w obozie władzy zatem wcale nie musi być dla niej zabójcza.

Pozostaje jedynie pytanie: Jak bardzo może być ona głęboka i w jaki sposób należy prowadzić publicznie spory w obrębie prawicowego obozu? Jeśli miałoby się okazać, że każda różnica zdań jest traktowana jako przejaw zdrady lub spisku, to oczywiście doprowadzi to do osłabienia rządów PiS. Jeśli jednak uda się, jak to jest obecnie, utrzymywać jedność mimo napięcia i nawet publicznych polemik, to kolejne sondaże na pewno nie będą gorsze. ©℗

eprasa.pl 990798db5f

TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
OPERACJA „MACIEREWICZ"
Jak osłabić polskie wojsko

KRAJ

22 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ŁAPIŃSKIM
TO RÓŻNICA ZDAŃ, NIE KONFLIKT
Sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta: wymiar sprawiedliwości musi służyć Polakom

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
AKSAMITNA WROGOŚĆ

28 PIOTR SEMKA
BLEDNĄCE POJEDNANIE

32 ŁUKASZ WARZECHA
BUDAPESZT W WARSZAWIE?

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MISZA BEZ ZIEMI

36 MACIEJ PIECZYŃSKI
KIJÓW – WARSZAWA: TRUDNA SPRAWA

39 ROZMOWA Z DR. HAB. ANDRZEJEM BOBCEM
PUSZCZA JEST WIECZNA

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
JAK WYPRAĆ OSIEM MILIONÓW
„Ozark" – nowy serial Netflixa

47 ANDRZEJ HORUBAŁA
WYPISKI Z MÁRAIA

56 WALDEMAR ŁYSIAK
THE KING IS NOT DEAD – W 40. ROCZNICĘ ŚMIERCI ELVISA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

64 FILIP MEMCHES
PIS – MIĘDZY POPULIZMEM A ETOSEM
W jaką stronę zmierza władza

HISTORIA

68 DAMIAN CYGAN
GÓRALE HITLERA
Niemieckie marzenie o Tatrach

ŚWIAT

72 OLIVIER BAULT
DRUGA SZANSA
Marine Le Pen wróci do gry?

76 ADAM HLEBOWICZ
CZY LENIN ZAMIENI SIĘ W CZYNGIS-CHANA?

80 PIOTR ZYCHOWICZ
SZEWACH WEISS – MÓJ RODAK

81 SZEWACH WEISS
ATOMOWY SZANTAŻ REŻIMU

EKONOMIA

82 ŁUKASZ ZBORALSKI
ATOMOWO OPÓŹNIENI
Miliardy wydane, a elektrowni brak

84 ROZMOWA Z MACIEJEM STANECKIM
FASTRYGOWAĆ JUŻ SIĘ NIE DA

SPORT

88 ROZMOWA Z ARTUREM PARTYKĄ
INWESTUJMY TAM, GDZIE WYGRAMY
Dobry czas lekkiej atletyki w Polsce

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
LUKSUS Z DRUGIEJ RĘKI
Cenne marki dla wszystkich?

WAKACJE Z „DO RZECZY"

92 PIOTR SEMKA
EGER. ŚLADAMI ISTVÁNA DOBÓ
Miasto wina i papryki

FELIETONY:
SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (70), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (94), TYRMAND (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 990798db5f

eprasa.pl 990798db5f

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu jeden tylko materiał – fragment oświadczenia członków Ruchu Młodej Polski. Całość tekstu, jak też list, do którego odwołują się autorzy, na stronie: www.dorzeczy.pl.

Oświadczenie w sprawie „Oświadczenia środowiska Ruchu Młodej Polski"

My, niżej podpisani działacze i po części współzałożyciele nieistniejącego już od ponad 27 lat Ruchu Młodej Polski, wyrażamy swój sprzeciw wobec treści zawartych w „Oświadczeniu środowiska Ruchu Młodej Polski" z 25 lipca br., opublikowanym najpierw na łamach „Gazety Wyborczej", a następnie „Rzeczpospolitej". Już sam fakt, że grono złożone wprawdzie z wielu znaczących postaci, na czele z nieformalnym liderem RMP, Aleksandrem Hallem, przecież jednak nieodzwierciedlające całej palety środowisk regionalnych Ruchu, bo złożone głównie z gdańszczan, uznało za stosowne „wypożyczyć" sobie czcigodny „sztandar" RMP z „narodowego kościoła pamiątek", aby użyć go do celów doraźnych i wysoce kontrowersyjnych, budzi nasz niesmak.

Nade wszystko jednak sprzeciw nasz budzi jaskrawo stronnicze i politycznie – w naszej ocenie – błędne stanowisko zajęte przez Sygnatariuszy oświadczenia wobec konfliktu niebezpiecznie oscylującego wokół granicy wojny domowej, a może nawet i interwencji zewnętrznej, pomiędzy obozem rządzącym a nieprzejednaną opozycją. Zamiast uspokajać nastroje, Sygnatariusze, przyjmując bezkrytycznie slogany opozycji o dyktaturze i gwałceniu konstytucji, dolewają oliwy do ognia, a już twierdzenie o powrocie do „patologicznego modelu" z epoki PRL jest nie tylko demagogiczne, lecz także dowodzi poważnego osłabienia funkcji poznawczych.

Nie twierdzimy, że forsowany przez obóz rządzący model reformy ustroju i funkcjonowania sądownictwa jest bez zarzutu. Trudno jednak nie zauważyć, że Sygnatariusze oświadczenia w swojej ewaluacji ducha i litery owych ustaw poszli po linii najmniejszego intelektualnego oporu, przyjmując ryczałtem całą stosowaną przez opozycję retorykę demolatrii (ubóstwienia demokracji). To zaś stanowi konsekwencję zwrotu ideowego, jaki dokonał się w tej części środowiska młodopolskiego, które niemal pokrywa się z listą Sygnatariuszy oświadczenia, od 1989 roku. [...]

[...] Nie słyszeliśmy ich sprzeciwu wobec ataków na wiarę i Kościół katolicki, wobec okropnych bluźnierstw, których dopuszczają się pseudoartyści w publicznych przedstawieniach, wobec coraz bardziej natarczywej obecności i żądań seksualnych odmieńców, wobec zamachów na małżeństwo i rodzinę; nie widać ich też było w gronie obrońców życia nienarodzonych. Ale również i w kwestiach kluczowych dla polityki polskiej i praworządności nie dobiegał z tej strony żaden głos sprzeciwu wobec serwilizmu kolejnych ekip rządzących w stosunku do ośrodków zagranicznych, wobec bezkarności sprawców niezliczonych i gigantycznych afer III RP, od FOZZ do Amber Gold, wobec korupcji i degrengolady klasy rządzącej, osiągającej swoje apogeum w „państwie teoretycznym" poprzedniej ekipy, wobec zniesławiającej naród polski „pedagogiki wstydu" uprawianej przez krajowe i zagraniczne ośrodki imputujące nam odpowiedzialność za Holokaust. [...]

Dzisiaj Sygnatariusze oświadczenia [...] idą razem z „magnaterią" III RP, zagrożoną utratą swojego władztwa, przywilejów i bezkarności; z mediami polskojęzycznymi, ale pozostającymi w niepolskich rękach; z międzynarodowym miliarderem spekulantem, który dla ziszczenia utopii multikulturowego „społeczeństwa otwartego" wydał wojnę krajom Europy Środkowej, w tym Polsce, broniącym się przed zalaniem ich przez imigrantów innych cywilizacji, wiar i obyczajów.

My, niżej podpisani, niezależnie od naszego stosunku do obecnego rządu, jesteśmy katolikami, patriotami i konserwatystami. W starciu pomiędzy zanarchizowaną „partią nieporządku" i „partią zagranicy", dążącą do sparaliżowania państwa, a rządem, który to państwo reprezentuje, stajemy w obronie państwa, jego autorytetu władczego i niezawisłości.

Jacek Bartyzel, Marek Budzisz, Waldemar Flugel, Jolanta Domańska-Gruszka, Mirosław Gruszka, Marek Jurek, Bogusław Kiernicki, Małgorzata Lenczewska (z d. Litwińczuk), Tomasz Mysłek, Krzysztof Nowak, Marian Piłka, Marek Robak, Andrzej Ryba, Elżbieta Słowik (z d. Rogala), Igor Zbigniew Strzok, Piotr Szczudłowski, Piotr Szubarczyk, Wojciech Turek, Konrad Turzyński, Piotr Walerych, Paweł Witaszek, Antoni Wręga

4 sierpnia 2017 r.

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Jarosław Kałucki, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Łukasz Dejnarowicz/FORUM; oprac. graf. SUNDAY**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — FIRMA RODZINNA — POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży) reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nakład 105 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 990798db5f

Każdego dnia towarzyszymy ludziom w drodze do różnych celów.
Angażujemy się w działania na rzecz poprawy bezpieczeństwa i komfortu podróżowania. Wspieramy ratowników GOPR, dostarczając wysokiej jakości paliwo - niezawodne w ekstremalnych warunkach.

ORLEN Najbliżej

orlen.pl

eprasa.pl 990798db5f

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kaczyński znów zaskakuje

Lider PiS ogłosił 10 sierpnia, że miesięcznice smoleńskie potrwają do ósmej rocznicy tragedii. Ostatnia miesięcznica, 10 kwietnia 2018 r., będzie miała symboliczny numer „96". Decyzja ta skłania do trzech uwag.

Po pierwsze Jarosław Kaczyński pokazał, że potrafi wyczuwać wyczerpywanie się formuły miesięcznic. Ulubiona klisza opozycji to lider PiS jako twardogłowy dogmatyk targany najgorszymi emocjami związanymi ze Smoleńskiem.

Kaczyński zrozumiał, że spotkania żałobne nie mogą trwać w nieskończoność i wymyślił dla nich godny finał – odsłonięcie na Krakowskim Przedmieściu pomnika brata i osobnego pomnika wszystkich ofiar tragedii.

Zrozumiał też, że comiesięczne uroczystości dawały paliwo próbom blokady ze strony najbardziej radykalnej części opozycji. Tylko w wyniku profesjonalizmu, zdolności przewidywania i sprawności policji awanturnikom z Obywateli RP nie udało się jak dotąd zablokować przemarszów. Comiesięczne grodzenie jednego z najatrakcyjniejszych traktów stolicy też nie służyło jednak obecnej władzy. Kaczyński wybrał więc kontrolowane wygaszanie tradycji demonstracji, ale bez odwoływania ich z miesiąca na miesiąc. Można to zrobić godnie, a także roztropnie.

Po drugie właśnie teraz, gdy prezes rządzącej partii wyznaczył kres miesięcznic, warto przypomnieć, jak ważne one były dla utrzymania elementarnego poczucia godności rodzin ofiar i wszystkich tych, których oburzał sposób wyjaśniania sprawy przez Platformę. Dziś, gdy wiemy, jak traktowano zwłoki ofiar podczas składania ich do trumien, rozumiemy już, że to oburzenie miało podstawy. Miesięcznice były niezbędne dla morale zwolenników PiS wtedy, gdy Donald Tusk, Bronisław Komorowski czy prok. Seremet demonstrowali cynizm i arogancję. Uwagi w stylu „starość musi się wyszumieć", sprowadzające zarówno demonstracje ludzi zaangażowanych w pamięć o Smoleńsku, jak i ich adwersarzy z KOD do poziomu dwóch plemiennych grup walczących dla samej walki, były głęboko niesprawiedliwe. Ludzie, którzy z całej Polski przyjeżdżali i będą przyjeżdżać aż do kwietnia przyszłego roku do Warszawy, mieli i mają swoje uzasadnione postulaty oraz emocje. Nie wolno odbierać im sensu ich działań. Każdy obóz polityczny ma swoje rytuały i rzeczy uświęcone zbiorową pamięcią, co zresztą właśnie demonstruje obecna opozycja np. pod Sądem Najwyższym czy Sejmem. PiS miał prawo do pamięci smoleńskiej i w uprawniony sposób z niego korzystał.

Po trzecie wreszcie – obym się mylił – wyznaczenie daty kresu miesięcznic jako momentu odsłonięcia dwóch pomników związanych ze Smoleńskiem może skłonić opozycję do kolejnego sposobu upokorzenia Jarosława Kaczyńskiego. Walka zagończyków opozycji w stylu Pawła Kasprzaka może skupić się na blokowaniu budowy pomników. Nie jestem na tyle naiwny, by nie spodziewać się takich działań ze strony obozu opozycji. Mam nadzieję jedynie, że szukanie kolejnej awantury spotka się z powszechnym potępieniem zwykłych Polaków.

To, że siedem lat po swojej tragicznej śmierci Lech Kaczyński nie ma w swoim rodzinnym mieście, którego był zasłużonym prezydentem, pomnika, jest nienormalnością. I o tym warto wciąż mówić. Właśnie to jest moralnym skandalem, a nie barierki na Krakowskim Przedmieściu. ©℗

FOT. GETTY IMAGES

ATAK NA ŻOŁNIERZY

Sześciu żołnierzy zostało rannych, w tym dwóch ciężko, w Levallois-Perret pod Paryżem. W środę zostali zaatakowani przez 37-letniego mężczyznę, który wjechał w nich samochodem BMW. Udało mu się uciec, ale jeszcze tego samego dnia został postrzelony i zatrzymany na autostradzie w pobliżu Calais. Jak podało ABC News, zamachowiec to Algierczyk – Hamou Benlatreche. We Francji w związku z ciągłymi zamachami od 2015 r. obowiązuje stan wyjątkowy. ***(raw)*** ©℗

eprasa.pl 990798db5f

DZIĘKUJEMY NASZYM LEKKOATLETOM ZA SPORTOWE EMOCJE I GRATULUJEMY SUKCESÓW

ORLEN

Generalny Sponsor Polskiej Reprezentacji na Mistrzostwa Świata Londyn 2017

eprasa.pl 990798db5f

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Beton w szczelinie

Grzegorz Schetyna złożył w tym tygodniu parę ciekawych deklaracji. W jednym z wywiadów odpowiedział na przykład na pytanie, czy jeśli PO przegra w przyszłym roku wybory samorządowe, tak jak to coraz wyraźniej wróżą sondaże, to ustąpi z kierowania Platformą i da szansę komuś innemu.

„Opozycja totalna" od jesieni ma być „jeszcze bardziej totalna niż dotąd" i „jeszcze twardsza"

Odpowiedział mianowicie w tym duchu, że wybrano go szefem PO po to, aby doprowadził swą partię do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych w roku 2019, i z tej misji nikt go nie zwolni, choćby nie wiem jak próbował.

Kładzie to kres nadziejom liberalnych salonów na to, że uda im się wyłonić jakiegoś nowego lidera i zjednoczyć całą antypisowską opozycję w jeden wielki ruch na rzecz odzyskania władzy przez odstawione od niej elity. To znaczy, że kandydatów na takiego lidera jest już całe mrowie (możliwe, że swą wypowiedzią o potrzebie stworzenia nowej partii dołączyła do nich także Joanna Mucha), ale każdy z nich będzie musiał na „dzień dobry" zmierzyć się z dysponującym strukturami i kilkunastoma milionami dotacji budżetowej Schetyną, który plan zjednoczenia anty-PiS ma bardzo konkretny – on ułoży „wspólne" listy wyborcze PO, a kogo nie umieści, ten niech spada.

W innym wywiadzie lider PO wyjawił, na czym opiera swą wiarę w zwycięstwo. Otóż „minął najgorszy czas", kiedy władza była monolitem, bo wskutek weta prezydenta teraz pojawiła się w niej szczelina. I PO „wykorzysta tę szczelinę", wciskając się w nią i poszerzając ją. Tylko że jednocześnie w jeszcze innym wywiadzie Schetyna zapowiedział, że PO nie tylko nie wycofa się z formuły „opozycji totalnej", lecz przeciwnie – od jesieni będzie „jeszcze bardziej totalna niż dotąd" i „jeszcze twardsza". Jak zatem zamierza Schetyna być jeszcze twardszy niż dotąd w głoszeniu nieprzejednanej nienawiści zarówno do Jarosława Kaczyńskiego, rządu, jak i do prezydenta Dudy – a jednocześnie wciskać się w ewentualną szczelinę pomiędzy nimi? Będzie atakować i znieważać wszystkich za wszystko, licząc, że w ten sposób ich skłóci i część z nich pozyska?

Polityk ze Schetyny kiepski, ale jego wystąpienia publiczne… zupełnie jak z tą dziewczyną z kawału: „Ładna to ona nie jest, ale za to inteligentna też nie". ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Unia – učitel'ka tanca

Unijna Agencja Wykonawcza ds. Edukacji, Kultury i Sektora Audiowizualnego (EACEA) wyłożyła 200 tys. euro na zintegrowanie migrantów tańcem. Międzynarodowa grupa tancerzy związanych z Letnim Festiwalem w Bassano del Grappa uradziła, że zorganizuje przybyszom kurs tańca, a potem zaprosi ich do wspólnych występów przed publicznością. W projekt zaangażowała reżyserów, pisarzy, organizacje multi-kulti, a nawet naukowców. Wspólnej refleksji tego gremium nad taneczną integracją ma posłużyć międzynarodowe sympozjum. Jego owoce mają zostać zebrane w broszurze, która rozesłana będzie po świecie. Powstać ma też dotycząca migrantów instalacja artystyczna, która peregrynować będzie po krajach Unii.

Te idee wydrwigrosze przelali na papier w nienagannym brukselskim newspeaku, podlali słodkim sosem ideologicznym, a gmina Bassano del Grappa jako organizator festiwalu wysłała do Komisji Europejskiej pismo z prośbą o finansowanie. I kasę dla tancerzy wydarła. Mało tego, w Bassano w tym samym środowisku narodziła się inna myśl strzelista: opracowanie modelu formacji zawodowych tancerzy, który pomógłby rozwinąć nowe formy tanecznej narracji filozofii gender. I wydoili z Brukseli dalsze 31 tys. euro, choć wydawałoby się, że akurat w tym środowisku z narracją gender nie powinno być jakichś szczególnych problemów.

Unia najwyraźniej musi uważać taniec za panaceum na wszelkie nieszczęścia. Nie darmo szef KE Juncker, jak mówią mi koledzy z Brukseli, już od południa porusza się krokiem tanecznym. Zapewne w ramach walki z głodem Unia wysłała do Burkina Faso grupę belgijskich tancerzy. Tamtejsi głodni na pewno tańczyli z radości. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 990798db5f

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Prezydent ma mandat

Odwołanie przez prezydenta wręczenia nominacji generalskich, co tradycyjnie zawsze odbywało się 15 sierpnia, to tylko odpowiedź na systematyczne lekceważenie, postponowanie, atakowanie i dyskredytowanie głowy państwa przez szefa MON. Wszystko to działo się od dawna, rzecz jasna – po cichu. To, że opinia publiczna nie była tego świadoma, należy zaliczyć na plus Andrzejowi Dudzie. To on dbał, żeby – w imię dobra obozu władzy – te informacje nie stanowiły czołówek w mediach.

Postponowanie głowy państwa przez szefa MON odbywało się od dawna. Tylko po cichu

Minister Macierewicz od początku nie mógł zaakceptować ustanowionej konstytucją hierarchii, zgodnie z którą zwierzchnikiem sił zbrojnych RP jest prezydent, a nie minister. Nie mógł pogodzić się z tym, że Andrzej Duda zamierzał korzystać ze swoich uprawnień. Kancelaria Prezydenta była wielokrotnie stawiana przez MON przed faktami dokonanymi. Standardem stało się odcinanie prezydenta od informacji o obronności. Działając w ten sposób, Antoni Macierewicz wiedział, że stawia prezydenta w trudnej sytuacji. Andrzej Duda nie chciał ani nie mógł publicznie podważać spójności obozu władzy, skarżąc się na ministra obrony, choć w paru sytuacjach był tego bliski. Nie mógł też jednak pozwolić ministrowi na takie traktowanie najwyższego urzędu w państwie. Przedstawiając propozycje nominacji przed zaprezentowaniem nowej koncepcji dowodzenia, MON chciało znów postawić prezydenta przed faktem dokonanym. Na to Andrzej Duda nie mógł się godzić.

Jednym z głównych problemów obozu władzy jest to, że grupa polityków PiS – jak się wydaje, z Jarosławem Kaczyńskim włącznie – ma permanentny kłopot z prezydentem. Skoro już wygrał wybory (czego od niego nie oczekiwano), miał stać się potakującym dodatkiem do rządu. Prezydent jednak w końcu wyraźnie odmówił występowania w takiej roli. Spotkał się z odwetem środowisk bliskich Macierewiczowi, momentami tak absurdalnym jak insynuacje niektórych mediów, że jest otoczony byłymi współpracownikami WSI. Można by spytać: Jeśli faktycznie tak jest, to dlaczego te media dotąd milczały? Pytać nawet nie warto.

Jeśli którykolwiek z ministrów nie umie żyć z tym, że to prezydent jest pierwszą osobą w państwie, to powinien odejść z urzędu. Prezydent, wybrany w bezpośrednich wyborach, ma mocniejszy mandat niż oni wszyscy razem wzięci. ©℗

Jak Tiger okazał się zagubionym kotkiem

Patriotyzm i biznes mogą być połączeniem dobrym. Zwłaszcza gdy wykorzystuje się mocną „patriotyczną" koniunkturę. Przykładów w Polsce ostatnio nie brakuje – wymieńmy choćby firmę Red is Bad, która rozwinęła skrzydła, produkując odzież z patriotycznymi zdobieniami. Biznes na koszulkach z husarskimi skrzydłami czy wizerunkami żołnierzy wyklętych niektórych złości (głównie dziennikarzy liberalnych mediów oraz przeciwników PiS, dostrzegających w tym zbytnie upraszczanie patriotyzmu), ale nikogo nie obraża.

Okazało się, że gorsze jest to podejście w biznesie, dla którego nie istnieją świętości, lecz liczy się tylko poszerzanie świadomości marki przez figlarne skojarzenia i internetowe memy. Taka marketingowa zabawa zakończyła się właśnie nie mniejszym skandalem niż niedawna reklama wódki Żytniej, w której jako „śmieszną fotkę", mającą obrazować stan alkoholowego upojenia, wykorzystano fotografię ofiary stanu wojennego.

Wynajęta przez Maspex Wadowice (producenta napoju energetycznego Tiger) agencja PR-owska J. Walter Thompson Group od dawna prowadziła marketingowo śliską grę. Na profilu Instagram napoju zamieszczała np. na 15 czerwca grafikę z nagą kobietą na chmurce zatytułowaną „Boże Ciało", a na 10 kwietnia grafikę z mężczyzną lecącym na puszce zatytułowaną „Dzień lotnictwa". Zabawa doprowadziła do opublikowania wyjątkowo głupiego obrazka na rocznicę Powstania Warszawskiego z opisem: „Chrzanić to, co było. Ważne to, co będzie".

Prezes Maspex Wadowice przeprosił za to i podkreślał, że reklamowanie Tigera z założenia miało być kontrowersyjne, ale nie miało „przekraczać granicy przyzwoitości". Próbując wybrnąć z kryzysu wizerunkowego, firma przekazała 500 tys. zł na konto zbiórki „Pomoc dla Powstańców". ©℗

Łukasz Zboralski

eprasa.pl 990798db5f

PETARDA I HARDKOR

Małgorzata Rozenek i jej mąż Radosław Majdan dawkują informacje na temat swojego nowego show, który jest na razie owiany wielką tajemnicą. Perfekcyjna Pani Domu podkreśla jedynie, że program będzie robiony z dużym rozmachem, więc będzie murowany hit ramówki. – Jestem histeryczką i było parę takich sytuacji, gdy wydawało mi się, że to koniec, że nie zrobię nic więcej, ale jednak dawaliśmy radę. Jestem zdziwiona, że producenci i stacja wierzą, że damy radę zrobić to wszystko ja i Radosław – zdradza Małgorzata. – Mój nowy program będzie hardkorem. Dla mnie to przygoda życia. To będzie petarda – zachwala. Petarda to by była, gdyby choć na chwilę Małgorzata i Radosław dali od siebie odpocząć! Na taki hardkor jednak nie ma co liczyć.

PERFEKCYJNA MAMA

Lady Rozenek jest tak pochłonięta nowym programem, w którym bierze udział z Radosławem, że nie ma czasu ani głowy na nic innego. Chociaż – jak mówi – zawsze dba, by wygospodarować czas dla swoich synów: Stanisława i Tadeusza. Mówi, że szykuje właśnie synów do szkoły i zdąży ze szkolnymi wyprawkami. Przyznała też, że nowy rok szkolny będzie dla niej w tym roku wyjątkowo stresujący. Powód? – W tym roku Stanisław zmienia szkołę – zwierza się Rozenek. – Idzie do gimnazjum, będzie to dla niego nowe wyzwanie. Cieszymy się, ale czujemy niepokój – dodaje. Ciekawe, jaki niepokój poczuje, gdy się dowie, że miała miejsce reforma edukacji i jej syn nie idzie do gimnazjum, lecz do siódmej klasy.

BYĆ JAK EDZIA

Leszek Stanek, celebryta wylansowany dzięki programowi „Azja Express", postanowił spróbować swoich sił w branży muzycznej. Został piosenkarzem i wydał swój singiel. Stanek przyznaje, że lubi improwizować i to mu pomaga na scenie. – Jestem podobny w pewnych aspektach do Edyty Górniak, też notorycznie zapominam tekstów, tak emocjonalnie wczuwam się w pewne sytuacje, muzykę i publiczność, że czasami po prostu mam czarną dziurę – opowiada. – Dzięki umiejętności improwizacji często wymyślam teksty na poczekaniu – dodaje. Super, że Lenio ma te same wady co Edyta Górniak i się tym publicznie chwali. Z tym że Edzia oprócz licznych wad naprawdę potrafi śpiewać...

FOT. PAWEŁ GROMADA

ŚWIĘTE OBURZENIE

Media plotkarskie zatrzęsły się z oburzenia, że niejaki Piotr Głowacki, wiceprezes Młodzieży Wszechpolskiej, został jakimś tam dyrektorem w NBP. Czekamy cierpliwie, kiedy pudelki i inne kozaczki odkryją, że jeden z założycieli organizacji, na którą się tak oburzają, Giertych Roman, reprezentuje dziś prawnie samego prezydenta Europy, o innych politykach Platformy nie wspominając! Wtedy dopiero posypią się głosy oburzenia i obrzydzenia! Czy może nie?

CELEBRYTKI WALCZĄ O DEMOKRACJĘ

Wśród protestujących przed Pałacem Prezydenckim w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości znalazło się grono celebrytów, także tych młodszej generacji. Karolina Korwin-Piotrowska, naczelna recenzentka gwiazd polskiego show-biznesu, rozpływa się w zachwycie nad tym, jakie to przełomowe i wspaniałe. To zasadnicza zmiana po tym, jak niedawno stwierdziła, że „każdy może być gwiazdą, nawet pusty jak bęben".

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Teraz Korwin-Piotrowska przekonuje, że to właśnie obecność szafiarek Maffashion i Kasi Tusk sprawiła, iż w protestach wzięli udział młodzi ludzie.

– Coś się przełamało w polskim show-biznesie, oczywiście nie masowo, ale jest to jaskółka, która czyni wiosnę. Cieszę się, że Maffashion, Marta Dymek, Kasia Tusk i Internet się ruszył, że były posty, że one nie wytrzymały i ruszyły. Wiem, że niektórzy stracili fanów, ale rozumieją, że taka jest cena. Zawsze mówię, że sztuka się obroni, oni wrócą, bo cię kochają. Fajnie, że oni się za to zabrali, zaczynają mieć poczucie, że nie tylko ścianki, sukienki, eventy – ekscytuje się Korwin-Piotrowska. Nie chcemy smucić pani Karoliny, ale naszym zdaniem było dokładnie odwrotnie. Celebrytki po prostu uznały, że protesty to kolejny event, na którym trzeba się pokazać i wrzucić foty na Insta. Taka ścianka w plenerze. Chyba że ich naprawdę nie doceniamy, a tymczasem one bohatersko w przerwie między Fejsem a Snapchatem czytają ustawy o sądownictwie! ©℗

eprasa.pl 990798db5f

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zakończył się już niestety festiwal Wolnego Tego Kraju, czyli Woodstock. Of kors popieramy go całym sercem, nie wystarczyło nam jednak, jak co roku, odwagi, iżby na miejscu zobaczyć na własne oczy ten przykład kulturalnej rozrywki na poziomie.

Tym większa szkoda, iż w tym roku Woodstock odwiedzili posłowie Platformy. Straciliśmy więc kolejną możliwość, iżby ubogacić swoje wakacje spotkaniami ze Schetyną, z Budką czy Arłukowiczem. Żal, iż nie widzieliśmy, czy Schet pogował pod sceną, a Arłukowicz z Borysem brali udział w wielkiej błotnej kąpieli.

Jednocześnie oburzonym, iż to niby polityczna agitacja na apolitycznym festiwalu, przypominamy, iż w dobie realnego fashysmu nie ma zastosowania pojęcie „apolityczny" i promocja odpowiednich postaw oraz poglądów (of kors reprezentowana przez konkretną, bardzo odpowiednią partię) to obowiązek współczesnych prawdziwych osób stanu!!!111

Jeden z warszawskich ruchów miejskich domaga się zlikwidowania tzw. żółtych przycisków na przejściach dla pieszych. Jak bowiem słusznie zauważono, są one „jednym z przejawów dyskryminacji pieszych".

Zastanowiliśmy się nad tym i doszliśmy do wniosku, już pomijając argumentację warszawskich aktywistów, iż takich elementów dyskryminujących pieszych jest w miastach więcej:

– przejścia podziemne – którymi piesi mają się poruszać dla wygody samochodów, jest to zarazem także spychanie pieszych do podziemia nie tylko rzeczywistego, lecz także symbolicznego, iż miasta są dostosowane wyłącznie dla opresywnych samochodów: polonezów na gaz i powożących nimi wąsatych januszów;

– przejścia dla pieszych, tzw. zebry – dlaczego bowiem to piesi mają się dostosowywać do aut, a nie na odwrót??? Tworzenie specjalnie wyznaczonych stref, w których określona grupa może się poruszać – czy to nie jest fashysm? Może raczej zróbmy przejścia dla samochodów, iżby to one ustępowały pieszym pierwszeństwa? Już nie mówiąc o tym, iż zebra jest rasistowska i antropocentryczna, mamy także podejrzenia, iż nie jest wegańska;

– sygnalizacja świetlna – element dyskryminujący, iż znów pokazuje pieszym, kiedy mają stać, a kiedy iść. W fashystoffskim państwie nawet takie zachowania muszą być regulowane, a przeciesh każdy powinien mieć prawo wyboru, kiedy chce przejść przez jezdnię!

– chodniki – z jakiegoś powodu uznano, iż piesi muszą się poruszać odrębnymi odcinkami niż samochody i tramwaje. Zauważcie, iż najczęściej chodniki są na zewnątrz, a jezdnia jest wewnątrz drogi – to oczywista próba spychania pieszych na margines życia miasta i dobrze, iż istnieją ruchy miejskie, które się sprzeciwiają takim formom dyskryminacji!!!111

Pewnie słyszeliście o obywatelach Niemiec, którzy w Warszawie zdjęli z budynku flagę tego kraju i podeptali ją. Martwi nas ta agresja, ta eskalacja ofensywnego nacjonalizmu, która zmusza spadkobierców Goethego i Kanta do tego typu zachowań.

Mamy nadzieję, iż polskie władze obejmą tych zagubionych Niemców odpowiednią opieką, zapewnią im wsparcie psychologiczne i jakąś formę zadośćuczynienia, zaś prowodyrzy całej sytuacji zostaną zawezwani na pogawędkę dotyczącą fashysmu w przestrzeni publicznej. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 990798db5f

dwaj panowie g

A więc wojna! Prezydent Andrzej Sebastian odmówił wielkiemu hetmanowi koronnemu Antoniemu i napięcie sięga zenitu. To nie koniec. Słyszeliśmy od złych ludzi, którym oczywiście nie wierzymy, że to dopiero początek grillowania hetmana Antoniego. Nie ma takich złych stosunków, które nie mogłyby stać się jeszcze gorsze.

Już wyjaśniamy, czego ma dotyczyć grillowanie. Otóż prezydent Andrzej Sebastian ma pewne podejrzenia wobec oczka w głowie hetmana Antoniego, czyli Wojsk Obrony Terytorialnej. Podejrzenie dotyczy tego, czy aby nie jest to jeden wielki pic na wodę, fotomontaż i wioski potiomkinowskie. Tak czy inaczej, po starciu z Ziobrą prezydent został agentem Berlina. Teraz partyzanci wolnego słowa i rybacy prawdy obwołają go agentem Putina.

Z kolei pewien kolorowy zeitung usiłuje grillować Krzyśka Szczerskiego. Że jest niby nielojalny wobec Andrzeja Sebastiana, bo knuje z Kaczorem-Dyktatorem. Zabawne. Bo przy Nowogrodzkiej mówią, że Krzysiek jest nielojalny wobec Kaczora-Dyktatora, gdyż knuje z Andrzejem Sebastianem.

Uwielbiamy teorie spiskowe, więc podzielimy się najnowszą, lansowaną przez naszego zielonego brata Marka Sawickiego. Ów nabab peezelu rozpowiada, że prezydent Andrzej Sebastian oraz Kaczor-Dyktator działają w porozumieniu. Że weta oraz odmowa nominacji generalskich to temperowanie niegrzecznych i nad miarę rozbrykanych ministrów – Ziobry i Macierewicza – rączkami Andrzeja Sebastiana, od czego oczywiście oficjalnie Kaczor-Dyktator umywa rączki.

Podoba nam się ta teoria. Głównie z tego powodu, że jej prawdziwość oznaczałaby, że od paru tygodni wszystkie prawicowe ultrasy, żelaźniaki, partyzanci i rybacy, waląc w Dudę, tak naprawdę walą w Kaczora-Dyktatora. Czyż nie byłoby to piękne?

Dla odmiany co nieco z kancelarii premier Bełaty. Trafił tam wniosek posłów Peło Grzegorza Furgo (na którego wszyscy mówią „no to Frugo") oraz Nitrasa Sławomira (na którego już nikt nie mówi „Delfin"). Posłowie domagają się ujawnienia listy wydatków PZU na cele reklamowe. Jesteśmy podli, więc podejrzewamy, że chodzi o ustalenie, jak bardzo PZU prześladuje „Wyborczą" i TVN poprzez ich niefinansowanie.

Tymczasem w MSZ – popłoch, szaleństwo i panika. Wszystko przez reparacje wojenne. Nikt bowiem nie uprzedził wcześniej Srebrnego Lisa Dyplomacji, że zamierzamy wysądzić od Niemców kasiorę, więc w departamencie prawnym, który ma znaleźć na to odpowiednie kwity, zapanowała atmosfera jak na obrazach Hieronima Boscha.

Z frontu walki o sądownictwo. Na miejscu sędziów Sądu Najwyższego już zaczęlibyśmy się bać. W Prokuraturze Krajowej gruchnęła wieść, że na I prezesa SN szykowany jest Bogdan Święczkowski, obecny szef krajówki. Nas ta wiadomość cieszy, bo Święczkowski – zwany przez przyjaciół Bogusiem, a przez wrogów Godzillą – jest największym znanym nam prawnikiem. Przy czym są tacy, którzy utrzymują, że Boguś nie jest zdrobnieniem od „Bogdan", ale od „Bóg".

Mogą się pojawić zarzuty, że Boguś nigdy nie był sędzią. To prawda, ale Maria Gersdorf, zanim trafiła do SN, też wcześniej nie orzekała, tylko była radcą prawną w TVN. Na korzyść Gersdorf mógłby przemawiać fakt, że ma męża sędziego. Mógłby, gdyby nie to, że żona Bogusia też jest sędzią.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Pewnie zżera was ciekawość, kto zatem stanie na czele prokuratury. Jesteśmy specjalistami od zaspakajania, oczywiście ciekawości. Otóż na nowego krajowego i pierwszego po Ziobrze szykowany jest Dariusz Barski. Przez przyjaciół zwany Barrym.

To oznacza duże zmiany w firmie. Boguś słynie bowiem z zamiłowania do historii, ze szczególnym uwielbieniem dla hetmana Żółkiewskiego. W gabinecie ma nawet kopię Matejkowskich „Carów Szujskich przed Zygmuntem III", czyli obrazu zwanego również „Hołdem ruskim". Barry to z kolei miłośnik art déco i audiofil. Można się więc spodziewać, że gdy Barry zastąpi Bogusia, z gabinetu szefa krajówki przestaną dobiegać surmy bojowe i zgiełk bitewny, a zastąpią je dźwięki muzyki.

W całej tej układance jest tylko jeden haczyk: czy prezydent Andrzej Sebastian przystanie na kandydaturę Bogusia. Bo szorstka przyjaźń, jaka obecnie łączy osobę głowy państwa z ministrem sprawiedliwości (Zi) i prokuratorem generalnym (Zou) w jednej osobie (Zizou), dla nikogo nie jest tajemnicą.

Kolorowe gazety przydybały na plaży ministra Błaszczaka, którego szyję zdobił gustowny pomarańczowy ręczniczek. Doszło jednak do kontrowersji: Co właściwie czytał minister na leżaku? Zdaniem jednego tabloidu chodziło o gazety. Zdaniem drugiego – o raporty podwładnych z resortu. Poprosiliśmy więc Błaszczaka o wyjaśnienie. Okazało się, że czytał szkolną pracę córki.

Ponieważ nawet bardzo zdolna córka nie mogłaby zapewnić lektury na całe wakacje, indagowaliśmy dalej. Okazało się, że Błaszczak czytał też książkę Konopczyńskiego Władysława „Polska a Szwecja", bo rzeczpospolita szlachecka to jego konik. Szczególną uwagę ministra zwróciła opinia pewnego angielskiego posła, który podsumował Polaków słowami: „Wszyscy tu nienawidzą króla". Biorąc pod uwagę bieżącą sytuację polityczną, to niebezpieczny cytat.

À propos wakacji. Rysiek Petru i Aśka Schmidt zamiast na Maderę wybrali się do Chorwacji. Do Dubrownika. Słusznie. Tam przecież kręcono niejedną scenę z serialu „Gra o tron", a tron lidera opozycji to właśnie coś, o co Rysiek walczy. Nie wiemy tylko, czy zdaje sobie sprawę, jak kończą w tej grze najgłośniejsi pretendenci.

Długo zastanawialiśmy się nad tym, kto wymyślił wakacyjną akcję młodych posłów PeŁo „Platformą w piach" czy jakoś tak. Okazało się, że byli to sami młodzi posłowie PeŁo. Grzesiek nie miał z tym nic wspólnego. Młode wilczki już dawno ustaliły, że latem będą prześladować turystów, i teraz wprowadziły w życie swój plan. Jednak co mogło być inspiracją?

Mamy pewne podłe podejrzenie. Otóż dwa lata temu, kiedy Andrzej Sebastian był już prezydentem elektem, ale Zjednoczona Prawica nie wygrała jeszcze wyborów, na pomysł akcji plażowej wpadł Jarosław Gowin. Proponował on politykom Dobrej Zmiany spacery po piachu i rozdawanie jagodzianek. Przeważyła jednak opcja jagodziankosceptyczna i chyba dlatego prawica jednak wygrała wybory.

Wracając do Grześka Schetyny. Wzruszyła nas jego deklaracja, że w przypadku przegranej PeŁo w wyborach samorządowych nie poda się do dymisji, tylko poprowadzi partię do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych. Ma dobre wzorce – to właśnie deklarowała i zrobiła poprzednio Ewka Kopacz z Szydłowca. Liczymy, że Grzesiek powtórzy jej dokonania z podobnymi sukcesami.

Wakacje, wakacje. Ludziska latają tu i tam. W samolocie z Krakowa do Warszawy np. leciał ostatnio były minister sprawiedliwości Zbigniew Ćwiąkalski w towarzystwie czule wpatrzonej w niego o połowę młodszej uroczej blondynki. Są ludzie, którym służy życie w opozycji.

Jak lato, no to i taśmy. W związku z objawieniem się nieznanego dotąd urobku kelnerów odkryliśmy interesujące zjawisko. Obecne szychy PeŁo zaczęły podkreślać, że nie mają nic wspólnego z grupą zegarkową, a niektórzy nawet udowadniali to, informując, że nie noszą w ogóle zegarków. Na przykład Halicki Andrzej pokazał nam nadgarstki obu rąk.

I faktycznie, nigdzie nie było zegarka. Kostek u nóg nie sprawdzaliśmy.

W związku z zarejestrowaną na taśmach odważną deklaracją Radka Sknerusa Sikorskiego na temat Grześka Schetyny trwa ustalanie jego statusu w PeŁo. Wiceprzewodniczącym przestał być 26 lutego 2016 r., ale członkiem jest nadal. Tylko że – jak twierdzą niektóre wiewiórki – sam siebie w członkostwie zawiesił. Kluczowe wydaje się ustalenie, czy płaci składki na rzecz partii dowodzonej przez nienadającego się na premiera lwowskiego żulika bez charyzmy. Jak znamy życie, to nie płaci. Co sprawia, że jego przyszłość rysuje się jasno, a właściwie ciemno.

Na wszelki wypadek przypominamy słowa, którymi w 2007 r. Lutek Dorn żegnał Sikorskiego. Może lwowski żulik je wykorzysta? Gdy Sknerus zdradził, dowiedział się, że jest „przywiędłym ziółkiem" oraz że „to żadna strata, iż Radosław Sikorski odszedł z PiS", a hałas wokół tego to „dowód niewiary Platformy we własnych ludzi". Jak się okazuje, również Radek nie miał wiary w ludzi Platformy.

Kiedy skończą się wakacje, nadejdzie jak zwykle pora na Forum Ekonomiczne w Krynicy-Zdroju. Źli ludzie opowiadają, że człowiekiem roku zostanie tam ogłoszony nadpremier Mateusz Morawiecki, sławny syn słynnego ojca. Trochę nas smuci ta możliwość. Pamiętamy bowiem, że w roku 2015 człowiekiem roku został Jarosław Kaczyński. Uważamy, że powinien nim zostawać co roku. ©℗

eprasa.pl 990798db5f

Operacja „Macierewicz”

Wojciech Wybranowski

Szef polskiego resortu obrony narodowej stał się celem skoordynowanej międzynarodowej kampanii w wojnie informacyjnej, którą toczą m.in. Rosja, Niemcy i Francja. Stawka jest olbrzymia: chodzi o militarny układ sił i wpływów w zmieniającej się Europie

eprasa.pl 990798

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

Antoni Macierewicz jest antysemitą i skrajnym polskim nacjonalistą, marzącym o reparacjach wojennych, restytucjach i kto wie – może nawet o przesunięciu granicy na Odrze aż pod Berlin. Jest agentem Moskwy lub – w zależności od czytelniczego targetu – „kretem" Waszyngtonu. Chce wywołać wojnę z Rosją lub wręcz przeciwnie – właśnie zaatakował NATO, podbił Słowację, za chwilę rozbije Unię Europejską i zagrozi amerykańskim interesom. Katolicki fanatyk chodzący na smyczy ojca Tadeusza Rydzyka szykuje Polskę do wojny albo – w zależności od tego, kto pisze – właśnie ją rozbraja i wydaje państwo na pożarcie agresorom ze Wschodu. Po godzinach poluje na czarownice z komunistycznej bezpieki lub też, gdy ma taki kaprys, dla odmiany ochrania je parasolem władzy i służb specjalnych, które totalnie zniszczył, a jak już zniszczył, to sobie podporządkował. Bywa partyjnym aparatczykiem, tajnym generałem specbojówek kibolskich poprzebieranych w wojskowe mundury i biegających po puszczy z ręcznymi wyrzutniami przeciwpancernymi. Jest też ponadto ignorantem zależnym od lobbystów z Waszyngtonu i Nowego Jorku, ale ostatnio częściej figurantem Kremla powiązanym z groźnymi rosyjskimi gangsterami ukraińskiego pochodzenia, kolegą kolegów księgowego mafii, tajemniczą wtyką Władimira Putina i rosyjskiego GRU. I to wszystko w ciągu niespełna dwóch lat od wyborów parlamentarnych i objęcia stanowiska szefa polskiego Ministerstwa Obrony Narodowej.

Taki wizerunek Antoniego Macierewicza wyłania się z kilkuset często mocno podkoloryzowanych i naciąganych publikacji prasowych, telewizyjnych i internetowych na jego temat, które w ostatnich miesiącach pojawiły się w polskich i zagranicznych mediach: „Gazecie Wyborczej", „Newsweeku", „Polityce", a także kremlowskiej agencji informacyjnej Sputnik (ponad 300 artykułów), putinowskiej anglojęzycznej stacji propagandowej Russia Today, sztandarowych niemieckich mediach: „Frankfurter Allgemeine Zeitung", „Die Zeit", Deutschlandfunk (pierwszym programie publicznego Deutschlandradio), kilku lewicowych brytyjskich i francuskich gazetach, m.in. „Le Monde" i „The Guardian" czy magazynie „The Forward".

Co je łączy oprócz kreślenia teorii spiskowych, deprecjonujących szefa polskiego MON? Częstotliwość publikacji. Nasila się ona przy okazji ważnych z punktu widzenia polskiego bezpieczeństwa wydarzeń, m.in.: szczytu NATO w Warszawie, rozmów na temat baz NATO w Polsce, tworzenia Wojsk Obrony Terytorialnej, spotkania z prezydentem USA Donaldem Trumpem i rozmów z amerykańską administracją.

– Trudno przepracować wiele lat w mediach i tego zjawiska nie zauważyć – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Bernard Margueritte, wieloletni korespondent zachodnich mediów, prezes International Communications Forum. Znany publicysta z goryczą mówi, że postępujące nieformalne powiązania między lobbystami olbrzymich korporacji, służbami specjalnymi poszczególnych krajów i światem mediów sprawiły, że coraz częściej media stają się jedynie narzędziem w wojnie informacyjnej.

– Można oczywiście wyśmiewać teorie o „układzie", ale patrząc całościowo, trudno nie odnieść wrażenia, że bardzo często ma się do czynienia ze skoordynowaną akcją, wojną informacyjną służącą interesom wielkich korporacji i światowych mocarstw. To, co dzieje się w Polsce, to wierzchołek góry lodowej – dodaje francuski dziennikarz.

NIEWYGODNE ZBLIŻENIE Z USA?

Początek lipca, do Warszawy przyjeżdża prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump. Zaledwie kilka godzin przed oficjalnym spotkaniem szef polskiego MON Antoni Macierewicz informuje, że w nocy polski rząd podpisał z Amerykanami memorandum w sprawie sprzedaży Polsce systemu rakiet Patriot. Całość ma zostać zainstalowana w Polsce w ciągu 10 lat.

– Mieliśmy pewne sygnały, że możemy spodziewać się ostrego ataku strony niemieckiej. Nie wiedzieliśmy tylko, czego będzie dotyczyć uderzenie – mówi nam nasz informator, wysoki rangą pracownik Ministerstwa Obrony Narodowej. Kilka dni po wizycie Trumpa w Warszawie czołowa niemiecka gazeta „Frankfurter Allgemeine Zeitung" publikuje artykuł, w którym oskarża szefa polskiego resortu obrony i jego współpracowników o niewyjaśnione związki z rosyjskimi służbami i rosyjską mafią. Gazeta opiera się przede wszystkim na teoriach, które Tomasz Piątek, publicysta „Gazety Wyborczej", zawarł w swojej kuriozalnej książce „Macierewicz i jego tajemnice", zarzucającej szefowi MON powiązania z ludźmi rosyjskich służb i mafijnego półświatka. Zawarte w niej

eprasa.pl 990798db5f

niemające potwierdzenia w faktach teorie trafiają do polskich i zagranicznych mediów. Powiela je też korespondent „FAZ" Konrad Schuller, dziennikarz, który zasłynął wcześniej z określenia prezydenta Andrzeja Dudy mianem marionetki.

Schuller w artykule „Moskiewska wycieczka pana Kownackiego", w którym – opierając się na książce Piątka – dość jednoznacznie sugeruje powiązania Macierewicza z ludźmi rosyjskich służb. Pisze m.in., że szef MON „przez wiele lat otoczony był siecią prorosyjskich działaczy", jako przykład wskazując m.in. wiceministra w MON Bartosza Kownackiego. Niemiecka gazeta zamyka tekst stwierdzeniem: „Jeśli ten nieubłagany krytyk działań Moskwy jest otoczony przez doradców z rosyjskimi kontaktami, byłoby to zaskoczenie. Z drugiej strony wydaje się prawdopodobne, że antyradziecka linia rządu, do której Macierewicz należy, nie jest już użyteczna dla Władimira Putina" – twierdzi Schuller. Jego tezy znalazły swoje odbicie w publikacji lewicowego brytyjskiego „Guardiana". Warszawski korespondent gazety Christian Davies to syn prof. Normana Daviesa, cenionego historyka blisko związanego z „GW". Młody Davies na łamach „The Guardian", powołując się na teksty Schullera i książkę Piątka, pisze, że „rosną obawy, iż dominującą rolę w polskim establishmencie przejmują skrajni prawicowcy powiązani z Kremlem".

NIEMCY PONAD WSZYSTKO?

Kownacki w wydanym oświadczeniu zaprzeczył i zdementował informacje „FAZ", pisząc m.in.: „W wyborach w Rosji w roku 2012 uczestniczyłem jako obserwator zaproszony przez Sojusz Europejskich Ruchów Narodowych, organizację afiliowaną i finansowaną przez Parlament Europejski".

– To nie przypadek, że niemiecka prasa bezpodstawnie zaatakowała mnie w momencie podpisania przez Polskę kluczowego porozumienia z USA w sprawie nabycia systemu rakiet Patriot, co może mieć wpływ na interesy niemieckich firm obronnych – mówił wiceszef MON.

A „FAZ" poszedł za ciosem. Kilkanaście dni później w kolejnym artykule: „Inne oblicze nienawidzącego Moskwy" niemiecki dziennikarz napisał z bijącą z tekstu pewnością, że „Istnieją liczne powiązania otoczenia polskiego ministra obrony z Rosją". A także że – znów powołując się na książkę Piątka – Macierewicza, który „jest ministrem obrony narodowej

RT QUESTION MORE LIVE

News America UK Russian politics Business Sport Op-Edge In vision

Home / News /

New Poland defense minister in hot water over Jewish conspiracy theory

Published time: 13 Nov, 2015 14:30 Get short URL

Polish rightwing deputy Antoni Macierewicz © Marcin Obara / AFP

1.3K

The Anti-Defamation League, devoted to combating anti-Semitism, has called on the Polish government to revoke the appointment of Antoni Macierewicz as new defense minister over comments he made over a decade ago about an alleged Jewish conspiracy.

During a radio talk show in 2002, Macierewicz was asked what he thought of the Protocols of the Elders of Zion, a document which, historians believe, was forged in Tsarist Russia as a pretext for the persecution of Jews. Macierewicz replied that he had read them and found them "very interesting." Acknowledging that there was a dispute over their authenticity, he noted: *"Some say it's authentic, some say it's not. I am not a specialist. Experience shows that there are such groups in Jewish circles."*

The ADL national director, Jonathan Greenblatt, said earlier this week that even though Macierewicz's statement was

jednego z państw NATO, otacza siatka delikatnych nici, z których wiele zdaje się prowadzić do Rosji".

W międzyczasie zaś na portalu internetowym poczytnej u naszego zachodniego sąsiada gazety „Die Zeit", na specjalnym blogu poświęconym sytuacji w Polsce, prowadzonym przez dziennikarzy „Gazety Wyborczej", Michała Kokota, Bartosza Wielińskiego i Romana Imielskiego, ukazał się artykuł „Do trzech lat więzienia", w którym redaktor Imielski kolejny raz próbował przekonać czytelnika, że Piątek „ujawnił dziwne i dotąd nieznane powiązania Antoniego Macierewicza i jego ludzi z Władimirem Putinem i rosyjską mafią", a teraz może mieć kłopoty. Chodzi o to, że szef MON po publikacji pomawiającej go książki Piątka złożył w wojskowej prokuraturze zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa – znieważenia konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej. „Te absurdalne zarzuty nie są niczym więcej niż próbą zastraszenia Piątka" – przekonuje Imielski w tekście opublikowanym na blogu niemieckiej gazety.

M Europe

INTERNATIONAL EUROPE Européennes 2014 Allemagne Belgique Espagne Grèce Italie Royaume-

Pologne : les accointances russes d'un ministre-clé

Très antirusse, Antoni Macierewicz, chargé de la défense, est pourtant en lien avec des proches de Moscou.

LE MONDE | 18.07.2017 à 10h54 • Mis à jour le 18.07.2017 à 11h17 |

Par Jakub Iwaniuk (Varsovie, correspondance)

Abonnez-vous à partir de 1 € Réagir Ajouter Partager (196) Tweeter

Le ministre polonais de la défense, Antoni Macierewicz, manie la rhétorique antirusse avec verve et passe pour un des plus farouches opposants à la politique du Kremlin. Historiquement proche de la droite nationaliste et ultracatholique, M. Macierewicz s'est forgé une réputation controversée. Appuyé par le président du parti Droit et justice (PiS), Jarosław Kaczynski, il entend

Z kolei 27 lipca Deutschlandfunk, nawet nie próbując zachować pozorów rzetelności i bezstronności, zaatakował na swoim portalu polskiego szefa obrony narodowej. Pretekst? Ten sam – rzekome powiązania z Rosją i rosyjskimi służbami.

W tekście zatytułowanym „Tajemnice Antoniego Macierewicza" dziennikarz Martin Sander przekonuje, ze „polski minister obrony narodowej jest publicznie skrajnie antyrosyjski, tymczasem może być – jak twierdzi dziennikarz Tomasz Piątek – związany z tajnymi rosyjskimi służbami i mafią rosyjsko-amerykańską". Jest też ekspert, która ma potwierdzać wątpliwości i podejrzenia. To Anne Applebaum, przedstawiana tam jako specjalistka ds. Europy Wschodniej. Informację, że Applebaum jest żoną polityka opozycji Radosława Sikorskiego, osobiście skonfliktowanego z Macierewiczem, niemiecki dziennikarz przemilczał. „Nie jest niespodzianką, że Macierewicz ma bliskie kontakty z ludźmi, którzy pracują dla Rosji. [...] Ten rzekomo antyrosyjski rząd robi wszystko, co jest w interesie Rosji. Macierewicz zniszczył cały sztab generalny, kierownictwo polskiej armii zastąpił ludźmi, którzy są lojalni wobec niego osobiście, są to niezwykłe zmiany w interesie rządu rosyjskiego" – przytacza jej wypowiedź Deutschlandfunk.

Dziennikarz portalu niemieckiego radia próbuje też przekonać czytelników, że człowiek odpowiedzialny za polskie wojsko i współpracę z NATO jest psychicznie chory. Jak? Cytując wypowiedź bliżej nieznanej Julii Gali, przedstawianej jako warszawska psycholog, która twierdzi, że zastanawia się, czy Macierewicz ma „po kolei w głowie", „bo to, co mówi, jest oburzające, absurdalne, dalekie od rzeczywistości. To mnie dziwi" – cytuje Deutschlandfunk.

– Jeżeli nawet w poważnych zachodnich tytułach, takich jak „FAZ", pojawiają się niekiedy groteskowe, absurdalne informacje, których autorzy nie próbowali zweryfikować u źródła, skonfrontować ich z nami, sprawdzić, to zastanawiam się, czy nie chodzi po prostu o wywarcie pewnego rodzaju wpływu na opinię publiczną – mówi „Do Rzeczy" Tomasz Szatkowski, wiceminister obrony narodowej.

O co może toczyć się gra? W przypadku Niemiec stawką zapewne jest kwestia układu sił w NATO w Europie. Bliska współpraca militarna Polski i USA to ważny ruch. Polska, angażując się w struktury

eprasa.pl 990798db5f

Grupy Wyszehradzkiej i „montując" ideę Trójmorza, zabiega równocześnie o to, by to właśnie nasz kraj stał się jednym z ważniejszych państw, odgrywających przewodnią rolę w części natowskiego systemu bezpieczeństwa w Europie. Tymczasem Niemcy od kilku lat forsują własną koncepcję struktury sił NATO na Starym Kontynencie. Miałaby ona mieć formułę „państw ramowych", w której te tzw. państwa ramowe koordynowałyby działania całych grup mniejszych krajów w zakresie rozwoju konkretnych zdolności obronnych. Siłą rzeczy dominującą rolę w takim układzie odegrałby Berlin. Przy forsowaniu takiej koncepcji zbliżenie USA i Polski jest dla Niemiec mocno niewygodne. Tuż przed szczytem NATO w Warszawie w 2016 r. „Der Spiegel" przedstawiał Macierewicza jako rzekomego antysemitę, rusofoba ogarniętego chęcią zemsty za katastrofę smoleńską i polityka całkowicie niewiarygodnego dla Brukseli i rządów państw UE.

– Media stały się ważną bronią w wojnie informacyjnej. Tak grają wielkie międzynarodowe korporacje i ich lobbyści, rządy i służby poszczególnych państw, pilnujące własnych interesów. Nie ma się co temu dziwić ani o co obrażać, ważne, by państwo polskie umiało tę walkę podjąć, nie ulegać i wreszcie, by nieprzemyślanymi działaniami czy wypowiedziami polityków takiej amunicji nie dostarczało – zwraca uwagę gen. dr Roman Polko, były dowódca GROM.

Jak w praktyce to funkcjonuje, pokazuje reakcja francuskich mediów po wycofaniu się Polski z zakupu caracali. Większość gazet i portali nad Sekwaną krytykowała polski rząd i niemal jednogłośnie oskarżała o przerwanie rozmów stronę polską. Pojawiło się też wiele publikacji krytykujących samego Macierewicza. Na przykład Nicolas Gros-Verheyde, naczelny portalu Bruxelles2 i zarazem sprawozdawca państwowego francuskiego Instytutu Badań nad Obronnością, nagle oskarżył Macierewicza, że… miał uciec z odbywającego się miesiąc wcześniej spotkania ministrów obrony w Bratysławie, bo „nie chciał spotkać się z ministrem obrony Francji Jeanem-Yves'em Le Drianem [...]. To raczej nieeleganckie w przypadku kraju, który nie przestaje apelować o solidarność krajów NATO" – wytykał dziennikarz. W rzeczywistości powrót Macierewicza do Polski był związany z posiedzeniem rządu w sprawie ustawy budżetowej.

Z kolei poczytny, lewicowy dziennik „Le Monde" mocno podnosił sprawę rzekomych rosyjskich kontaktów Macierewicza, sugerując, że autor książki „Macierewicz i jego tajemnice" jest wręcz „dręczony przez polski rząd".

DZIWNA KOINCYDENCJA ZDARZEŃ

Antoni Macierewicz od lat jest politykiem budzącym duże emocje. Do ubiegłego roku jednak nawet najzagorzalsi przeciwnicy szefa MON nie próbowali kreować go na człowieka powiązanego z komunistycznymi czy rosyjskimi służbami, pozostającego w kręgu ludzi będących pod wpływem Kremla. Co ciekawe jednak – takie zarzuty i sugestie, podważające w oczach natowskich, zwłaszcza amerykańskich, sojuszników wiarygodność szefa polskiego wojska pojawiły się na krótko przed ubiegłorocznym szczytem NATO w Warszawie, gdy podczas poprzedzających go nieoficjal-

wyborcza.pl
KRAKÓW

Tomasz Piątek: "Macierewicz problemem dla Polski i Europy"

NAJCZĘŚCIEJ CZYTANE

nych narad i spotkań ważyły się kwestie rozmieszczenia i ewentualnego dalszego wzmocnienia sił NATO w Polsce.

Insynuacje o powiązaniach Macierewicza z ludźmi rosyjskich służb zaczęły się od publikacji Tomasza Piątka w „GW", w której „ujawniał on" znaną od lat i wielokrotnie opisywaną sprawę kontaktów Roberta Luśni, byłego bliskiego współpracownika Macierewicza, ze Służbą Bezpieczeństwa. Sprawa była wielokrotnie badana, wyjaśniana, a sam Macierewicz natychmiast po uznaniu Luśni przez sąd lustracyjny za współpracownika SB, usunął go z kierowanego wówczas przez siebie Ruchu Katolicko-Narodowego. Jednak historia ta znów zaczęła żyć własnym życiem. Platforma Obywatelska – wskazując na zbliżający się szczyt NATO – żądała zawieszenia Macierewicza, sugerując bliżej nieokreślone związki szefa MON z komunistycznymi, a więc rosyjskimi, służbami.

Ostry atak przypuściły też związane z opozycją „Gazeta Wyborcza", „Newsweek" i „Polityka". Były współpracownik komunistycznych służb, minister finansów z poparciem Lecha Wałęsy w rządzie Jana Olszewskiego i współzałożyciel PO Andrzej Olechowski na antenie TVN24 mówił, że niepokoi go „podejrzane zazębianie się środowiska politycznego ministra ze środowiskiem spenetrowanym przez rosyjskie służby specjalne". Burza w polskich mediach zwróciła co prawda uwagę gazet na Zachodzie, ale początkowe reakcje były stonowane. Warszawski szczyt NATO powszechnie uważano za udany, mówiono wręcz o polskim sukcesie i zwiększeniu naszego bezpieczeństwa. Emocje jednak szybko podgrzano, publikując na łamach „Gazety Wyborczej", a w ślad za nią w „Newsweeku" i „Polityce", a później zachodnich mediach, kolejne „rewelacje" Piątka rzekomo odkrywające powiązania Macierewicza z Rosją.

– Nasze wewnętrzne sprawy i spory zawsze były, również medialnie, rozgrywane przez siły zewnętrzne. To stała strategia, nie ma tu nic nowego – zwraca uwagę były wiceminister obrony narodowej, prof. Romuald Szeremietiew. On sam przed laty stracił stanowisko i został odsunięty od ważnych dla wojska przetargów po wielu nieprawdziwych – jak się okazało po latach – publikacjach oskarżających go o korupcję.

I TY ZOSTANIESZ ANTYSEMITĄ...

Jeszcze nie ucichły w Europie i Stanach dyskusje o stacjonowaniu wojsk NATO w Polsce, gdy Tomasz Piątek na łamach „Gazety Wyborczej" uderzył w Macierewicza pałką oskarżeń o antysemityzm. To jedno z najpoważniejszych oskarżeń dyskredytujących polityka, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. W lipcu 2016 r. „GW" opublikowała materiał „Antysemicki »Głos« Antoniego Macierewicza", w którym do niemieckich, antysemickich propagandówek z czasów Hitlera porównała żartobliwe, satyryczne rysunki nieżyjącego już wyśmienitego karykaturzysty Arkadiusza Gacparskiego celnie puentującego rzeczywistość lat 90., wyśmiewającego m.in. „Gazetę Wyborczą" i oskarżenia Polaków o antysemityzm oraz faszyzm. Kilka dni później te same oskarżenia Piątek powtórzył na łamach wpływowego w Stanach magazynu „The Forward". To periodyk popierający umiarkowanych socjalistów w USA,

eprasa.pl 990798db5f

ale cieszący się też uznaniem w środowisku finansjery i politycznych elit.

„Człowiek NATO w Polsce wydawał antysemicką gazetę" – krzyczał wielkimi tytułami tytuł na portalu periodyku, a Piątek sugerował w nim, że człowiek, który negocjuje z Amerykanami rozmieszczenie wojsk w Polsce i ściska dłoń przywódcom NATO, jest antysemitą, bo w wydawanym przez niego przed laty piśmie „Głos" zamieszczano np. artykuły, w których pisano o niewyjaśnionych do dziś przyczynach haniebnego pogromu kieleckiego, a także o roli Żydów w komunistycznym aparacie bezpieczeństwa w Polsce w drugiej połowie lat 40. i w latach 50.

Notabene to nie pierwsza próba przypięcia szefowi polskiego MON łatki antysemity. Krótko po wyborach w 2015 r., wygranych przez Prawo i Sprawiedliwość, lewicowy brytyjski „The Guardian" opublikował materiał autorstwa Rajeeva Syala, który w podobny sposób oskarżył Macierewicza. Dziennikarz nigdy wcześniej niezajmujący się Polską niespodziewanie powołał się na wywiad, którego Macierewicz 13 lat wcześniej udzielił Radiu Maryja. Według „Guardiana" szef MON pytany o antysemicką fałszywkę znaną jako „Protokoły mędrców Syjonu", opisującą rzekome żydowskie plany dominacji nad światem, miał – jak przekonuje gazeta – powiedzieć na antenie radiowej: „Doświadczenie pokazuje, że w kręgach żydowskich są takie grupy". To oczywista fałszywka – w rzeczywistości Macierewicz w wywiadzie dla katolickiej rozgłośni stanowczo podkreślał, że wspomniana broszurka to prowokacja carskiej ochrany, zauważał jednak, że można mieć zastrzeżenia co do roszczeniowo-agresywnego stosunku wobec Polski niektórych środowisk żydowskich.

Paszkwil „Guardiana" powtórzyła wówczas rosyjska anglojęzyczna stacja propagandowa Russia Today, zaczął go też wówczas kolportować w sieci rosyjski dziennikarz Leon Ragozin, współpracujący z zachodnimi mediami i często powielający narracje Kremla, a w ślad za nim Anne Applebaum, żona Sikorskiego.

ROSJANIE ZACIERAJĄ RĘCE

Prawdziwą burzę na Zachodzie wywołały jednak dopiero pojawiające się w polskich mediach i powtarzane przede wszystkim przez lewicowe tytuły w Europie oskarżenia Macierewicza o rosyjskie powiązania. Uderza w nich to, że ich autorzy powielają spiskowe teorie Tomasza Piątka – w najmniejszy sposób nie próbując ich weryfikować.

„Czy polski minister obrony jest podwójnym rosyjskim agentem" – pytała Josephine Huetlin w tytule artykułu umieszczonego 31 lipca w amerykańskim portalu The Daily Beast. Dziennikarka, znana z lewicowych sympatii, własnego śledztwa nie przeprowadziła, ale stawia jednoznacznie mocne tezy. To jedna z najbardziej absurdalnych publikacji, z jaką się zetknęliśmy, czytając setki materiałów poświęconych Macierewiczowi. Autorka nazywa Macierewicza skrajnym nacjonalistą i insynuuje czytelnie powiązania z rosyjską agenturą. „W świecie ukształtowanym przez spisek KGB ludzie

ZEIT ONLINE

Politik Gesellschaft Wirtschaft Kultur Wissen Digital Campus Karriere Entdecken Sport ZEITmagazin mehr

Polen

Bis zu drei Jahre Gefängnis

Tomasz Piątek wirft dem polnischen Verteidigungsminister vor, geheime Kontakte nach Russland zu haben. Der Minister geht auf ungewöhnliche Art gegen den Journalisten vor.

Von Michał Kokot, Paweł Wroński, Bartosz T. Wielinski und Roman Imielski, Warschau

10. Dezember 2016, 10:11 Uhr / Aktualisiert am 14. Juli 2017, 16:10 Uhr / 3.364 Kommentare

już pojęli, że superpatrioci są w rzeczywistości agentami prowokatorami, a ci, którzy atakują zdrajców, sami się nimi okazują" – pisze młoda dziennikarka. Sporo uwagi poświęca też tworzonej przez Macierewicza formacji Wojsk Obrony Terytorialnej: „Inicjatywa ta zaczęła już rekrutować członków rosnącej liczby nieformalnych grup paramilitarnych w kraju. Jeśli ich członkowie przyłączą się do obrony terytorialnej, dostają karabiny, ale nie przechodzą pełnego szkolenia wojskowego. W przeciwieństwie do regularnej armii trudno jest przewidzieć, w jaki sposób nowa obrona terytorialna zareaguje w przypadku zamieszek lub innych niepokojów cywilnych – co pewnie się zdarzy" – twierdzi autorka.

Generał Roman Polko, którego trudno uznać za sympatyka Antoniego Macierewicza, zwraca uwagę, że zdarzały się sytuacje, gdy oskarżenia o rosyjskie powiązania były generowane przez rosyjskie służby specjalne. – Rosjanie świetnie potrafią grać oskarżeniami o współpracę z nimi samymi. To jeden z elementów wojny propagandowej, który wykorzystują, widać to doskonale choćby na przykładzie ataków medialnych, jakim dzisiaj są poddawani ludzie Trumpa – mówi Polko. Niedawno szczegółowo takie działania rosyjskich służb – w kontekście amerykańskim – opisał dziennikarz „The New York Times" Daniel Hoffman, w artykule porównując ją z „serem w pułapce na myszy". Chodzi o taktykę podrzucenia pozornego „kompromatu".

Czy podobna operacja dotyczy również Macierewicza? Trudno powiedzieć, ale nie ulega wątpliwości, że dla rosyjskich władz i służb Antoni Macierewicz jest postacią szczególnie niewygodną. Przeprowadzona przez niego i jego ludzi likwidacja WSI i stworzenie zamiast nich Służby Wywiadu Wojskowego i Służby Kontrwywiadu Wojskowego w znacznym stopniu oczyściła polskie służby specjalne z ludzi powiązanych z Moskwą i kremlowskimi służbami. W dodatku minister realizuje plan wzmacniania polskiej armii. „Programy modernizacji wojskowej uruchamiane w Polsce robią wrażenie" – donosił niedawno jeden z czołowych rosyjskich portali Lenta.ru, którego redakcję trudno podejrzewać o propolskie sympatie. Komentator tej e-gazety dodawał również, że Polska jest: „niewątpliwym liderem Europy Wschodniej, który teraz demonstruje również ambicje wojskowo-polityczne", mającym także szansę, by stać się głównym w regionie partnerem USA.

Rosyjskie media, zwłaszcza bezpośrednio powiązane z Kremlem, np. Russia Today i Sputnik, Macierewiczowi poświęcają bardzo wiele miejsca. „Pan Antoni pcha NATO do wojny" – alarmowała rosyjska propagandówka po szczycie NATO w Warszawie. „Ci, którzy nie byli grzeczni wobec PiS, mają się czego bać" – pisał Sputnik o decyzji Macierewicza powołującej Wojsk Obrony Terytorialnej. „Panie Macierewicz, wybieramy się na Psków, czy od razu myślimy o Moskwie?" – szydził z kolei, gdy szef MON mówił o potrzebie zwiększenia liczebności polskiej armii, by dla odmiany w innym miejscu oskarżyć go o demontaż armii.

Tylko w kremlowskim Sputniku do dziś opublikowano ponad 300 materiałów poświęconych Macierewiczowi. Biorąc pod uwagę, że to połowa kadencji, śmiało można spodziewać się co najmniej podwojenia tej liczby.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

PRZEPRASZAMY

PRODUCENT NAPOJU
TIGER

eprasa.pl 990798db5f

Z Krzysztofem Łapińskim, sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta
rozmawia Kamila Baranowska

To różnica zdań, nie konflikt

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

KAMILA BARANOWSKA: Na jakim etapie są ustawy o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa, które obiecał przedstawić prezydent Andrzej Duda?

KRZYSZTOF ŁAPIŃSKI: Pan prezydent zapowiedział, że będą gotowe za dwa miesiące. Proszę o cierpliwość.

Kto konkretnie jest odpowiedzialny za przygotowanie nowych projektów i czego możemy się po nich spodziewać – drobnej korekty ustaw przygotowanych przez PiS czy całkiem nowych pomysłów?

To będą projekty prezydenckie, więc ich kierunki i cele zostaną wytyczone przez pana prezydenta i nikogo innego. Natomiast co do szczegółów, to naprawdę proszę o cierpliwość i danie szansy na to, by w spokoju opracować całość przepisów, które są zbyt ważne, by ujawniać jakieś pojedyncze zapisy, które zaraz zaczną żyć własnym życiem. Byłoby to przedwczesne i niepotrzebne. I tak już za dużo mieliśmy zamieszania wokół zmian w sądownictwie, więc teraz niech te prace toczą się w spokoju.

Prezydent nie ma łatwego zadania – cokolwiek przygotuje, zawsze ktoś będzie niezadowolony, albo środowiska sędziowskie, które nie chcą radykalnych zmian, albo PiS, który chce rewolucji. „Zmiany kosmetyczne nie znajdą poparcia dobrej zmiany, bo nie mają sensu" – zapowiada już minister Zbigniew Ziobro.

Jedyną grupą, którą musi i chce usatysfakcjonować prezydent, są obywatele. Trzeba stworzyć takie projekty, by wymiar sprawiedliwości służył Polakom. Jeśli ktoś z tego tytułu będzie niezadowolony, to trudno, ale myślę, że najważniejsze jest, by to Polacy dobrze ocenili te zmiany i uwierzyli, że doprowadzą one do lepszego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości – bardziej sprawnego i sprawiedliwego, opartego na wysokich standardach etycznych i merytorycznych.

Polacy są podzieleni w ocenie wet pana prezydenta. Zwłaszcza ci, którzy głosowali na Andrzeja Dudę i PiS.

Prezydent od początku miał świadomość, że decyzja, którą podejmuje, jest trudna i odpowiedzialna i że przynajmniej w początkowej fazie nie wszyscy ją będą dobrze oceniać i jej przyklasną. Jestem jednak przekonany, że z biegiem czasu ci, którzy dziś krytykują prezydenta, sami przekonają się, że prezydent postąpił słusznie. Urząd prezydenta zobowiązuje czasami do podejmowania decyzji odważnych z pełną świadomością, że czasem można na tym coś stracić.

eprasa.pl 990798db5f

Zbigniew Ziobro uważa, że prezydent uległ naciskom ulicy. „Ton kapitulanctwa tylko zachęca do kolejnych protestów" – przestrzega.

Pan prezydent podjął tę decyzję przede wszystkim po analizie merytorycznej ustaw, które do niego trafiły, a nie pod wpływem tego, co się działo na ulicach. Podjął ją po licznych konsultacjach, pytając o zdanie wielu osób, w tym np. pani Zofii Romaszewskiej. Decyzja prezydenta spotkała się z licznymi głosami poparcia, np. byłego premiera, mec. Jana Olszewskiego. Ważny był też głos poparcia abp. Gądeckiego, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Oczywiście prezydent nie mógł nie widzieć, że te przepisy budzą sprzeciw części społeczeństwa i ogromne emocje, ale to nie była przyczyna jego decyzji. Weto było dlatego, że ustawy zawierały mankamenty, o których pan prezydent mówił. Dlatego postanowił przygotować projekty, które tych mankamentów nie będą zawierały, a prace sejmowe nad nimi będą toczone w spokojnej, przejrzystej atmosferze, dzięki czemu emocje społeczne wokół nich nie będą już tak gorące. Wymiar sprawiedliwości wymaga wielu zmian, ale trzeba je przeprowadzać z chirurgiczną precyzją tak, by społeczeństwo miało przekonanie, że to są dobre zmiany, które mają służyć ludziom, a nie jakiejkolwiek partii.

Prezydent, podejmując decyzję o wetach, nie miał żadnych wątpliwości, że postępuje słusznie, czy raczej było tak, że wahał się do ostatniej chwili?

Prezydent mówił, że podjął ją w poczuciu odpowiedzialności i nie dlatego, że chciał storpedować reformę, ale by była ona przeprowadzona lepiej, sprawniej, skuteczniej. Dlatego od razu była jasna zapowiedź, że chce szybko przygotować własne projekty ustaw, które będą reformować wymiar sprawiedliwości. Jeśli ustawy pojawiły się w 20. miesiącu rządzenia obecnego rządu, a prezydent zapowiedział, że już w 22. miesiącu będą gotowe nowe projekty, to trudno mówić o jakimś nagłym zatrzymaniu reformy czy odłożeniu jej ad Kalendas Graecas. Co najwyżej nastąpi jej kilkutygodniowe przesunięcie.

To zależy od tego, co znajdzie się w prezydenckich projektach i co z nimi zrobi większość parlamentarna. Trochę można już wyczytać z uzasadnienia prezydenta do zawetowanych ustaw. Jedna z uwag na temat ustawy o Sądzie Najwyższym dotyczy zbyt dużych kompetencji ministra sprawiedliwości.

Prezydent w swoim uzasadnieniu odnosił się nie do konkretnej osoby, personalnie do obecnego ministra sprawiedliwości, lecz w ogóle do faktu, że minister, który jest jednocześnie prokuratorem generalnym, dostaje zbyt duże uprawnienia bez względu na to, kto jest nim teraz i kto nim będzie za pięć czy dziesięć lat.

Minister Ziobro chyba odebrał to inaczej i odpowiedział serią ostrych wywiadów, w których skrytykował prezydenta. Wygląda to na otwartą wojnę.

My żyjemy przyszłością, czyli pracą nad projektami ustaw. Nie ma co rozpamiętywać tego, co kto powiedział, trzeba patrzeć do przodu. Tu nie ma miejsca na marudzenie.

Mówi pan jak Jarosław Kaczyński, który w TV Trwam co prawda stwierdził, że prezydent popełnił „bardzo poważny błąd", ale dodał, że „na tym trzeba skończyć, myśleć, jak z tego wyjść" i „iść dalej razem".

Pojawiła się pewna różnica zdań, ale nie jest tak, że mamy konflikt czy wręcz stoimy na krawędzi rozłamu, jak wieszczą niektórzy, niekoniecznie sprzyjający nam komentatorzy. Takie kategorie do opisu tej sytuacji są całkiem nieadekwatne. W każdej sytuacji politycznej w ostatnich kilkunastu latach zdarzało się, że czasami prezydent podejmował decyzję, która niekoniecznie była zgodna z linią obozu sprawującego władzę, ale nie oznaczało to od razu rozłamu. Tak jak w rodzinie – zawsze może się zdarzyć jakaś różnica zdań, ale rodzina pozostaje rodziną.

Czyli rozwodu nie będzie?

(śmiech) Nic na to nie wskazuje.

Nie ma co jednak udawać, że sporu czy konfliktu nie było i nie ma.

Nie nazwałbym tego konfliktem, po prostu czasami emocje były zbyt duże. Te emocje zostały już ostudzone.

Powróciły za to emocje na linii prezydent – Antoni Macierewicz. Dlaczego 15 sierpnia nie będzie nominacji generalskich, o które wnioskował szef MON?

Trwają prace nad nowym systemem kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP, i prezydent Andrzej Duda uznał, że najpierw powinny się one zakończyć.

Niektórzy twierdzą, że to zemsta za ostentacyjne lekceważenie prezydenta przez szefa MON i za to, że Antoni Macierewicz pozbawił doradzającego prezydentowi gen. Jarosława Kraszewskiego dostępu do informacji niejawnych.

Nadawanie stopni wojskowych to konstytucyjne uprawnienie prezydenta. Ci, którzy tak twierdzą, powinni przyjąć do wiadomości, że taka jest konstytucja.

Trudno podejrzewać, że ministrowie Ziobro czy Macierewicz, otwarcie uderzając w prezydenta, działają bez cichego przyzwolenia Nowogrodzkiej. Jak wyglądają dziś relacje prezydenta Andrzeja Dudy z liderem PiS Jarosławem Kaczyńskim?

Nie widzę oznak, by relacje prezydenta z najważniejszymi osobami obozu rządzącego nie były dobre. Wiem, że media lubują się w szukaniu newsa, że jest kłótnia, wojna, że coś pękło, że już nigdy nie będzie tak, jak było. Jednak polityka to coś znacznie poważniejszego niż tego typu jednodniowe newsy.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że nastąpiło duże ochłodzenie w relacji prezydent – PiS.

Myślę, że zarówno strona rządowa, jak i Pałac Prezydencki zdają sobie sprawę, że do prawdziwego zmieniania Polski potrzebna jest zgodna współpraca dwóch ośrodków. Rozpoczynając kampanię wyborczą w 2015 r., mieliśmy świadomość, że potrzebne są dwa zwycięstwa, że jeśli będzie tylko jedno – prezydenckie, to bardzo dobrze, ale do pełni szczęścia potrzebne jest także to drugie – parlamentarne. Tylko wtedy można realizować program i zmieniać Polskę, jeśli prezydent i rząd patrzą i idą w jednym kierunku. Stąd to zwycięstwo było czymś wyczekiwanym i bardzo pozytywnym z punktu widzenia państwa. Warto o tym pamiętać, że ta jedność jest wartością i nie są nam potrzebne żadne niesnaski i spory.

Pytanie, czy dzisiaj rząd i prezydent patrzą w tym samym kierunku, bo słuchając niedawnego orędzia pani premier i pana prezydenta, można było mieć co do tego wątpliwości.

Co do pryncypiów nie ma rozbieżności. Patrzą w tym samym kierunku.

Skoro jest tak dobrze, to skąd pogłoski o tym, że PiS mógłby wystawić w wyborach prezydenckich innego kandydata niż Andrzej Duda?

eprasa.pl 990798db5f

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wybory są dopiero za trzy lata i rozważania dzisiaj, która partia kogo wystawi, są naprawdę mocno przedwczesne. Zwłaszcza że większość tych spekulacji, które dziś słyszymy, to są jakieś anonimowe wypowiedzi anonimowych polityków, które brzmią atrakcyjnie medialnie, ale zwykle na koniec niewiele z tego zostaje. Prezydent jest skupiony na tym, by dobrze wypełniać swoje zadanie, misję, jaką powierzyli w wyborach 2015 r. Andrzejowi Dudzie Polacy. Gdyby prezydent był zakładnikiem tego, że ma wybory za parę lat, i ciągle myślał wyłącznie tymi kategoriami, to pewnie nie miałby czasu na poważne i odpowiedzialne sprawowanie swojego urzędu.

Mijają właśnie dwa lata, odkąd Andrzej Duda objął urząd. Niektórzy twierdzą, że weta w sprawie sądownictwa to moment przełomowy tej prezydentury, nie wiadomo tylko, w którą stronę.

Wszyscy skupiają się na ostatnich wetach, zupełnie zapominając, że w ciągu tych dwóch lat prezydent podpisał ponad 450 ustaw, większość wpłynęła z obecnego rządu i często dotyczyła fundamentalnych zmian dla Polski – jak program „500+". W zdecydowanej większości spraw obóz rządzący miał wsparcie prezydenta i to nie jest tak, że to wsparcie zostało wycofane. Nie jest tak, że prezydent wetuje ustawy dla samego wetowania czy dla statystyki. Po prostu w tym wypadku prezydent uznał, że lepiej przygotuje te dwie ustawy.

Spekuluje się o tym, że wokół prezydenta może powstać nowy ruch, może nawet zalążek przyszłej partii – konserwatywnej, ale mniej radykalnej niż PiS.

Prezydent nie po to, obejmując swój urząd, rezygnuje z członkostwa w partii politycznej (co zresztą nakazuje mu konstytucja), żeby będąc prezydentem, budować jakąś nową siłę polityczną. Zaprzeczałoby to idei prezydentury, która ma być czymś, co łączy, a nie dzieli.

Jakie są zatem priorytety Pałacu Prezydenckiego na nadchodzące trzy lata, które zostały do wyborów?

Dokonaliśmy właśnie podsumowania tych dwóch lat, które minęły, pokazywaliśmy obszary, w których prezydent był aktywny i w których zapewne będzie aktywny nadal – to polityka zagraniczna i bezpieczeństwo, budowanie tożsamości, polityka historyczna, stały kontakt z Polakami. Jeśli chodzi o najbliższą perspektywę, czyli przyszły rok, to wybijają się na pierwszy plan dwie sprawy – referendum konstytucyjne, ten temat wróci zaraz po wakacjach, oraz obchody stulecia niepodległości, które powinny stać się okazją do odbudowania wspólnoty, co dziś tak bardzo jest nam potrzebne.

Czy w obecnej napiętej sytuacji referendum konstytucyjne to nie jest pomysł skazany na porażkę? Do jego przeprowadzenia potrzebna jest zgoda większości parlamentarnej, a z tym może być różnie.

Gdy Andrzej Duda startował w wyborach prezydenckich, też mówiono, że ta kandydatura jest skazana na porażkę. Warto więc być ostrożnym w stawianiu takich tez. Prezydent wystąpił z ważną ofertą do Polaków, ale także do różnych sił politycznych, społecznych, że warto po 20 latach od uchwalenia konstytucji porozmawiać o kształcie nowej konstytucji i o nowym ustroju. Moment jest bardzo dobry – symboliczna data, czyli rocznica odzyskania niepodległości, oraz fakt, że po 20 latach funkcjonowania jak na dłoni widać, co w konstytucji się sprawdziło, a gdzie są niespójności, luki i co należałoby poprawić. Dlatego warto o tym rozmawiać, ale na spokojnie, nie w ciągu jednego tygodnia czy jednego posiedzenia Sejmu, i do takiej wielkiej dyskusji społecznej chce zachęcić pan prezydent.

Po wakacjach oprócz dyskusji o sądach i referendum konstytucyjnym może nas czekać także dyskusja o mediach, bo PiS zapowiada ustawę dekoncentracyjną. Czy jest oczekiwanie, by ten projekt – budzący już dziś duże emocje – był z prezydentem wcześniej konsultowany?

Komunikacja w każdej sprawie jest bardzo ważna i powiem jedno: warto rozmawiać. Rzeczywiście sama zapowiedź ustawy dekoncentracyjnej wzbudza spore emocje, podnoszone są argumenty o zamachu na wolność mediów, choć nikt jeszcze tego projektu nie widział, bo go nie ma. Dobrze byłoby wyciągnąć wnioski z tego, co się wydarzyło, i napisać po prostu dobrą ustawę i procedować ją w sposób, który nie budzi żadnych wątpliwości, taki, który nikomu nie da do ręki argumentu, że coś jest robione po cichu, po kryjomu, na szybko, a więc z góry jest podejrzane. Nie wiem, kiedy ustawa trafi na biurko prezydenta i co w niej będzie, dlatego trzeba spokojnie poczekać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

leonardocompany.com *pzl.swidnik.pl*

Helicopters | Aeronautics | Electronics, Defence & Security Systems | Space

PZL-ŚWIDNIK
a LEONARDO HELICOPTERS company

eprasa.pl 990798db5f

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

Aksamitna wrogość

Rafał A. Ziemkiewicz

Zaczadzenie duopolem PiS-PO sprawia, że mało kto bierze pod uwagę scenariusz, iż powodem prezydenckich wet jest różna wizja Polski Andrzeja Dudy i Jarosława Kaczyńskiego

Główna oś politycznego sporu jest w Polsce i już pozostanie bynajmniej nie tam, gdzie ją umieszczają telewizyjne programy informacyjne oraz publicystyczne, a także większość liderów opinii. Nie jest nią wcale spór między PiS a coraz mniej się od siebie różniącymi PO i Nowoczesną. Ten spór, owszem, wciąż generuje ogromne emocje, mobilizuje żelazne elektoraty i dostarcza żeru całodobowym serwisom informacyjnym oraz niekończącym się dyskusjom medialnych „autorytetów". Nic jednak z tego hałasu i emocji nie wynika oraz nie może wyniknąć, ponieważ kwestia, czy ma być „tak jak było", czy jakoś inaczej, została już przez wyborców rozstrzygnięta i nie ma możliwości, by cofnęli oni swą decyzję. Przyjęcie przez wspomniane partie formuły „opozycji totalnej", narracji idealizowania stanu rzeczy sprzed 2015 r. i programu jego przywrócenia umieściło je na politycznej krze, która może tylko topnieć – tak samo jak afera Rywina zrobiła to z postkomunistyczną lewicą.

Realny spór to spór nie o to, czy „25-lecie wolności", jak ujmuje to opozycja, było utraconym rajem, czy też Polska powinna zostać zmieniona, ale o to, w jaki sposób ma zostać zmieniona. A ten spór toczy się już nie pomiędzy obozami III i IV Rzeczypospolitej, ale w obrębie tego drugiego: pomiędzy prezydentem Andrzejem Dudą a Prawem i Sprawiedliwością.

POSZERZANIE WPŁYWÓW

Wielu polityków i komentatorów sprawia wrażenie, jakby nie chciało przyjąć do wiadomości istoty sprawy. Kiedy prezydent wszedł publicznie w spór z ministrem Macierewiczem, demonstracyjnie lekceważącym konstytucyjnego zwierzchnika sił zbrojnych, bagatelizowali to, próbując sprowadzić do kwestii ambicjonalnych. Kiedy prezydent zawetował ustawę o Regionalnych Izbach Obrachunkowych, także i to weto przedstawiali jako ambicjonalne bryknięcie sfrustrowanego Adriana, a samo weto jako rzecz bez większego znaczenia (co nie jest prawdą, Regionalne Izby Obrachunkowe były ważnym elementem PiS-owskiego planu „odzyskiwania państwa" jako sposób kontroli nad samorządami). Gdyby już wtedy partia rządząca pofatygowała się zrozumieć dany jej przez prezydenta sygnał, nie doszłoby do kryzysu, jaki zafundowała sobie złą i skandalicznie procedowaną próbą „reformy" sądów, w istocie sprowadzającą zmiany w nich do stworzenia mechanizmu politycznej kontroli nad sędziami oraz możliwości karania ich za nieposłuszeństwo.

Zawetowanie jej przez prezydenta było więc do przewidzenia i do zrozumienia. Do przewidzenia było również,

eprasa.pl 990798db5f

że nie zakończy to sporów. Tlący się spór kompetencyjny z Antonim Macierewiczem coraz bardziej się rozpala. Prezydent odmówił nadania sztandarów trzem brygadom Obrony Terytorialnej dopóty, „dopóki nie udowodnią one, że osiągnęły odpowiedni poziom organizacji i wyszkolenia", a wobec ignorowania jego opinii o kandydatach do generalskich awansów odmówił także zatwierdzenia nominacji, które tradycja nakazywała mu wręczyć uroczyście podczas obchodów święta 15 sierpnia.

Jeśli ktoś potrzebuje więcej dowodów na to, że Andrzej Duda nie obawia się już politycznego sporu z partią, która popierała go w wyborach, i nie da się znowu, tak jak na początku prezydentury, szantażować oskarżeniami, że sabotuje jedynie słuszne i oczekiwane przez „zwykłych Polaków" zmiany, to niewątpliwie przyszłość ich dostarczy.

Uważny obserwator ma już jednak dość materiału, by pokusić się o odczytanie prezydenckich zamiarów. Nie znając tajników duszy Andrzeja Dudy ani jego politycznych zamierzeń, nie można oczywiście uznać z góry za błędną dominującej w mediach narracji, iż walka o polityczną samodzielność i zachowanie prerogatyw, a w miarę możliwości ich rozszerzenie (temu przecież tak naprawdę służyć ma postulowane przez prezydenta referendum konstytucyjne), jest dlań celem samym w sobie. Nie ma też dowodów pozwalających definitywnie odrzucić tezę, że prezydent wciąż nie jest zdolny zakwestionować przywództwo Jarosława Kaczyńskiego i bierze udział jedynie w sporze frakcyjnym, na poziomie Macierewicza oraz Ziobry, w którym chodzi tylko o poszerzenie wpływów w ramach nadanego przez prezesa porządku oraz zdobycie dogodnych pozycji do walki o sukcesję po nim.

Jednak nawet wtedy odczytywanie działań prezydenta wyłącznie w kategoriach „kuchennej psychoanalizy", poprzez rzekomy kompleks wyśmianego w „Uchu prezesa" Adriana, który chce pokazać, że coś znaczy i trzeba się z nim liczyć, trąci tandetą.

POPRAWIONY KACZYŃSKI

Wśród licznych dywagacji na temat prezydenckiego weta bodaj jeden tylko Piotr Zaremba, z którym skądinąd rzadko kiedy się zgadzam, zadał oczywiste pytanie: A może prezydent zawetował te ustawy, bo się po prostu z nimi nie zgadza? Bo ma zupełnie inną wizję tego, jak powinien wyglądać wymiar sprawiedliwości?

A już zupełnie nikt nie poszedł dalej i nie spytał: A może prezydent Andrzej Duda ma po prostu inną wizję procesu zmian i chce innej Polski niż ta, którą buduje „naczelnik" Kaczyński ze swą znaną raczej z oddania mu niż z politycznej mądrości „pierwszą brygadą"?

Fakt, że tej możliwości w ogóle nie bierze się w komentarzach pod uwagę, jest oznaką silnego zaczadzenia wieloletnim duopolem PiS-PO nie tylko w polityce, lecz także w debacie publicznej. Strony politycznej wojny z zamiłowaniem utwierdzają swych zwolenników w prymitywnym, czarno-białym widzeniu świata: jeśli potępiasz karuzele VAT-owskie, złodziejską „reprywatyzację", bizantynizm i patologie „nadzwyczajnej kasty ludzi", to jesteś wrogiem wolności i demokracji; jeśli natomiast nie podoba ci się dążenie grupy wyznawców prezesa do objęcia wszystkiego kontrolą i obsadzenia wszystkich istotnych punktów państwa, to jesteś targowiczaninem i obrońcą komunizmu. Niedobrze, że ten świat prostych haseł i mentalności internetowych trolli zdominował także polityczny komentarz.

W istocie pomiędzy „żeby było, jak było" a „odzyskiwaniem" kolejnych obszarów bez zasadniczej reformy, a tylko dla przywrócenia skuteczności państwu sprowadzonemu w bezhołowiu III RP do stanu „istnienia teoretycznego", jest jeszcze miejsce na inny polityczny plan. Plan zbudowania trwałych struktur i procedur, zdolnych przetrwać gładko kolejne zmiany władzy. Plan taki istnieje w sferze mgławicowych wypowiedzi polityków, intelektualistów i dziennikarzy, jego przekucie w narrację mogącą przekonać wyborców wymaga jednak firmującego go przywódcy, którego dotąd nie było.

Polityka Prawa i Sprawiedliwości, kładąca nacisk nie na „odzyskiwanie" państwa i mająca za ostateczny horyzont li tylko „wymianę elit" z postkolonialnych na patriotyczne, została już przez ostatnie dwa lata zaprezentowana wystarczająco, by Polacy wyrobili sobie zdanie o jej zaletach i wadach. Z jednej strony nie ulega wątpliwości, że utwierdziła ona większość wyborców w poczuciu, że w roku 2015 podjęli słuszne decyzje. Z drugiej jednak coraz wyraźniej widać też słabości realizowanego projektu. Ustawodawczą indolencję partii, w której myślenie jest wyłączną prerogatywą prezesa, niezdolność postulowanej „nowej elity" do wyjścia z kolein odwetu za doznawane przez lata upokorzenia, a co najgorsze – radzenie sobie z każdym kłopotem przez zaostrzanie sporów i „ucieczkę do przodu" w kolejne konflikty, bez perspektywy ich rozstrzygnięcia, a jedynie dla zajęcia pozycji moralnie słusznych i zapewniających poparcie.

PiS nie chce przyjąć do wiadomości ani zrozumieć faktu, że jego wysokie poparcie w sondażach idzie w parze z ogromną – od wielu zresztą lat – niepopularnością lidera. PiS rządzi i cieszy się akceptacją nie dzięki miłości Polaków do Jarosława Kaczyńskiego i jego pretorianów, ale pomimo podejrzliwości wobec nich. Nie dzięki porwaniu Polaków przez radykalną wizję Polski zmuszonej walczyć z całym światem, ale pomimo tej wizji. Wbrew stereotypom Polacy okazują się bardziej dojrzali do demokracji, niż się ich o to podejrzewa, i doskonale zaznajomieni z wymogami pragmatycznego kierowania się zasadą mniejszego zła. To nie znaczy jednak, że nie oczekują na „większe dobro". Takim większym dobrem byłby dla nich przywódca będący poprawioną wersją Kaczyńskiego, poprawioną nie tylko w sensie marketingu i wizerunku, lecz przede wszystkim poprzez nakierowanie zmian bardziej na dostatek i poczucie bezpieczeństwa obywatela oraz zapewnienie służebności państwa wobec niego.

DUDA DORASTA?

Czy prezydent Andrzej Duda potrzebę tę dojrzał i właśnie zaczął proces dorastania do niej? Nie wygłosił żadnych deklaracji co do swych dalekosiężnych planów, ale trudno sądzić, by w wieku zaledwie 45 lat ograniczał je tylko do reelekcji i politycznej emerytury tuż po pięćdziesiątce.

To determinuje napięcie pomiędzy nim a Jarosławem Kaczyńskim w sposób zasadniczo inny niż często przywoływana przez komentatorów formuła „szorstkiej przyjaźni" z czasów Millera i Kwaśniewskiego. Tamta była jedynie skutkiem brakoróbstwa twórców wciąż obowiązującej konstytucji, nierozgraniczającej kompetencji i uciekającej od rozstrzygnięcia wielu zasadniczych problemów odesłaniem do ustaw. Kaczyński i Duda, odkąd ten drugi odmówił bezwarunkowego wspierania coraz bardziej miotającego się PiS, skazani są raczej na „aksamitną wrogość".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

Oprawa meczu Legii była odbiciem nastrojów dużej części Polaków – poczucia, że historię zbrodni dokonanych na ludności Warszawy trzeba pokazać światu

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

Blednące pojednanie

Piotr Semka

Postulat żądania od Niemców odszkodowania za II wojnę światową jest zrozumiały w sytuacji negowania wyjątkowości niemieckich zbrodni na Polakach

Oprawa meczowa z napisem „Podczas Powstania Warszawskiego Niemcy zabili 160 tys. ludzi. Tysiące z nich były dziećmi". W centrum wizerunek niemieckiego żołnierza, mierzącego z pistoletu w głowę bezbronnego dziecka. Ta wyrazista oprawa meczu 2 sierpnia była odbiciem nastrojów dużej części Polaków. Poczucia, że historię zbrodni dokonanych na ludności Warszawy trzeba pokazać światu. Świadczą o tym masowość pochwał dla inicjatywy kibiców Legii i zapowiedź wsparcia dla zbiórki na rzecz warszawskiego klubu w razie kary UEFA. Już sam fakt, że federacja zaliczyła oprawę do zakazanych na stadionach demonstracji „politycznych, religijnych, ideologicznych lub obraźliwych i prowokujących", pokazuje, że jest jakiś problem.

Pamięć o zbrodniach jako prowokacja? Przeciwko komu? Czy za Odrą nie kultywuje się świadomości niemieckiej winy? Obrońcy RFN mogą łatwo wskazać, że o ofiarach wojny się tam pamięta. Poszczególne samorządy, np. Kolonii, prowadzą akcje zapraszania byłych robotników przymusowych, m.in. z Polski, którzy opowiadają niemieckim dzieciom o swej wojennej krzywdzie. Takich inicjatyw lokalnych i landowych jest sporo. W dawnej bazie rakiet V1 w Peenemünde została właśnie otwarta wystawa o Powstaniu Warszawskim. W ośrodku dokumentacji terroru nazistów w Berlinie można obejrzeć obecnie wystawę o niewolniczej pracy wielu Polek w fabryce baterii Petrix w czasie wojny. W warszawskiej ambasadzie RFN z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego 1 sierpnia czarno-czerwono-złotą flagę spuszczono do połowy masztu.

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego kibice Legii czują, że muszą przypominać światu o ludobójstwie na warszawiakach? Czy jest to jedynie wynik politycznej gry „wizerunkiem złego Niemca"?

Problem w tym, że licznym dobrym inicjatywom towarzyszą w niemieckiej debacie publicznej zjawiska, które po polskiej stronie budzą niepokój. I to one potrafią bardziej pobudzać emocje niż nieprzyciągające uwagi mediów zacne inicjatywy. Dopiero na tle tych „wrażliwych miejsc" lepiej można zrozumieć powrót kwestii odszkodowań niemieckich dla Polski za straty ostatniej wojny.

OFIARA JAKO PODEJRZANY

Najbardziej kontrowersyjna sprawa to oczywiście spór z ZDF w sprawie przeprosin za użycie określenia „polskie obozy zagłady". Przeprosiny, które zostały wymuszone sądownie, stacja faktycznie „ukryła" na swoim portalu. Telewizja, która stworzyła pełen antypolskich stereotypów serial „Nasze matki, nasi ojcowie", powinna być – zdawałoby się – wyczulona na polską wrażliwość. Powinna, ale nie jest.

Oto właśnie niemiecka stacja wniosła apelację od klauzuli wykonalności, którą na początku lutego wydał Sąd Krajowy w Moguncji w sprawie przeprosin za użycie kłamliwego zwrotu. Portal Tvp.info dotarł do apelacji złożonej przez ZDF do Najwyższego Sądu Krajowego. Stacja dowodzi, że niekorzystny wyrok w Sądzie Apelacyjnym w Krakowie, który nakazał jej przeprosiny na stronie głównej za sformułowanie „polskie obozy zagłady", jest pokłosiem atmosfery nacisku ze strony rządu.

Jak podaje portal TVP Info: „W apelacji ZDF pisze, że od 2015 r. w Polsce władze sprawuje konserwatywny rząd, który »funkcjonuje pod hasłem aktywnej polityki

eprasa.pl 990798db5f

historycznej ukierunkowanej na ochronę dobrego imienia państwa polskiego i Polaków«. W ramach tej polityki, jak pisze niemiecka stacja, prowadzone są działania nie tylko dyplomatyczne, lecz także prawne. Według ZDF, polski rząd chce, by taka polityka była też realizowana przez sądy w naszym w kraju. ZDF zwraca uwagę, że dopóki w Polsce nie rządził PiS, dopóty nie zapadały takie wyroki. Dalej można przeczytać też o zmianach w Trybunale Konstytucyjnym, które według niemieckiej telewizji doprowadziły do jego »obalenia«".

ZDF to stacja publiczna. Jej władze wybiera rada, w której zasiadają osoby delegowane przez największe niemieckie partie, związki twórcze i Kościoły. Mimo to od ponad trzech lat nikt nie potrafi skłonić stacji do uczciwego i wyraźnego przeproszenia polskiego więźnia Auschwitz Karola Tendery, który zaskarżył stację. Nikogo nie martwi, jak sprawa ta zaognia relacje polsko-niemieckie.

Jeszcze bardziej niszcząca dla wzajemnych relacji jest tendencja w niemieckich mediach do kwestionowania faktu, że Polacy byli narodem ofiar, i wskazywanie, iż byli też narodem sprawców – w tym kontekście wskazywane są przypadki mordów na Żydach. W języku niemieckim, w kontekście Holokaustu, określenia „Opferrolle" (rola ofiar) i „Täter" (rola sprawcy) mają bardzo ścisłe znaczenie. Wchodzenie przez niemieckich publicystów w role obrońców pamięci o Żydach zamordowanych w okupowanej Polsce w czasie pogromów – z przyczyn rabunkowych i niechęci etnicznej – musi wywoływać w Polsce oburzenie. A jednak od paru lat ten ton w publicystyce „Die Welt" czy „FAZ" nie tylko nie jest incydentalny, lecz także narasta. Szeroko nagłośniono przetłumaczone na niemiecki oskarżycielskie książki Jana Tomasza Grossa – „Strach" i „Sąsiedzi". Jeszcze chętniej niemieckie media zamawiają u polskich autorów teksty z twierdzeniami, że Polacy w czasie wojny zabili więcej Żydów niż Niemców. Tak było w kwietniu br. w wypadku stacji Mitteldeutscher Rundfunk, która zamówiła u polskiej dziennikarki Moniki Sieradzkiej tekst o „polskiej współwinie" w masowej zagładzie Żydów.

W tekście czytamy: „Krótko przed rocznicą powstania historyk Marcin Zaremba w warszawskim Muzeum Historii Żydów Polskich wystąpił z wykładem. Dla wielu słuchaczy jego tezy były wprost szokujące: »Polacy w czasie wojny zabili więcej Żydów niż Niemców«. To wstrząsnęło samoświadomością wielu Polaków, którzy – wcześniej przez komunistów, a obecnie przez politykę historyczną partii rządzącej PiS – zwykle przedstawiani są jako nacja jedynie i ze wszech miar bohaterska".

W lutym tego roku „Frankfurter Allgemeine Zeitung" w artykule o stworzeniu przez muzeum Auschwitz-Birkenau bazy danych o strażnikach i więźniach według narodowości postawił tezę sugerującą powód takiej aktywności: „Polski rząd postrzega Polaków w roli ofiar – dane z bazy mają podtrzymać to stanowisko".

Ten przykład dobrze pokazuje niezwykle już częstą manierę sugerowania, że Polacy podszywają się pod ofiary. Niekiedy jest to niuansowane zastrzeżeniem, że Polacy chcą być postrzegani wyłącznie jako „ofiary bez skazy", z niedopowiedzianą sugestią, że skaza jest ogromna. Zastanówmy się, jak zareagowałby Izrael, gdyby Niemcy kpili z roszczeń Żydów do statusu ofiar, wskazując, że judenrat, gettowa policja i żydowscy konfidenci gestapo byli współsprawcami Holokaustu.

I wreszcie kolejny, ulubiony temat wielu mediów w RFN – ataki na politykę historyczną PiS z dyżurną tezą, że to próba upiększania niechlubnej wojennej przeszłości. Tego tonu używano, opisując krytykę Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku za zbyt małe wyeksponowanie polskiej walki zbrojnej. Wszystko w kostiumie troski o „dobrych" polskich historyków przeciw niedobrym nacjonalistom.

ZAGUBIONY SENS DIALOGU

Zapyta ktoś: Po co przywiązywać aż taką wagę do publicystycznych wybryków? Czy istotnie są one tak niszczące dla pojednania polsko-niemieckiego? Otóż są i aby to zrozumieć, warto sięgnąć do genezy procesu pojednania polsko-niemieckiego.

Jego początki w latach 50. i 60. to odważne inicjatywy ze strony indywidualnych zachodnioniemieckich duchownych i osób świeckich – zarówno katolików, jak i ewangelików – uznających, że niemieckie zbrodnie na Polakach oraz polskich Żydach były czymś wyjątkowym. To ta wyjątkowość zmuszała do szczególnej refleksji moralno-politycznej. Refleksji nieporównanie bardziej wymagającej od pojednania z Duńczykami czy Włochami. Ten szczery odruch sumienia budził u polskich biskupów i polskich świeckich katolików uznanie oraz gotowość do wzniesienia się ponad własne urazy.

Dla Niemców oczywistość własnych zbrodni i cierpień Polaków była wtedy

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 27 sierpnia 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 27,50 zł

2.

~~39,90 zł~~ 28,50 zł

3.

~~39,90 zł~~ 27,90 zł

4.

~~59,90 zł~~ 39,50 zł

5.

~~49,90 zł~~ 34,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 990798db5f

ewidentna, choćby z racji własnej, świeżej pamięci. Tylko przez część polityków CDU związanych z ziomkostwami polskie krzywdy były relatywizowane powojennymi dolegliwościami wysiedleń ludności niemieckiej. Jednak tylko z racji wyjątkowości polskich krzywd dialog ten mógł zostać uwieńczony symbolicznie listem biskupów polskich oraz niemieckich, jak i politycznie – w postaci uznania przez Willy'ego Brandta granicy na Odrze i Nysie.

Lata 70. 80. i 90. przyniosły wiele owoców tego porzucenia wrogości. Jednak już po 2000 r. klimat zaczął się niestety zmieniać. Po raz pierwszy został wystawiony na próbę po 2003 r., kiedy doszło do konsensusu CDU i SPD w sprawie włączenia „wypędzeń" do oficjalnej polityki pamięci RFN, choć jeszcze w latach 70. i 80. ten wątek zbiorowej pamięci Niemców był powoli marginalizowany.

Wtedy jeszcze weterani dialogu z polskiej strony potrafili okazywać swoją konsternację. Utkwiło mi w pamięci, jak w 2003 r., w czasie spotkania w redakcji „Rzeczpospolitej" z Eriką Steinbach, lansującą swój pomysł Centrum przeciwko Wypędzeniom, głos zabrał Piotr Nowina-Konopka. „Czy jest Pani w stanie w imię dobra polsko-niemieckiego pojednania zdobyć się na ofiarę i porzucić ten niedobry projekt?" – pytał ten katolicki intelektualista.

Potem weterani dialogu przywykli do przesuwania się granic tego, „co Niemcom wolno", i akceptowania zmian w niemieckiej narracji pod hasłem: „Nic nie poradzimy, RFN to nasza brama do Europy".

Steinbach odrzuciła zaklęcia polskich uczestników dialogu i do niemieckiej kultury pamięci wprowadzono wypędzenia jako znak krzywdy niemieckiej z rąk Polaków i Czechów.

Kolejnym testem na to, czy relacje polsko-niemieckie mają specjalny charakter, była kwestia osobnego pomnika dla polskich ofiar w Berlinie, na wzór monumentu ofiar żydowskich. Z inicjatywą taką wystąpił w październiku 2012 r. Władysław Bartoszewski. Nie doczekał się oficjalnej odpowiedzi. Jedynie w komentarzu na portalu Deutsche Welle dziennikarz tej stacji Bartosz Dudek przyznawał, że są powody do stworzenia takiego pomnika.

„Niewątpliwie rozmiar brutalnego terroru, którego doświadczyli Polska i Polacy, zasługuje na upamiętnienie w miejscu, gdzie formułowano zbrodnicze wizje przyszłości sąsiedniego narodu. [...]) Ofiarami tego Holokaustu padli na skalę masową m.in. polscy księża i nauczyciele. To jednak rozdział, który w Niemczech znany jest jedynie garstce specjalistów. Smutnym potwierdzeniem tej prawdy było przemówienie prezydenta RFN Christiana Wulffa w miejscu pamięci w Auschwitz w styczniu 2011 r., w którym wymienił on wiele grup ofiar, ale ani słowem nie wspomniał o polskiej inteligencji". Istotniejsza była jednak druga część komentarza, która wyglądała jak nieformalne weto rządu RFN dla takiego pomysłu: „Wzniesienie takiego pomnika na wzór już istniejących wydaje się mało prawdopodobne. Zbrodnie Hitlera rozciągnęły się bowiem na tyle narodów i grup społecznych, że zapewne zabrakłoby miejsca w centrum Berlina, by uczcić je wszystkie. Być może uda się znaleźć jakiś godny kompromis lub nadać już istniejącej ekspozycji w ramach »Topografii Terroru« rangę miejsca pamięci".

Trwa etap kwestionowania wyjątkowości polskiej wojennej tragedii poprzez wpisanie Polaków w rolę pomocników w Holokauście

Wtedy symbolicznie doszło do uchylenia się Berlina od uznania wyjątkowości zbrodni na Polakach jako elementu tożsamości politycznej RFN na podobnym statucie, jak pamięć o Holokauście czyni relacje niemiecko-izraelskie czymś wyjątkowym.

Rozwój trzeciej fazy trywializacji niemieckiej pamięci o losach Polski obserwujemy na łamach niemieckich mediów teraz. To etap zakwestionowania wyjątkowości polskiej wojennej tragedii poprzez wpisanie Polaków w rolę pomocników w Holokauście. Sprowadza to nas, szczególnie po nagłośnieniu w Niemczech casusu Jedwabnego, do nieco tylko lepszej pozycji niż Łotyszy, Ukraińców czy Litwinów, których „Der Spiegel" zaliczył wraz z Polakami do „Komplizen", czyli współuczestników mordu na Żydach.

A taka relatywizacja rozmywa też znaczenie pojednania z lat 60. i 70. Polacy mają pełne prawo myśleć, że może iść za tym myślenie: skoro polska ofiara nie była taka święta, to nie ma powodu uznawać jej cierpienia za coś wyjątkowego. I kibice Legii jakoś, bardziej zapewne intuicyjnie, ale trafnie to wyczuli. I postanowili pokazać światu: dla nas zbrodnie Niemców dokonane na Polakach są czymś nieporównywalnym z niczym innym.

NAZIŚCI SĄ Z MARSA, NIEMCY Z WENUS

Niemcy, szczególnie ci urodzeni po wojnie, lubią myśleć o swojej Republice Federalnej jako państwie wzorcowym – przykładzie sprawnej demokracji, wydajnej gospodarki, liderze szacunku dla praw człowieka, humanitaryzmu, walki z ksenofobią i antysemityzmem.

Kompleks winy wobec Polski za ostatnią wojnę był tu pewnym dysonansem. Ten dyskomfort można jednak znacznie sobie zredukować, gdy przyzna się sobie rolę kraju, który wzorowo odrobił lekcję Holokaustu i teraz jest stróżem walki z nacjonalizmem. Przykładowo stróżem czujności wobec groźby recydywy nacjonalizmu nad Wisłą. To pozwala dywagować, czy Polska uznała swoje wojenne grzechy z lat wojny wobec Żydów i czy w swojej polityce historycznej nie gloryfikuje militaryzmu. W efekcie mamy do czynienia z czymś w rodzaju recydywy besserwisserstwa z lat epoki wilhelmińskiej. Wtedy poczucie niemieckiej wyjątkowości i misji było oparte na przekonaniu o cywilizacyjnej przewadze Rzeszy kajzerów, a teraz taka sama pewność siebie w ocenianiu innych, w tym Polaków, płynie z wiary, że RFN reprezentuje wszystko to, co najbardziej postępowe i europejskie.

Traf chce, że ta tendencja zderzyła się z dojściem do głosu w Polsce nowego pokolenia, które na serio zainteresowało się swoją historią. I które odkrywając na własną rękę tradycje Powstania Warszawskiego, masakry Woli i szacunku dla kombatantów, odkryło skalę i wyjątkowość zbrodni niemieckich. Temat, który w latach 80. i 90. został wypchnięty poza centrum uwagi historycznej przez ujawniane po latach PRL zbrodnie sowieckie. I czcząc powstańców oraz ostatnich żołnierzy wyklętych, kibice Legii odkryli istnienie pana Karola Tendery, któremu pewna siebie potężna stacja ZDF od paru lat odmawia godnych przeprosin.

I stąd plakat na stadionie Legii. A wraz za nim postulat odszkodowań za wojnę. Jest on logiczny. Skoro negowana jest wyjątkowość wojennych zbrodni Niemców dokonanych na Polakach, to pryska moralny splendor pojednania. I wtedy pojawia się odruch: jeśli nie szanujecie naszej wielkoduszności, to zapłaćcie odszkodowanie za spalenie i wymordowanie naszego kraju. Proste?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ
CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA H. GEBHARDA „WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, MORDERSTWO. ZBRODNIE REWOLUCJI FRANCUSKIEJ"

REWOLUCYJNĄ CODZIENNOŚCIĄ BYŁY ZBRODNIE I KRWAWE PRZEŚLADOWANIA TYCH, KTÓRYCH UZNAWANO ZA WROGÓW NOWEGO PORZĄDKU. OFIARAMI STAŁO SIĘ 40 TYS. OSÓB: ŚCIĘTYCH, ROZSTRZELANYCH, ZAMĘCZONYCH LUB TEŻ ZLINCZOWANYCH BEZ SĄDU. DO TEGO DOCHODZI 100 TYS. OFIAR KAMPANII ODWETOWEJ W KATOLICKIEJ WANDEI, OD DAWNA OKREŚLANEJ PRZEZ FRANCUSKICH HISTORYKÓW MIANEM LUDOBÓJSTWA. NIEMIECKI HISTORYK HORST GEBHARD ZEBRAŁ NAJNOWSZE WYNIKI BADAŃ, PO RAZ PIERWSZY PREZENTUJĄC JE SZERSZEMU KRĘGOWI CZYTELNIKÓW I UKAZUJĄC MROCZNĄ HISTORIĘ 10-LETNIEGO WŁADANIA TYRANII I PRZEMOCY...

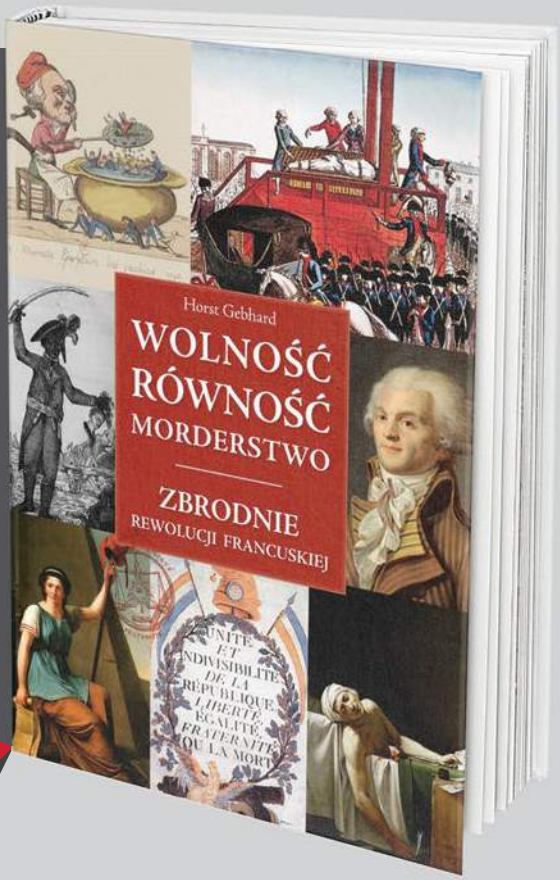

141 zł

oszczędność 88 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o. Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 990798db5f

Łukasz Warzecha z Gyenesdiás nad Balatonem

Budapeszt w Warszawie?

PiS miał być tak skuteczny jak węgierski Fidesz, a Jarosław Kaczyński miał być odpowiednikiem Viktora Orbána. Polsce Kaczyńskiego wiele jednak brakuje do Węgier Orbána. I dobrze

Porównywanie Węgier z Polską może być zwodnicze. Owszem, łączą nas wątki wspólnej historii, a w Budapeszcie stoi pomnik Józefa Bema. Węgry po bitwie pod Mohaczem (1526) przetrwały coś w rodzaju okresu rozbiorów (z okupacją turecką włącznie). Oba kraje doświadczyły komunizmu. Jednak różnice są ogromne.

Po pierwsze – skala. Węgry nie są dużym krajem. Życie polityczne w większej skali poza stolicą w zasadzie nie istnieje. Historycznie różnice są także znaczne. W 1867 r. Węgry stały się równorzędnym z Austrią państwem imperium austro-węgierskiego (od 1867 r.), a Budapeszt olśniewał jako druga jego stolica, obok Wiednia. W tym czasie Polski nie było na mapie Europy, a Warszawa była prowincjonalnym miastem Imperium Rosyjskiego.

Gdy nasz kraj odrodził się po I wojnie światowej, Węgrzy pogrążyli się w żałobie – całkiem dosłownie: strony gazet miały wygląd nekrologów, w kościołach biły dzwony, flagi opuszczono do połowy masztu i tak zostawiono je aż do 1938 r. Był to skutek traktatu z Trianon (1920), który odebrał Węgrom dwie trzecie ludności i terytorium. Z kolei podczas II wojny światowej Węgry były – mało co prawda entuzjastycznym – sojusznikiem Hitlera. Gdy w Polsce dogasało Powstanie Warszawskie, rządy nad Dunajem objęli fanatyczni antysemici spod znaku strzałokrzyża i sprawowali je aż do opanowania kraju przez Sowietów. Węgierscy żołnierze, którzy pod flagą faszystowskiego reżimu walczyli z nowymi okupantami, są do dziś uznawani za bohaterów, a ich biogramy prezentowane są m.in. w muzeum mieszczącym się w twierdzy na Wzgórzu Gellerta w Budzie.

PRAGMATYZM

W sprawach międzynarodowych Budapeszt nie gra więc kartą martyrologii, jak próbuje tego Polska PiS, gdyż jej po prostu nie posiada. Orbán zadbał o to, żeby upamiętnić węgierskie powstanie w 1956 r. – to on był inicjatorem utworzenia Terror Háza, otwartego w 2002 r. w Budapeszcie, muzeum upamiętniającego komunistyczny terror (a także ofiary reżimu Strzałokrzyżowców – poświęcona im jest część ekspozycji). Cała polityka historyczna Węgier dotycząca XX w. skupiona jest na dwóch kwestiach. Po pierwsze – przypominanie, że traktat z Trianon dramatycznie okroił państwo węgierskie; po drugie – ograniczenie węgierskich win z okresu II wojny światowej do krótkiego okresu rządów Strzałokrzyżowców. W każdym węgierskim mieście i miasteczku znajdziemy stały zestaw patronów ulic i placów – Lajos Kossuth, Mihály Vörösmarty, Sándor Petőfi czy św. Stefan – ale to bohaterowie na ogół XIX-wieczni lub wcześniejsi. Brak tu zaczepienia dla współczesnych konfliktów, tak jak w sprawach polsko-niemieckich czy polsko-rosyjskich.

Między innymi ta mniej jednoznaczna, mniej czarno-biała historia współczesnych Węgier oraz poczucie krzywdy związane z rokiem 1920 sprawiają, że w polityce zagranicznej Orbán jest bez porównania bardziej pragmatyczny niż Jarosław Kaczyński. Węgrzy pamiętają o brutalnym stłumieniu przez Rosjan powstania z roku 1956, ale to nie przeszkadza im wchodzić w bliski alians z Putinem, gdy chodzi o energetykę i kwestie handlowe. Decyzja węgierskiego premiera, aby nie poprzeć polskiego stanowiska w sprawie ponownego wyboru Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej, to stanie na straży węgierskiej racji stanu – Węgry z Berlinem chcą mieć jak najlepsze stosunki.

Niemieckie koncerny, wbrew suwerennościowej retoryce Fideszu, zainwestowały na Węgrzech spore pieniądze. Niemcy to główny zagraniczny inwestor. Z 3,2 mld euro inwestycji w 2016 r. Niemcy przyniosły 1,7 mld – czyli ponad połowę. Mercedes buduje właśnie nową fabrykę obok już istniejącej w Keczkemecie.

Tutaj widać różnicę pomiędzy podejściem PiS a Fideszu. PiS jednym z chłopców do bicia uczynił niemieckie

eprasa.pl 990798db5f

FOT. PIOTR GUZIK/FORUM

sieci handlowe, najpierw zapowiadając nałożenie na nie specjalnego podatku, a następnie ostrożnie wspierając projekt zakazu handlu w niedzielę autorstwa Solidarności. Podobne działania i plany w Polsce zawsze podpierane są retoryką „wstawania z kolan" i heroicznego oporu wobec niemieckiej „kolonizacji".

Orbán działa znacznie pragmatyczniej. Z zakazu niedzielnego handlu wycofał się już po kilkunastu miesiącach, a magnesem dla inwestycji zagranicznych uczynił regulacje, które niemal uniemożliwiają podjęcie strajku (konieczna jest zgoda sądu pracy), a zarazem uelastyczniają prawo pracy – rozwiązania nie do wyobrażenia w Polsce pod rządami socjalizującego PiS.

SKUPIENIE WŁADZY

W sferze symbolicznej mobilizacji elektoratu Orbán unika tematów, które miałyby negatywne międzynarodowe konsekwencje dla Węgier. Owszem, z powodu wewnętrznej polityki Węgry przez długi czas były na cenzurowanym w Brukseli, ale w tym przypadku nie chodziło o kwestie symboliczne – tak jak w Polsce sprawa reparacji od Niemiec, niemożliwych przecież do wyegzekwowania – lecz o jak najbardziej realne skupienie władzy we własnym ręku, gwarantowane przez uchwalenie ponad 350 służących temu ustaw. Zresztą to właśnie Kaczyński niezamierzenie przyszedł w końcu Orbánowi z pomocą. Forsowane przez PiS zmiany – najpierw w Trybunale Konstytucyjnym, potem w sądownictwie – sprawiły, że uwaga Komisji Europejskiej, piętnującej rzekome zagrożenia dla demokracji, przeniosła się znad Dunaju nad Wisłę.

Gdyby jednak oceniać, gdzie istnieje większe zagrożenie faktycznym „demokratycznym autorytaryzmem", z pewnością trzeba by wskazać Węgry, a nie Polskę. W ciągu swojej drugiej i trzeciej kadencji, rządząc nieprzerwanie od 2010 r., lider Fideszu poustawiał sobie państwo w taki sposób, że odebranie mu rządów przez kogokolwiek wydaje się skrajnie nieprawdopodobne. Wynika to głównie z zachowania w konstytucji z 2011 r., będącej dziełem Fideszu, instytucji ustaw kardynalnych, pochodzącej z poprzedniego systemu konstytucyjnego. Ustawy te mogą być zmienione jedynie większością dwóch trzecich głosów. Tymczasem ordynacja wyborcza (sama w sobie uchwalona w formie ustawy kardynalnej) stawia Fidesz na uprzywilejowanej pozycji, m.in. dzięki granicom okręgów jednomandatowych. Żeby zmienić ordynację, trzeba mieć dwie trzecie głosów. A żeby tyle miała obecna opozycja, trzeba by zmienić ordynację. Genialne!

BUDOWANIE KLASY ŚREDNIEJ

Viktor Orbán realizuje też konsekwentnie plan stworzenia wiernej Fideszowi klasy średniej w opozycji do tych, którzy zdobyli pieniądze dzięki swym postkomunistycznym koligacjom. Klasa średnia powstaje m.in. za sprawą polityki podatkowej oraz państwowych pieniędzy. Prywatyzowane państwowe biznesy trafiają od dawna w ręce ludzi powiązanych z Orbánem, oplatając kraj siecią zależności i lojalności. To mechanizm nieporównywalny z Polską sytuacją, gdzie, owszem, na państwowym instaluje się wiernych towarzyszy, ale to wciąż spółki skarbu państwa, a po zdobyciu władzy nowe ekipy czym prędzej wymieniają ich zarządy. Rozwiązanie zastosowane przez Orbána jest znacznie trwalsze. Jak mówi Grzegorz Górny, publicysta doskonale znający Węgry, to swego rodzaju „akcja afirmatywna", mająca wyrównywać szanse. Tyle że w ten sposób rodzi się nowa oligarchia.

Węgierski rząd deklaruje też prowadzenie ofensywnej polityki prorodzinnej. Ma temu służyć m.in. program CSOK, w ramach którego rodzina – o ile urodzi się w niej troje dzieci w ciągu 10 lat – może otrzymać po 10 mln forintów (ok. 140 tys. zł) w formie bezzwrotnej pomocy oraz kredytu mieszkaniowego na 25 lat o gwarantowanym przez rząd oprocentowaniu rzędu 3 proc. W sumie: niemal 300 tys. zł.

Koncepcja węgierskiej klasy średniej budowanej przez Fidesz zasadniczo różni się od tego, co w Polsce próbuje robić PiS. Orbán położył nacisk na to, że ludzie powinni się bogacić dzięki państwu.

PiS z kolei – poza nielicznymi wystąpieniami Mateusza Morawieckiego – niemal nie wspomina o klasie średniej. Kluczowym zwrotem są „zwykli Polacy" i nie ma mowy o ich bogaceniu się. Raczej o tym, żeby zabrać tym, którzy mają więcej, i rozdzielić po równo.

Sieć współpracowników Orbána oplotła także media, niemal bez wyjątku. Dotyczy to wszystkich gazet lokalnych, niemal wszystkich centralnych, dużych portali i stacji telewizyjnych. Pod tym względem medialny rynek węgierski jest znacznie mniej pluralistyczny niż polski, choć słuchając o planach dekoncentracji, snutych przez PiS, można uznać, że Jarosław Kaczyński dąży do podobnego celu.

Jeżeli uznać, że historyczne nawyki mają znaczenie we współczesnej polityce, to Orbán ma łatwiej niż Kaczyński. Węgrzy mieli własne państwo od momentu powstania dualistycznej monarchii austro-węgierskiej, więc ich tradycja buntu jest znacznie słabsza niż w Polsce, a aparat urzędniczy ma nawyk słuchania władzy. W Polsce tymczasem istnieje tradycja nieufności wobec państwa, zakorzeniona głęboko w dziejach I Rzeczypospolitej, a wzmocniona okresami rozbiorów i PRL.

I chyba dobrze. Niezależnie bowiem od tego, jak bardzo podziwiamy skuteczność Viktora Orbána i jak bardzo zgadzamy się z jego wizją konserwatywnego państwa, układanie kraju pod jedną partię jest niepokojące. Jeżeli pod tym względem Kaczyński nie dorównuje węgierskiemu premierowi, to możemy się tylko cieszyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

Misza bez ziemi

Agnieszka Niewińska

Micheil Saakaszwili, były prezydent Gruzji, nie może pokazać się w ojczyźnie, bo ciążą na nim zarzuty karne. Właśnie stracił też ukraińskie obywatelstwo. Czy do Warszawy przyjechał po polski paszport?

Myślę, że była to zemsta Putina za aktywność Lecha Kaczyńskiego. Nie ma takich wypadków, nie ma takich zbiegów okoliczności. To było celowe działanie Putina i jestem pewien, że był zadowolony z tego, co się wydarzyło – tak o katastrofie smoleńskiej powiedział w wywiadzie dla telewizji Republika Micheil Saakaszwili, były gruziński prezydent. Jego słowa obiegły wszystkie media, jednak zainteresowanie wzbudziły nie tylko opinie Saakaszwilego na temat katastrofy Tu-154M i polityki Putina, lecz także samo jego pojawienie się w Polsce. Spekulowano na temat doniesień agencji Interfax o tym, że prokuratura generalna Gruzji zwróciła się do władz Polski z wnioskiem o ekstradycję byłego prezydenta. Zastanawiano się nad tym, jak Saakaszwili w ogóle dotarł z USA do Europy, bo 26 lipca prezydent Ukrainy Petro Poroszenko odebrał mu ukraińskie obywatelstwo – jak twierdzi Saakaszwili jedyne, jakie posiadał, bo otrzymując je, został pozbawiony gruzińskiego.

PROMOCJA SAMEGO SIEBIE

Saakaszwili po tym, jak jeszcze w czasie trwania swojej drugiej kadencji na stanowisku prezydenta Gruzji postanowił nie wracać do kraju z zagranicznej podróży ze względu na grożące mu w Gruzji zarzuty, zaangażował się w politykę na Ukrainie. Już wcześniej mieszkał w tym kraju, studiował w Kijowie. Na studiach poznał dzisiejszego prezydenta Ukrainy Petra Poroszenkę. Na Ukrainie zaistniał podczas Euromajdanu. – Później wyjechał do USA, gdzie wykładał na uniwersytecie, jednak na początku 2015 r. został ściągnięty przez Poroszenkę na Ukrainę, aby pokierować międzynarodową radą ds. reform, która notabene nigdy nawet się nie zebrała – mówi Daniel Szeligowski, ekspert Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. – W maju 2015 r. został mianowany szefem Odeskiej Obwodowej Administracji Państwowej. Tylko że jego ambicje wykraczały poza obwód odeski. Chciał zostać jednym z głównych rozgrywających w ukraińskiej polityce – dodaje.

W obwodzie odeskim, choć zapowiadał wielkie zmiany i walkę z korupcją – zdziałał niewiele. – Owszem, napotkał opór władz centralnych. Przeszkadzały mu również lokalne układy. Odessa to miejsce, w którym silne są wpływy rosyjskie, mafia. Jednak dla Saakaszwilego ważniejsza była promocja własnej osoby. Jego działania miały głównie PR-owy charakter – mówi Szeligowski. Media pokazywały Saakaszwilego podróżującego do pracy autobusem, witającego się z przechodniami, pytającego o ich problemy. Jednak – jak mówi ekspert PISM – sam też wchodził w układy z oligarchami, przedsiębiorcami o niejasnych powiązaniach. – Ukraińcy szybko się na nim poznali. Jego notowania systematycznie spadały i dziś nieufność wobec niego deklaruje aż 75 proc. Ukraińców – dodaje.

Znakiem rozpoznawczym Miszy, bo tak Saakaszwili jest nazywany na Ukrainie, stała się nieustanna krytyka rządzących. Podczas posiedzenia Narodowej Rady Reform Ukrainy zwymyślał on ministra spraw wewnętrznych Arsena Awakowa.

eprasa.pl 990798db5f

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

W czasie rozmowy o prywatyzacji zakładów portowych w Odessie zarzucił mu, że jest skorumpowany i dysponuje miliardami dolarów. Awakow w odwecie rzucił w Saakaszwilego szklanką z wodą.

Pod koniec 2016 r. Saakaszwili założył własną partię – Ruch Nowych Sił. Podczas wizyty w Polsce zapewniał, że ma duże poparcie wśród Ukraińców. Odebranie mu obywatelstwa przez Poroszenkę interpretował jako chęć wyeliminowania politycznej konkurencji. – Założona przez Saakaszwilego partia – Ruch Nowych Sił – może liczyć na 1–2 proc. poparcia. Odebranie Saakaszwilemu obywatelstwa to rezultat personalnego konfliktu z prezydentem Poroszenką. Saakaszwili go po prostu irytował – uważa Daniel Szeligowski.

Saakaszwili nie szczędził ostrych słów Poroszence. Mówił publicznie, że realizuje on plan Putina, oddaje władzę w ręce oligarchów i lokalnych klanów. Na antenie telewizji ZIK prowadził własny program „Inna Ukraina", w którym skupiał się na bezpardonowej krytyce ukraińskich władz. W czerwcu w programie wyemitowano piosenkę zatytułowaną „Czekoladowa dupa", opowiadającą o „królu czekolady". Powszechnie odczytano to jako drwinę z ukraińskiego prezydenta, który jest właścicielem największej fabryki czekolady na Ukrainie. – Wygląda na to, że prześmiewcza piosenka pod adresem Poroszenki przelała czarę goryczy i ten pod wpływem emocji podjął decyzję o pozbawieniu Saakaszwilego obywatelstwa – mówi ekspert PISM.

Przeciwko tej decyzji w Kijowie protestowała grupa zwolenników Saakaszwilego, twierdząc, że ukraińskiego obywatelstwa nie można nikomu odebrać. Szeligowski zwraca jednak uwagę, że sprawa nie jest jednoznaczna. – Ukraińska konstytucja stanowi o tym, że obywatela Ukrainy nie można pozbawić obywatelstwa. Jednocześnie ustawa przewiduje możliwość utraty obywatelstwa, jeśli uzyskano je w wyniku podania nieprawdziwych informacji. Tę właśnie ewentualność wykorzystały ukraińskie władze. Formalnym powodem jest bowiem to, że Saakaszwili w ankiecie przekazanej ukraińskiej służbie migracyjnej nie wskazał, iż w Gruzji wszczęto wobec niego postępowanie karne. Sam Saakaszwili twierdzi, że dokument został podrobiony i nie widnieje na nim jego podpis.

PRAWIE JAK DESPOTA

Z Polski nieniepokojony przez nikogo Saakaszwili udał się na Litwę. Jak poinformowała posłanka PiS Małgorzata Gosiewska, która zaprosiła byłego gruzińskiego prezydenta do wzięcia udziału w obchodach upamiętniających zdobycie przez powstańców Nordwache na Woli, nie wpłynął żaden oficjalny wniosek o ekstradycję Saakaszwilego. Jak mówił sam Saakaszwili, po Europie wciąż porusza się z paszportem z trójzębem. Spekulowano nawet, czy nie przybył do Polski, by uzyskać obywatelstwo. Miał wiele spotkań z politykami partii rządzącej. Propozycje nadania mu obywatelstwa padły już jednak ze strony litewskich polityków. Saakaszwili stwierdził, że na razie będzie walczył o swoje prawa na Ukrainie.

Zarówno nad Wisłą, jak i nad Wilią Saakaszwili jest przyjmowany ciepło. Jednak w swoim rodzinnym kraju, podobnie jak teraz na Ukrainie, roztrwonił kapitał polityczny. Kiedy w 1995 r. wrócił do Gruzji jako absolwent prawa Uniwersytetu Columbii, zastał kraj niemal niezmieniony od czasów sowieckich – z gigantyczną korupcją, biedą, ze zdewastowaną gospodarką. Szybko zaangażował się w politykę, został posłem, a w 2000 r. prezydent Eduard Szewardnadze zaproponował mu objęcie stanowiska ministra sprawiedliwości. Saakaszwili, wykształcony za oceanem, nie pasował jednak do rządu stworzonego z dawnych sowieckich aparatczyków. Po niespełna roku ustąpił i stał się jednym z głównych krytyków Szewardnadzego. Podczas rewolucji róż z 2003 r. zdobył tak dużą popularność, że w wyborach prezydenckich uzyskał blisko 97-procentowe poparcie. Szybko wziął się za reformy. W centrum była walka z korupcją. Saakaszwili liberalizował gospodarkę, odmładzał kadry, żegnając się z tymi, którzy kariery robili w czasach ZSRS. Przyjął prozachodni kurs i starał się o przyjęcie Gruzji do NATO. W 2008 r. ponownie został wybrany na prezydenta, zdobywając 52,8 proc. głosów. W tym samym roku Gruzja została zaatakowana przez Rosję, co nadszarpnęło zaufanie do Saakaszwilego.

– Niewątpliwie jego zasługą było stworzenie silnego fundamentu gruzińskiego państwa, co w innych krajach postsowieckich jest nieobecne. W dużym stopniu udało mu się wyeliminować korupcję, zwłaszcza na najniższym szczeblu. Dotyczyło to chociażby gruzińskiej policji, która zaczęła się różnić na plus od policji ukraińskiej czy azerbejdżańskiej – zaznacza Jerzy Rohoziński, historyk i antropolog. Dodaje jednak, że bilans rządów Saakaszwilego w Gruzji jest dwuznaczny, bo choć miał całościową wizję dotyczącą rozwoju państwa, to pogubił się w jej realizacji. – Chodzi o wiele bardzo niedobrych zachowań wobec krytykującej go opozycji. W pewnym momencie jego rządy zaczęły przypominać postsowieckie despotie. Po tym, jak do mediów trafiło nagranie z więzienia, na którym widać strażników torturujących więźniów, wielu Gruzinów doszło do wniosku, że koszt przywracania państwowości jest zbyt wysoki. Saakaszwili odchodził w niesławie, znienawidzony przez wielu obywateli.

W Gruzji nad Saakaszwilim ciążą cztery zarzuty karne. Jest oskarżany m.in. o stłumienie protestów w Tbilisi w 2007 r., przekroczenie uprawnień i przywłaszczenie państwowych pieniędzy. W 2014 r. wydano za nim list gończy. Saakaszwili twierdzi, że zarzuty mają charakter polityczny.

Jerzy Rohoziński podkreśla, że choć Saakaszwili w Gruzji wciąż jest postrzegany jako postać kontrowersyjna, to rozczarowanie rządami partii Gruzińskie Marzenie sprawia, iż u niektórych pojawia się nostalgia za czasami jego rządów. – Z sygnałów dochodzących do mnie z Gruzji wynika, że ta gorsza twarz Saakaszwilego powoli odchodzi w zapomnienie – mówi. Pewne jest jednak, że na rodzinnej ziemi Saakaszwili szybko się nie pojawi. Czy na Ukrainie będzie persona non grata?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

Kijów – Warszawa: trudna sprawa

Zdewastowany pomnik upamiętniający Polaków zamordowanych w 1944 r. w Hucie Pieniackiej FOT. PAP

Maciej Pieczyński

Chociaż w sprawie zbrodni wołyńskiej porozumienie z Ukrainą jest absolutnie niemożliwe, to właśnie odwołujący się do kultu Bandery nacjonaliści są nad Dnieprem najbardziej zainteresowani sojuszem z polską prawicą. Jednak nie za wszelką cenę

„Z Banderą Ukraina do Europy nie wejdzie" – to już niemal aksjomat w obecnej polskiej polityce wobec Kijowa. Po raz pierwszy tak ostro sprawę postawił kilka miesięcy temu Jarosław Kaczyński w wywiadzie udzielonym „Do Rzeczy". Kilka dni przed rocznicą „krwawej niedzieli" tę bezkompromisową deklarację powtórzył na łamach „W Sieci" Witold Waszczykowski. Ukraińskie MSZ „przyjęło te słowa z rozczarowaniem" i w odpowiedzi wezwało „na dywanik" ambasadora Polski w Kijowie, Jana Piekłę. Symptomatyczna dla polityki Warszawy deklaracja Waszczykowskiego zderzyła się z symptomatyczną dla polityki Kijowa narracją, którą – odsiewając dyplomatyczną kurtuazję – streścić można tak: „Zapłaciliśmy krwią za nasz cywilizacyjny wybór drogi do Europy, bronimy Zachodu, w tym was, przed inwazją rosyjską, więc bądźcie bardziej wstrzemięźliwi w wypominaniu nam przeszłości, przestańcie upolityczniać historię, zostawcie ją historykom".

Z kolei Andrij Deszczycia, ambasador Ukrainy w Warszawie, w wywiadzie dla portalu Ukraińska Prawda stwierdził, że po zwycięstwie PiS poczesne miejsce w dialogu polsko-ukraińskim zajęła polityka historyczna, która jego zdaniem – jako zagadnienie przeznaczone głównie na rynek wewnętrzny – nie powinna być tematem relacji międzynarodowych. Według dyplomaty Polska „narzuca swój punkt widzenia na historię", korzystając z tego, że Ukraińcy sami nie wypracowali własnej jednoznacznej oceny przeszłości. Nie do końca ma rację. Chociaż od wielu lat dochodzi do merytorycznej dyskusji na forum naukowym w ramach cyklu seminariów „Polska – Ukraina: trudne pytania", to na poziomie państwowym Kijów zajmuje jednoznaczną pozycję w sprawie rzezi wołyńskiej. „Od 2003 roku jedynym modelem dialogu proponowanym przez oficjalne kierownictwo ukraińskie jest przyjęcie zasady symetrii moralnej UPA i AK. Choć jednocześnie podkreśla się, że może najlepszym rozwiązaniem byłoby po prostu milczenie w kwestii zbrodni

eprasa.pl 990798db5f

wołyńskiej" – pisze prof. Grzegorz Motyka w swojej książce „Wołyń '43".

Odpowiadający za politykę historyczną Kijowa szef tamtejszego Instytutu Pamięci Narodowej Wołodymyr Wjatrowycz zaprzecza planowemu ludobójstwu polskiej ludności cywilnej. Twierdzi natomiast, że w latach 1942–1947 trwała wojna polsko-ukraińska. Co ciekawe, jako pierwszy i ostatni akt konfliktu wybiera akurat te wydarzenia, w których to Polacy byli stroną agresywną: antyukraińskie wystąpienia na Chełmszczyźnie (mimo że sam przyznaje, iż więcej ofiar w o wiele krótszym czasie pochłonęły antypolskie powstania trzy lata wcześniej, czyli podczas kampanii wrześniowej) oraz akcję „Wisła". Wołyń to w tej optyce jedynie mały epizod wielkiej wojny. Wjatrowycz nagina więc już bez tego fałszywą symetrię win na korzyść Kijowa, sugerując, że jeśli już ktoś ma za coś przepraszać, to właśnie Warszawa. W tym świetle decyzja polskich władz o niefinansowaniu obchodów 70-lecia akcji „Wisła" z pewnością nie ułatwiła wzajemnego dialogu. A szkoda, bo akurat ten wątek wspólnej historii można było dobrze wykorzystać, przypominając – w ramach prowadzonej przez obecny rząd dekomunizacji – że przecież za masowe przesiedlenia obywateli polskich pochodzenia ukraińskiego odpowiadają władze komunistyczne.

KTO ZACZĄŁ?

Ukraiński apel „zostawmy historię historykom" jest głęboko nieszczery. Po pierwsze, przykład Wjatrowycza pokazuje, że także Kijów, i to o wiele bardziej stronniczo niż Warszawa, tę historię upolitycznia, próbując udowodnić moralną wyższość nad sąsiadem. Co prawda wielu ukraińskich historyków krytykuje te antypolskie tendencje, jednak to nie oni stoją na czele tamtejszego IPN, ale właśnie Wjatrowycz. Po drugie, wbrew temu, co sugeruje ambasador Deszczycia, to wcale nie Polska pierwsza rzuciła kamień w „zimnej wojnie o historię".

Ukraińcy często podkreślają, że początkiem pogorszenia relacji polsko-ukraińskich była zeszłoroczna uchwała polskiego Sejmu o ludobójstwie na Wołyniu. To wygodna dla Kijowa narracja, zgodnie z którą wszystkiemu winien jest rewanżyzm PiS. Michał Dworczyk, jako jeden z autorów uchwały, w oczach Ukraińców jest takim samym „czarnym charakterem" jak ks. Isakowicz-Zaleski. To nieważne, że poseł opowiada się za sojuszem z Ukrainą, a duszpasterz widzi zagrożenie terrorystyczne porównywalne z ISIS nawet w ukraińskiej emigracji zarobkowej. Ważne, że obaj (tak jak zresztą m.in. dostrzegający oprócz ukraińskich zbrodni także te polskie prof. Grzegorz Motyka) uważają „tragedię wołyńską" za ludobójstwo. Tymczasem ponad rok przed głośną uchwałą polskiego Sejmu dużo bardziej – przynajmniej potencjalnie – brzemienną w skutki decyzję podjął ukraiński parlament. Godzinę po bardzo proukraińskim, przemilczającym bolesne sprawy historyczne przemówieniu Bronisława Komorowskiego Rada Najwyższa przegłosowała pakiet skandalicznych ustaw dotyczących polityki historycznej. Przewidywały one m.in. obowiązującą zarówno obywateli Ukrainy, jak i cudzoziemców odpowiedzialność karną za negowanie niepodległościowej działalności OUN-UPA oraz za „pogardliwy stosunek" do „bojowników" tych organizacji. Uchwała polskiego Sejmu była więc kolejnym aktem upolityczniania historii we wzajemnych relacjach.

Dalej było już tylko ostrzej i mniej dyplomatycznie. Przeważająca część opinii publicznej nad Dnieprem, od prawa do lewa, mieszała z błotem „Wołyń" Smarzowskiego, a grający w tym filmie ukraińscy aktorzy, występujący na co dzień w jednym z państwowych teatrów, zostali ukarani odebraniem premii. Pojawiały się głosy, że reżyser powinien otrzymać zakaz wjazdu na Ukrainę. Kolejnym aktem była „wojna pomnikowa". Przez kilka miesięcy „nieznani sprawcy" niszczyli polskie miejsca pamięci na Ukrainie, a tamtejsi politycy i publicyści, nie mając przekonujących argumentów, dowodzili, że to rosyjskie prowokacje. Co ważne, za każdym razem te ataki spotykały się nad Dnieprem ze zdecydowanym potępieniem, także Wjatrowycza czy odwołujących się do kultu Bandery nacjonalistów. Zniszczone monumenty odbudowywano, ale przy tym cenzurowano (tak było w Hucie Pieniackiej) i żądano, w ramach rewanżu, by teraz Polska zadbała o pomniki oraz groby UPA na swoim terenie. Gdy natomiast ostrzelano z granatnika polski konsulat w Łucku, jedną z rozważanych przez tamtejsze służby wersji wydarzeń była… zemsta Ukraińców za niewydanie wizy.

Mimo przypisywanej polskim władzom antyukraińskości Warszawa nie stawiała sprawy antypolskich incydentów na ostrzu noża. Nawet więc jeśli były to rosyjskie prowokacje mające na celu skłócenie obu narodów, to Polska rękawicy nie podjęła. Natomiast demontaż pomnika UPA w Hruszowicach na Podkarpaciu ukraińskie MSZ nazwało „jawną prowokacją w przededniu akcji »Wisła«, mającą na celu odwrócenie uwagi od tej niechlubnej daty". Nad Dnieprem argumentowano, że o ile polskie miejsca pamięci niszczą „nieznani sprawcy", o tyle w przypadku Hruszowic był to „rozbój w biały dzień", bo rozbiórki dokonano decyzją lokalnych władz. Wniosek: Polska oficjalnie stanęła po stronie wandali. Przy okazji w ukraińskich mediach pojawił się fałszywy przekaz: pomnik poświęcony „bohaterom UPA" mylnie nazwano „monumentem nagrobnym", mimo że stał na terenie cmentarza akurat w miejscu, w którym żadnego grobu nie było.

Jednak „po Hruszowicach nic już nie jest takie samo", dlatego w zemście za demontaż gloryfikującego zbrodniarzy pomnika ukraiński IPN zabronił polskich ekshumacji na Ukrainie. Zakaz ma obowiązywać do momentu oficjalnego uznania wszystkich ukraińskich miejsc pamięci na terenie Polski. Kijów proponuje układ: w zamian za legalizację wszystkich polskich pomników i nagrobków na Ukrainie Polska to samo miałaby zrobić z ukraińskimi pomnikami u siebie. Bez wdawania się w takie „nieistotne" zdaniem Kijowa niuanse jak to, że po wschodniej stronie granicy leżą z reguły kości ofiar ludobójstwa (do którego przecież się nie przyznaje), po zachodniej zaś – upamiętnienia ich katów. Ten moralny szantaż to kolejna cegiełka w budowie fałszywej symetrii win. Do tego dochodzi znana mantra: „Kto wypomina Ukrainie historię, ten działa na rzecz Moskwy".

– Paradoks polega na tym, że szczególnie dziś potrzebne jest ukraińsko-polskie partnerstwo na zasadach wzajemnej równości i szacunku. Potrzebne nie tylko obu krajom, lecz także dla bezpieczeństwa i stabilności w Europie oraz na świecie – mówi „Do Rzeczy" Sofija Fedyna, działaczka Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów, prezenterka, wokalistka sławiąca w swoim repertuarze UPA. – Jednocześnie kryzys w naszych relacjach, niewątpliwie podgrzewany przez Rosję, ma swoje źródła w początkowo nieświadomym, a obecnie coraz jawniej okazywanym przekonaniu pewnych polskich środowisk, że naród ukraiński nie zasługuje na swoje państwo. To powrót do średniowiecza. Pretensje Polski do Ukrainy sprowadzają się do znieważania ukraińskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Jeśli się na to będziemy godzić, to zrzekniemy się tym samym prawa do własnego państwa – dodaje Fedyna.

Oliwy do ognia dolała kampania MSWiA, mająca na celu zaprojektowanie nowego

eprasa.pl 990798db5f

wzoru paszportu z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości. Wśród wzorów graficznych, zaproponowanych przez resort pod głosowanie, znalazło się zdjęcie cmentarza Orląt Lwowskich, co daje Ukraińcom pretekst do oskarżania polskiego rządu o wspieranie nastrojów rewizjonistycznych. Jeśli oburzamy się, gdy na Ukrainie mówi się o Chełmszczyźnie i Przemyślu jako o „utraconej ojczyźnie", to sami też powinniśmy się wystrzegać sentymentu do „polskiego Lwowa". Szczególnie że cmentarz Orląt Lwowskich, na którym pochowani są młodzi bohaterowie walk o polskość miasta z 1918 r., jest akurat jednym z niewielu sukcesów polsko-ukraińskich relacji z polityką historyczną w tle. Biorąc pod uwagę stopień napięcia we wzajemnych stosunkach, zapewne dziś Ukraińcy nie wydaliby zgody na budowę takiego obiektu.

– Powody pogorszenia relacji na tle historycznym są podobne. Zarówno Polacy, jak i Ukraińcy postawili sobie za cel udowodnić, że są największymi ofiarami II wojny światowej i że ich narody najbardziej walczyły o niepodległość. Trwa licytacja, kto był większą ofiarą. Muszę przyznać, że Ukraińcy grają w tej sprawie bardziej nie fair, przymykając oczy na haniebne strony w biografii np. Szuchewycza, ale i Polacy z dzisiejszym stanem dyskusji o żołnierzach wyklętych czy Jedwabnem nie mogą, niestety, służyć za dobry wzorzec – mówi „Do Rzeczy" Olena Babakova, ukraińska dziennikarka portalu Eastbook.eu.

PROPOLSCY BANDEROWCY

„Ochłodzenie między Warszawą a Kijowem to tendencja obopólna, dotycząca wąskiej, ale znaczącej grupy radykałów po obu stronach granicy" – stwierdził ukraiński politolog Aleksiej Jakubin w obszernym komentarzu udzielonym agencji RIA Novosti Ukraina. Jego zdaniem Kijów i Warszawa popełniają ten sam błąd: stawiając politykę historyczną ponad wyzwaniami współczesności, nawzajem siebie prowokują, w dłuższej perspektywie skazując się na izolację na arenie międzynarodowej.

„Stosunki między państwami mogą się polepszać tylko wówczas, jeśli oparte są na pragmatyzmie, na wspólnym interesie ekonomicznym. W sprawie historii nie dogadamy się, nasze poglądy zbyt mocno różnią się między sobą" – konstatuje Jakubin. Politolog, krytykując oba narody i państwa za izolacjonizm, mówi o „wykorzystywanych przez polityków" antypolskich incydentach na Ukrainie i antyukraińskich w Polsce, dodając przy tym, że „polska ksenofobia" wynika z niepowodzeń transformacji ustrojowej, nie próbując jednak z podobną surowością rozliczać antypolskich nastrojów na Ukrainie.

Jednak dzieli nas nie tylko historia. Serhij Sydorenko na łamach „Europejskiej Prawdy" alarmował kilka miesięcy temu, że Polska, jeszcze do niedawna prowadząca bardzo liberalną politykę migracyjną wobec południowo-wschodnich sąsiadów, od 2015 r. (a więc od przejęcia władzy przez PiS) wydaje Ukraińcom coraz mniej wiz schengeńskich, choć wciąż to polskie placówki dyplomatyczne tych wiz wydają obywatelom Ukrainy najwięcej. Wprowadzenie ruchu bezwizowego też nie zostało nad Dnieprem potraktowane jako zasługa Polski, lobbującej za sojusznikiem na forum unijnym. Mało tego: w liberalnych, proeuropejskich (a wciąż z reguły wrażliwych na kwestie historyczne) środowiskach ukraińskich coraz częściej słychać opinie w rodzaju: „Polska, skonfliktowana z Brukselą, przestaje być zarówno skutecznym rzecznikiem naszych interesów".

Stąd też trudno się dziwić, że ta część ukraińskiej opinii publicznej, podobnie jak cała zachodnia lewica, z sympatią przyglądała się antyrządowym protestom. Mieszkający w Polsce Ukrainiec, działacz Obywateli RP, rozdawał demonstrantom znaczki w swej treści posyłające PiS „na chuj", w nawiązaniu do rozdawanych podczas rewolucji w Kijowie wlepek „Putin, PNCh". I tak Majdan, który wcześniej był dla Polaków synonimem walki o wolność, dziś kojarzy się z siłowym obaleniem władzy. Obie strony barykady wykazują się tutaj ignorancją w kwetii sytuacji u sąsiada. Ukraińscy liberałowie, porównując Kaczyńskiego do Janukowycza czy Putina, nie chcą zrozumieć, że w Polsce ciesząca się ogromnym poparciem władza przez prawie dwa lata coraz ostrzejszych, a ostatnio i bezprawnych protestów ani razu nie użyła siły wobec przeciwników. Nie chcą zrozumieć, że w stabilnej polskiej demokracji rządy zwykło się zmieniać przy urnach, nie zaś na ulicy. Z kolei spora część polskiej prawicy, zrównując Majdan z puczem, mówi językiem Janukowycza, zapominając, że w Kijowie jako pierwsza brutalnej siły użyła władza, nie zaś demonstranci.

W podejściu do historii spora część ukraińskiej opinii publicznej, od lewa do prawa, jest zgodna. W uproszczeniu to stanowisko brzmi: „Nieważne, co sobie myślą Polacy, kiedyś wzajemnie się zabijaliśmy, ale dziś kult Bandery jest nam potrzebny do walki z Rosją". Nie ma żadnych szans na zmianę tego poglądu w najbliższym czasie. Być może dlatego polskie plany budowy silnego bloku państw w środku Europy już nie przewidują udziału Ukrainy.

Jednak warto pamiętać, że współpracy z antyrosyjską i konserwatywną Polską wciąż pragną wrogo nastawieni wobec zarówno putinowskiego imperializmu, jak i „zachodniego zepsucia"... ukraińscy nacjonaliści spod znaku Bandery. O potrzebie budowy sojuszu bałtycko-czarnomorskiego od dawna mówią (i potwierdzają to w oficjalnych programowych dokumentach) aktywiści Prawego Sektora, pułku Azow i partii Korpus Narodowy. – Rosja traci ogromne pieniądze na wspieranie antyukraińskich nastrojów, także w Polsce. To, że są u was antyukraińscy politycy, jest zjawiskiem tymczasowym. Nie jesteśmy przeciwko Polakom, tylko przeciwko szowinistom, których wszędzie pełno. Wypowiedzi niektórych polskich polityków na temat Ukrainy nie uważamy za opinię całego narodu polskiego – mówi „Do Rzeczy" Artiom Skoropadski, rzecznik Prawego Sektora.

Trójmorze i sojusz bałtycko-czarnomorski uważa za w gruncie tę samą ideę. – Istnienie takiego sojuszu bez Ukrainy jest po prostu niemożliwe, dlatego to, kto kogo zaprosił albo nie zaprosił na konkretny szczyt, to kwestia drugorzędna. Polacy powinni zrozumieć, że mamy wspólnego wroga. Jeśli chodzi o Banderę, to każdy naród sam sobie wybiera bohaterów. Piłsudski też nigdy nie będzie bohaterem dla Ukraińców, ale my uznajemy prawo narodu polskiego, by samodzielnie wybierał bohaterów swojej trudnej historii, w której cierpienie zadawały wam przede wszystkim Rosja i ZSRS, a nie Ukraina – dodaje. Zapytany, czy PS uznaje prawo Polski do nazywania zbrodni wołyńskiej ludobójstwem, odpowiada krótko: – To już wasza sprawa.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

SPROSTOWANIE

Zawarte w artykule Cezarego Gmyza, opublikowanym w Numerze 30/232 pt. „Sędziowie »najwyżsi«", informacje dotyczące sędziego Sądu Najwyższego Józefa Dołhy, jakoby uczestniczył jako członek składu orzekającego w sprawie Grzegorza Kukowskiego, skazanego na podstawie dekretu o stanie wojennym, są niezgodne z prawdą.

Józef Dołhy

eprasa.pl 990798db5f

FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA BOBCA

Z dr. hab. Andrzejem Bobcem, biologiem i leśnikiem
rozmawia Stefan Sękowski

Puszcza jest wieczna

STEFAN SĘKOWSKI: Czy to dobrze, że minister Szyszko ignoruje nakaz Trybunału Sprawiedliwości UE, by wstrzymać wycinki w Puszczy Białowieskiej?

DR HAB. ANDRZEJ BOBIEC: Nie. Nakaz TS UE zbieżny jest z głosem setek tysięcy Polaków, od 25 lat domagających się ustanowienia państwowej ochrony dla całej Puszczy Białowieskiej.

Ponoć został podjęty na podstawie opinii urzędników, którzy nie potrafią odróżnić kornika od żaby.

W przeciwieństwie do ministra nie miałem okazji sprawdzić kompetencji unijnych ekspertów. Jednak dlaczego, skoro pan minister widzi, że ma do czynienia z ignorantami, nie zwróci się do polskich, z całą pewnością kompetentnych fachowców – badaczy? Polska jest krajem unijnym, nasi eksperci – przedstawiciele ośrodków akademickich i badawczych z całego kraju – często bywają w puszczy i prowadzą tam badania. Z własnej inicjatywy uruchomili portal Nauka dla Przyrody, ślą do ministra listy, dostarczają wiele merytorycznych argumentów, fachowo komentują poczynania ministerstwa i Lasów Państwowych.

Dlaczego więc fachowy ekspert chce wstrzymania wycinek w puszczy?

Żeby przestano traktować ją jako poligon doświadczalny korporacji Lasy Państwowe. Tymczasem minister Szyszko próbuje podpiąć się pod skądinąd słuszną kontestację ingerencji Komisji Europejskiej w wewnętrzne sprawy Polski. Tutaj chodzi o próbę radykalnej naprawy czegoś, co naprawy wymaga, tak jak polski wymiar sprawiedliwości. Chodzi o zaprzestanie niszczenia największego skarbu przyrodniczo-historycznego Polski. Należało to uczynić natychmiast po 1989 r., gdy mało kto wiedział, czym jest Unia.

I ten skarb zjada właśnie kornik drukarz.

Trudno się dziwić, że ludzie w to wierzą, bo mamy do czynienia z bardzo jednostronnym przekazem. Lasy Państwowe dysponują wielkimi środkami na propagandę. Kornik drukarz odżywia się tkanką – miazgą. Jej uszkodzenie prowadzi do śmierci drzewa. Taka jest natura kornika i nie zmieniła się ona od setek tysięcy lat. Po ostatnim zlodowaceniu od 7–8 tys. lat nieustannie żeruje on na świerku. W Puszczy Białowieskiej w XX w. już nieraz dochodziło do gradacji, czyli masowego pojawu kornika drukarza, a świerk jak był, tak jest. Zmienia się tylko jego udział w drzewostanie – w ostatnich dziesięcioleciach ulega zmniejszeniu.

Sytuacja staje się coraz bardziej poważna?

W latach 90. mieliśmy do czynienia z gradacją o zbliżonym przebiegu. Używano identycznych argumentów – że zginie świerk, że jest to śmiertelne zagrożenie dla puszczy czy że grożą nam pożary. Jako przykład podawano rezerwat Wysokie Bagno nieopodal Białowieży. Leśnicy mówili: „Zobaczcie, na torfie rosła piękna świerczyna, teraz są tu tylko kikuty drzew". Dzisiaj w samym rezerwacie i wokół niego rosną piękne młode świerki.

eprasa.pl 990798db5f

Niemniej starszych świerków tam nie ma.

I nie byłoby ich przy wycince. Żeby zatrzymać gradację kornika, musielibyśmy wyciąć co najmniej 80 proc. wszystkich świerków zasiedlanych przez kornika w puszczy. To nierealne. Ochronie prawnej podlegają cały Białowieski Park Narodowy i sieć rezerwatów, gdzie nie można prowadzić cięć sanitarnych, a po stronie białoruskiej też mamy dużą sieć rezerwatów ścisłych, gdzie również nie prowadzi się cięć. Gdyby nawet leśnicy bardzo skrupulatnie przeprowadzali wycinkę, i tak nie powstrzymają gradacji. Potrafi to tylko przyroda: rozrzedzając populację świerka, wymrażając owady zimą i infekując ich larwy pasożytniczymi grzybami w czasie wilgotnego oraz niezbyt ciepłego lata.

Nie powinno się nawet próbować?

Takie działania zawsze będą przypominały zawracanie rzeki kijem. Nie potrafimy zatrzymać zmian klimatycznych – niezależnie od tego, co jest ich przyczyną. Chłód i wilgoć to jest to, co świerki, wyposażone w płytki system korzeniowy, lubią najbardziej. Wraz z postępującym ociepleniem musimy się przyzwyczaić do gradacji, bo są one narzędziem, jakim przyroda posługuje się, dostosowując lasy do zmieniających się warunków klimatycznych.

Pomijając to, z jakich powodów wycina się drzewo – dlaczego interesuje nas, co się dzieje poza rezerwatami i parkiem narodowym?

Dlatego, że obecny podział na część gospodarczą i część chronioną po kilkuset latach ochrony całej puszczy (od czasów Władysława Jagiełły) jest nie do obrony. Obecny „porządek" wprowadził okupant niemiecki w czasie I wojny światowej, gdy po raz pierwszy Puszcza Białowieska stała się przedmiotem regularnej gospodarki leśnej. Zadbał jednocześnie, by utworzyć i pozostawić bez ingerencji rezerwat – teren obecnego obszaru ochrony ścisłej parku. Chociaż modyfikowany, to ten niechlubny „eksperyment" trwa nadal po stu latach – w puszczy będącej jedynym w swoim rodzaju żywym pomnikiem I Rzeczypospolitej.

Jednak nawet za Jagiellonów nie była to „puszcza pierwotna", w której człowiek nic nie robił. Już choćby to, że król mógł tam polować czy że pracowali tam bartnicy, świadczy o tym, że to puszcza, na którą człowiek miał duży wpływ.

Nie twierdzę, że to był rezerwat ścisły! Istniał podział na uroczyska i ostoje. Uroczyska służyły m.in. bartnictwu, sianożęciom, rybołówstwu czy warzeniu smoły, a z ostoi mógł korzystać jedynie monarcha w czasie polowań. W puszczy mamy do czynienia z niemal stałą obecnością człowieka, a mimo tego zachowała się w stanie zupełnie unikatowym w skali całej Europy.

To znaczy?

Wyjątkowość puszczy na tle innych lasów Europy podkreślał już od początku XIX w. niemiecki leśnik Juliusz von Brincken, poświęcając jej bardzo ciekawą monografię. Tak jak inni przedstawiciele epoki niezachwianie wierzył w nieograniczone możliwości ludzkiego rozumu, zdolnego panować nad całą przyrodą, hodować lasy i zwalczać ich choroby – w tym kornika drukarza. Brinckena zaskoczyło to, że pomimo niepodejmowania jakichkolwiek zabiegów sanitarnych nie było widać oznak spowodowanego przez kornika zamierania drzew. Tłumaczył to specyfiką występowania świerka – albo w najwilgotniejszych, chłodnych miejscach, albo w znacznym rozproszeniu, jako domieszka wśród drzew liściastych. Jak widać, do takiego stanu wraca dziś sama przyroda.

Jednak dziś w puszczy świerk występuje w monokulturze. Dlaczego?

Bartnictwo wiązało się z korzystaniem z ognia. Bartnicy podpalali pnie sosen, by uzyskiwać łuczywo potrzebne do okopcania rojów pszczelich. Najnowsze badania dowodzą, że na porządku dziennym było, iż dno lasów Puszczy Białowieskiej się paliło.

Mimo tej ochrony?

Brincken zachwyca się kunsztem, z jakim mieszkańcy okolic puszczy posługiwali się w lesie ogniem. Prawdopodobnie wypalano poszycie lasu także po to, by poprawić widoczność podczas polowań. Sosna lubi ogień, bo niszczy konkurencję takich drzew jak grab czy świerk. Sama z grubą, dobrze izolującą korą doskonale znosi pożary runa i podszytu. Gdy zakazano palenia ognia w lesie, nastąpiła absolutna zmiana warunków – tam, gdzie dominowała sosna, na uwolnione od ognia siedliska masowo wkroczył świerk. Las był więc częściowo modyfikowany przez człowieka, ale nie była to hodowla drewna. Dla Brinckena różnica była oczywista.

Przecież wypalanie i wycinka wpływają na skład gatunkowy lasu, człowiek sztucznie go modyfikuje. Skutek jest ten sam.

eprasa.pl 990798db5f

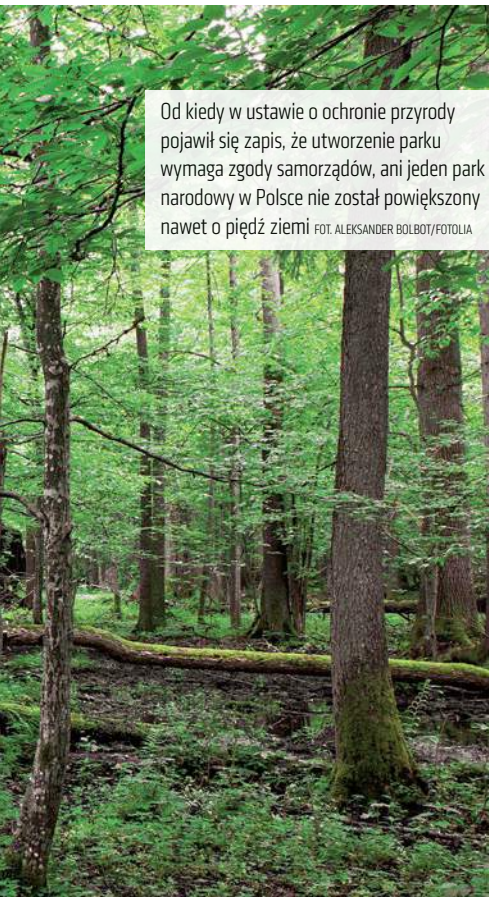

Od kiedy w ustawie o ochronie przyrody pojawił się zapis, że utworzenie parku wymaga zgody samorządów, ani jeden park narodowy w Polsce nie został powiększony nawet o piędź ziemi FOT. ALEKSANDER BOLBOT/FOTOLIA

Nieprawda. Efektem wypalania były wielowiekowe bory sosnowe. Nikt tych drzew nie sadził. Pierwsze nasadzenia w Puszczy Białowieskiej to dopiero początek XX w. Wycinka średnio w jednej trzeciej potencjalnej długości życia drzewa, orka, a potem sadzenie sadzonek ze szkółki to coś zupełnie innego. Minister Szyszko od pewnego czasu kontestuje ideę Puszczy Białowieskiej jako przyrodniczego światowego dziedzictwa ludzkości na rzecz dziedzictwa kulturowo-przyrodniczego. Twierdzi, że puszcza jest dziełem rąk człowieka, co ma uzasadniać działalność prowadzoną przez Lasy Państwowe. Nic bardziej mylnego. Kiedyś człowiek rozmaicie korzystał z lasu, ale go nie hodował. Tak zachowaną puszczę powinniśmy traktować jako żywy pomnik, który jest absolutnym ewenementem w skali Europy. W naszych granicach znalazła się znaczna część Puszczy Białowieskiej, dawnego najważniejszego lasu Rzeczypospolitej. To skandal, że zaborca potrafił docenić wyjątkowość puszczy i chronić jako najcenniejszy las imperium, a w Polsce niepodległej jest ona poligonem doświadczalnym „zrównoważonej gospodarki leśnej".

Minister Szyszko kiedyś był zwolennikiem rozszerzenia Białowieskiego Parku Narodowego na teren całej puszczy. Co się zmieniło?

Pan minister nigdy tego nie wyjaśnił. W 1998 r., gdy był ministrem środowiska w rządzie Jerzego Buzka, ogłosił „Kontrakt dla Puszczy Białowieskiej", mający pomóc lokalnym społecznościom, by te w optymalny dla siebie sposób mogły wykorzystać nową koniunkturę, która pojawi się wraz z zapowiedzianym powołaniem dużego parku narodowego, obejmującego całą puszczę.

To byłby jednak dla nich duży koszt.

Per saldo mieszkańcy by na tym bardzo skorzystali. Na całym świecie, np. w okolicy parku Yellowstone czy Glacier National Park w USA, na Kostaryce czy na granicy Mozambiku i RPA, miejscowości oraz obszary administracyjne graniczące z parkami (tzw. gateway communities) biją pod względem zamożności i jakości życia na łeb na szyję podobne ośrodki, położone jednak z dala od popularnych obszarów chronionych. Proszę zresztą porównać gminę Białowieża, która jest siedzibą BPN, z drugą puszczańską gminą Dubicze Cerkiewne, w której nie ma „bramy do parku", czy gminą Narewka, która ma jedynie niewielką styczność z parkiem. Niedawno byłem w Białowieży i rozmawiałem z gospodynią, u której mieszkałem. Mówię jej: „Ale tu macie dobrze w tej Białowieży. Nic, tylko sobie chatę przygotować, a ludzie sami przyjadą. I kasować, kasować". A ona na to:

Puszczę powinniśmy traktować jako żywy pomnik, który jest absolutnym ewenementem w skali Europy

„Tak, jak tylko ktoś chce, to jest to sposób na niezłe życie". Takie „niezłe życie" miał rozciągnąć na wszystkie gminy powiatu „Kontrakt…". Minister Szyszko otrzymał na realizację tego celu z budżetu państwa 30 mln zł.

Spore pieniądze. A jednak się nie udało.

Od samego początku ogłoszenia „Kontraktu…" Lasy Państwowe straszyły ludzi, że park narodowy pozostanie rezerwatem ścisłym, który kojarzył się z płotem. Rzeczywiście, był nim do 1996 r., ale w momencie ogłaszania „Kontraktu…" już od dwóch lat nie ograniczano miejscowym mieszkańcom możliwości korzystania z bogactwa runa leśnego na połowie powierzchni parku – leśnicy doskonale o tym wiedzieli. Niestety, już rok po ogłoszeniu „Kontraktu…", wiosną 1999 r., goszczący w Białowieży minister zapewnił miejscowych samorządowców: „Jako stary samorządowiec nie śmiem Wam proponować żadnych rozwiązań", czytaj: obiecane przez rząd pieniądze są wasze, ale powiększenia parku nie będzie. Dla samorządowców była to niezwykle pouczająca lekcja skutecznej kontestacji władzy państwowej: nie zgadzaj się, bo za to płacą. Nieźle płacą…

Nic o nas bez nas.

To ładnie brzmi, jednak park narodowy to nie jest własność gminy. Nie chodzi o tworzenie parku na gruntach prywatnych czy gminnych, tylko na gruntach Skarbu Państwa. Niestety, od kiedy w ustawie o ochronie przyrody pojawił się zapis, że utworzenie parku wymaga zgody samorządów, ani jeden park narodowy w Polsce nie został powiększony nawet o piędź ziemi.

Chciał to zmienić prezydent Lech Kaczyński, pod którego auspicjami powstał projekt ustaw mających doprowadzić do utworzenia Parku Narodowego Puszczy Białowieskiej, na terenie całej puszczy. Co się z nim stało?

Miałem zaszczyt być uczestnikiem zespołu, który opracował projekty tych ustaw. Niestety, widać było obstrukcję ze strony przedstawicieli Lasów Państwowych. Z nieukrywanej niechęci obecnych w zespole przedstawicieli lobby leśnego, mało konstruktywnej czy wręcz obstrukcyjnej jego postawy w trakcie naszych prac mogę się domyślać, że odpowiednio zadbali, by inicjatywa prezydenta nie weszła do laski marszałkowskiej. Szkoda, bo doskonale wpisywała się w kilkusetletnią tradycję mecenatu głowy państwa nad Puszczą Białowieską. Dziwne, że nie rozumie tego obecny minister z patriotycznego ugrupowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Stefan Sękowski jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji".

dr hab. Andrzej Bobiec – biolog, leśnik, wykładowca Uniwersytetu Rzeszowskiego, w latach 1995–2007 prezes Towarzystwa Ochrony Puszczy Białowieskiej.

eprasa.pl 990798db5f

Fundusze – dowiedz się więcej

Polska korzysta z Funduszy Europejskich pełną parą. Głównie dzięki temu w ciągu 13 lat członkostwa w Unii Europejskiej otrzymaliśmy z jej budżetu ponad 91 mld euro więcej, niż do niego wpłaciliśmy. W tym czasie inne kraje Unii, np. Szwecja lub Holandia, do niego dopłacają. Większość z tej kwoty wydaliśmy na inwestycje zgodne z tzw. polityką spójności, czyli działalnością Unii na rzecz wyrównywania poziomu życia jej mieszkańców.

Budżety UE ustalane są raz na siedem lat. W latach 2014–2020 to ponad 950 mld euro. W Polsce korzystamy z nich za pośrednictwem tzw. programów operacyjnych, które określają, kto, na jakie projekty i na jakich warunkach może otrzymać dofinansowanie. Realizujemy obecnie sześć programów krajowych i 16 regionalnych. Do tego doliczamy programy współpracy terytorialnej zazwyczaj obejmujące obszary przygraniczne. Łącznie to ponad 82 mld euro na polską gospodarkę, edukację, inwestycje publiczne i projekty społeczne.

Czy wiesz, że dzięki Funduszom Europejskim...

- powstała wyszukiwarka połączeń komunikacji miejskiej Jakdojade.pl, z której korzysta miesięcznie ok. 5 mln użytkowników?
- opracowano BRASTER, pierwsze na świecie urządzenie, które pozwala na samodzielne badanie piersi w domu i wykrywa najmniejsze zmiany nowotworowe?
- zbudowano pierwszy w Europie autobus elektryczny SOLARIS?
- powstało 12 000 km autostrad, dróg ekspresowych, krajowych, wojewódzkich, powiatowych, gminnych?
- zbudowano i unowocześniono 16 baz Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, czyli powietrznych karetek?
- powstało prawie 410 tys. nowych miejsc pracy?
- Polacy założyli blisko 250 tys. firm?
- ponad milion mieszkańców wschodniej Polski zyskało dostęp do szybkiego Internetu?
- powstał najdłuższy w Polsce szlak rowerowy GreenVelo o długości ok. 2 tys. km.

Informacja o wszystkich projektach dostępna jest na stronie: www.mapadotacji.gov.pl.

NA CO WYDAJEMY TE PIENIĄDZE?

Najwięcej środków przeznaczanych jest na inwestycje w firmach i samorządach. Celem jest tworzenie miejsc pracy, wprowadzanie do gospodarki nowych technologii, produktów i usług. Dzięki temu polskie firmy mogą skuteczniej konkurować z zagranicznymi. Wspierane są szkoły i uczelnie, a osoby dorosłe mogą korzystać z dofinansowanych szkoleń. Gospodarka zyskuje także dzięki większej dostępności do Internetu, nowym drogom szybkiego ruchu i inwestycjom na kolei. Co ciekawe, wpływ na stan gospodarki mają również projekty z zakresu ochrony zdrowia – programy profilaktyczne, kształcenie kadr medycznych czy też ratownictwo medyczne zmniejszają koszty leczenia i pomagają pracownikom utrzymać sprawność i dobre zdrowie.

Dzięki środkom unijnym reformowane są instytucje publiczne, choćby przez zastosowanie nowych technologii i przeniesienie części usług do Internetu. Fundusze Europejskie to również lepszy stan środowiska naturalnego, rozległa sieć kanalizacji i wodociągów, lepsze zarządzanie odpadami oraz odnawianie zdegradowanych terenów poprzemysłowych.

Dzięki funduszom unijnym zyskują także osoby w trudnej sytuacji, np. bezrobotne, z niepełnosprawnością

Fundusze w liczbach

- **82,5 mld euro** – tyle z funduszy unijnych zainwestujemy w Polsce do 2023 r.
- **40%** – to skala środków z całej puli FE, którymi zarządzają regiony
- **6** – liczba programów krajowych
- **27,4 mld euro** – budżet największego w historii UE programu Infrastruktura i Środowisko
- **18 mld euro** – środki na rozwój firm i podniesienie innowacyjności gospodarki

eprasa.pl 990798db5f

Europejskie

Zbudowano i unowocześniono 16 baz Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, czyli powietrznych karetek FOT. PIOTR BŁAWICKI/EAST NEWS

albo opiekujące się chorymi rodzicami. Mogą liczyć na bardziej konkretne i lepsze wsparcie organizacji i samorządów, które pozyskują na ten cel środki europejskie.

Dla wielu osób, firm i samorządów skorzystanie z Funduszy Europejskich to szansa na rozwój i lepsze warunki życia i pracy. Szczegółowych informacji o Funduszach Europejskich udzielają bezpłatnie pracownicy ogólnopolskiej sieci punktów informacyjnych. Dane kontaktowe dostępne są na stronie www.funduszeeuropejskie.gov.pl.

Agnieszka Lewandowska

Fundusze Europejskie wspierają:

- prowadzenie badań naukowych
- upowszechnianie szybkiego Internetu i usług cyfrowych
- rozwój konkurencyjności przedsiębiorstw
- ograniczanie emisji zanieczyszczeń
- działania przeciwko zmianom klimatu
- ochronę środowiska i dziedzictwa kulturowego
- rozwój sprawnego transportu
- tworzenie miejsc pracy
- zmniejszanie ubóstwa
- poprawę jakości edukacji
- usprawnianie i zwiększenie dostępności administracji publicznej

Dowiedz się więcej: funduszeeuropejskie.gov.pl

Co możesz zyskać dzięki wsparciu funduszy?

- podniesienie lub zdobycie kwalifikacji, np. przez udział w szkoleniu
- pomoc w znalezieniu pracy lub założeniu firmy
- dostęp do e-usług, np. nie wychodząc z domu, rozliczysz się z fiskusem
- dostęp do żłobka lub przedszkola dla swojego dziecka
- możliwość studiowania – także za granicą
- pomoc w opiece nad starszymi krewnymi
- dostęp do autostrad, nowych dróg, nowoczesnej komunikacji miejskiej

AKCJA INFORMACYJNA

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPÓJNOŚCI UNII EUROPEJSKIEJ

Fundusze Europejskie

MINISTERSTWO ROZWOJU

Unia Europejska
Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

eprasa.pl 990798db5f

FOT. TINA ROVDEN/NETFLIX

Jak wyprać osiem milionów

Piotr Gociek

„Ozark" – nowy serial Netflixa – to solidna propozycja dla miłośników kryminałów w duchu „Breaking Bad"

Byłbym w tym dobry – przekonuje samego siebie Martin Byrde, główny bohater serialu „Ozark". – I niczym nie różniłoby się to od tego, czym zajmuję się na co dzień. Przelewanie pieniędzy z konta na konto, ruszanie myszką po biurku – dodaje.

Tym „czymś" jest pranie pieniędzy dla drugiego co do wielkości narkotykowego meksykańskiego kartelu. „Zawsze musicie podkreślać, że drugiego!" – z pretensją mówi w jednym z odcinków Del, ważna figura w kartelu, człowiek, który z intratną propozycją zwróci się do Byrde'a. Obracać setkami milionów, by zarobić miliony. „O jakich sumach mówimy?" – pyta żona Martina, Wendy. „Już nigdy, przenigdy nie musielibyśmy martwić się o pieniądze" – odpowiada Martin. To przesądza sprawę.

ŻYCIE NA PRÓBĘ

W chwili, gdy poznajemy Martina Byrde'a, biznes kwitnie, rodzina żyje na poziomie dowodzącym, że przestępstwo popłaca, a główny bohater ze wspólnikiem szukają nowego, większego biura do wynajęcia. Chicago leży u ich stóp. Wszystko idzie jednak w diabły, gdy okazuje się, że ów wspólnik podbierał po cichu pieniądze kartelu, za co czeka tylko jedna kara – kula w łeb i rozpuszczenie ciała w beczce z kwasem.

Martin uchodzi z życiem, bo po pierwsze to nie on kradł, a po drugie Del ceni jego talenty. Jest to jednak życie na kredyt, życie na próbę. A nową umowę zawarto na drakońskich warunkach. Rodzina Byrde'ów ma spieniężyć wszystko, co posiada, zwrócić ukradzione przez wspólnika Martina pieniądze i wynieść się z Chicago. Potem Martin, zaczynając od zera w nowym miejscu, ma udowodnić swoją przydatność – na początek wyprać 8 mln dol. Jeśli uda mu się w wyznaczonym terminie tego dokonać, to wówczas on i rodzina zachowają życie. I będą dalej pracować dla kartelu, obracając kolejnymi milionami.

eprasa.pl 990798db5f

Dlaczego tym nowym miejscem jest Kraina Ozark na południu stanu Missouri, a dokładnie wybrzeże największego jeziora z tych miejscowych? Tego widzowie dowiadują się z pierwszego odcinka nowego serialu Netflixa. Twórcami serii są Bill Dubuque i Mark Williams, a główną rolę zagrał Jason Bateman (wyreżyserował też kilka odcinków). Pierwszy sezon liczy dziewięć odcinków.

Skojarzenia z serialem „Breaking Bad" są oczywiste. Martin Byrde, podobnie jak Walter White, to zwykły obywatel, który wkracza na niebezpieczne ścieżki przestępczego półświatka, nie mając zielonego pojęcia o prawdziwych konsekwencjach tej decyzji. Motywacja jest podobna – pieniądze, które mają zapewnić dostatnią przyszłość rodziny. Podobieństw jest więcej: obaj bohaterowie są ponadprzeciętnie inteligentni i bardzo utalentowani, nadspodziewanie dobrze radzą sobie w sytuacjach bez wyjścia. Obaj także bardzo długo nie zauważają pewnej złowrogiej prawidłowości – w mrocznej krainie bezprawia, w której teraz działają, wyjście z każdej opresji jest jednocześnie wdepnięciem w jeszcze większe kłopoty.

Postać Martina „Marty'ego" Byrde'a okazuje się wprost stworzona dla Jasona Batemana, specjalizującego się w rolach amerykańskich everymanów XXI w. Karierę miał dotąd długą i bogatą. W telewizji przede wszystkim serial „Bogaci bankruci" („Arrested Development"), w kinie obydwie części komedii „Szefowie wrogowie", ostatnio też gorzkie komedie „Rodzina Fangów" i „Powiedzmy sobie wszystko". Były to role zauważalne, ale wielkich osiągnięć w tym wszystkim brakowało. Kto wie, może serial „Ozark" będzie dla Batemana takim samym strzałem w dziesiątkę, jak dla Lieva Schreibera serial „Ray Donovan"? Jego zbolała twarz osobnika z klasy średniej nieustannie zmagającego się z życiowymi kłopotami pasuje jak ulał do pechowego magika od finansów, który trochę z ciekawości, trochę z pychy i trochę z chciwości wpakował siebie oraz swoją rodzinę w sam środek koszmaru wydającego się nie mieć końca.

Ważne słowo – „rodzina". W „Breaking Bad" od pewnego momentu wiernym wspólnikiem Waltera White'a staje się jego żona. W serialu „Ozark" Wendy Byrde od samego początku zdaje sobie sprawę z charakteru ubocznej działalności męża, ale przez długie lata zadowala się jedynie rolą beneficjentki. Po gwałtownym zwrocie akcji, jakim jest wymuszona przeprowadzka do Missouri, także ona stanie się bardzo wynalazcza, jeśli chodzi o wynajdywanie nowych sposobów prania pieniędzy. Małżonkowie oprócz tego mają wiele innych kłopotów – ich związek jest na ostrym zakręcie, a wszystkiemu przyglądają się dzieci: 13-letni Jonah i 15-letnia Charlotte.

Na początku serialu „Ozark" postać Wendy Byrde przypomina trochę Abby, żonę Raya Donovana z serialu pod tym samym tytułem. Skoncentrowana na wychowaniu dzieci, świadoma tego, jak mąż zarabia na ich wspólne dostatnie życie, ale odwracająca od tego oczy. Mąż oczywiście też woli swoje ciemne sprawy omawiać ze wspólnikiem lub zleceniodawcą, trzymając żonę z dala od brudów. Tak pojawia się poczucie wyobcowania, rośnie mur. Wendy w podobny sposób co Abby będzie szukała pocieszenia, co oczywiście bardzo mocno zaciąży na małżeńskich relacjach. Grająca ją Laura Linney jest – podobnie jak

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 13.08-28.08.2017 r. oraz 27.08 - 01.10.2017 r.

25 zabiegów na 7 dni pobytu
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl 990798db5f

FOT. JACKSON DAVIS/NETFLIX

Jason Bateman – aktorką dobrą, ale nie wybitną, lecz podobnie jak reszta obsady zdaje się w „Ozark" bardzo na swoim miejscu.

KAŻDY PRZED CZYMŚ UCIEKA

Rodzinne kłopoty, groźby kartelu, zwały nielegalnej gotówki – tak, ale „Ozark" jest także o czymś jeszcze: o mieszczuchach przeniesionych nagle na głęboką prowincję. Akcja serialu nie rozgrywa się co prawda aż w tak dzikich ostępach jak „Do szpiku kości" (pamiętacie ten dramat z Jennifer Lawrence?) i nie w górach, lecz na porośniętym lasami płaskowyżu wokół jeziora, ale i tak różnica jest kolosalna.

Miejscowi żyją głównie z turystów, są nieufni, trzymają się na uboczu i głównie we własnym towarzystwie. Rozrywkę zapewnia podrzędny bar ze striptizerkami. W sezonie, gdy miastowi przybywają popływać motorówkami, trzeba zarobić na resztę roku, po sezonie kurort zamiera. Lokalne biznesy – od ośrodków wypoczynkowych do domu pogrzebowego – wyglądają, jakby istniały jeszcze tylko dzięki sile woli ich właścicieli. Wszyscy członkowie rodziny Byrde'ów serdecznie znienawidzą tę okolicę, ale skoro nie ma innego wyjścia, będą robić dobrą minę do złej gry. Wkrótce okaże się też, że mieszkańcy ostępów wokół Ozark mają własne mroczne tajemnice i powody, by trzymać gębę na kłódkę. „Nie znam nikogo, kto przeniósł się tutaj, nie uciekając przed czymś" – objaśnia Buddy Dyker, śmiertelnie chory staruszek, od którego Byrde'owie kupili dom, lecz który mieszka nadal w piwnicy (taki był warunek transakcji – niska cena w zamian za zgodę na spędzenie przez niego reszty życia na starych śmieciach).

Ciekawe rzeczy dzieją się w „Ozark" na drugim planie, gdzie pojawia się sporo intrygująco nakreślonych postaci. Najciekawsza z nich jest 19-letnia Ruth Langmore, córka kryminalisty (zresztą cała jej rodzina to żule lub bandziory), sama przejawiająca wybitny talent do oszustw. Świetnie zagrała ją Julia Garner. Jej Ruth to dziewczyna groźna i krucha zarazem, której zachowania trudno usprawiedliwić, która potrafi być niebezpieczna i odpychająca, a której jednocześnie współczujemy (momentami nawet kibicujemy). Z kolei Jason Butler Harner (w Stanach bardziej znany z teatru niż z kina) wcielił się w ambitnego agenta FBI, który zawziął się na Martina Byrde'a. Agent chce go zdemaskować, a potem szantażem zmusić do wyjawienia wszystkich finansowych sekretów kartelu.

Wątków jest wiele (o dwóch niezwykle istotnych nie napisałem w ogóle, by nie psuć widzom niespodzianki), a że splątano je nieźle, ową mnogością serial „Ozark" nadrabia braki w oryginalności. To dobra telewizyjna robota, miejscami nawet bardzo dobra, z potencjałem na jeszcze przynajmniej dwa sezony, bo finał pierwszego sezonu, przynosząc przesilenie, komplikuje fabułę jeszcze bardziej.

DOBRA ROBOTA, ALE...

„Ozark" ma też dwa słabsze punkty. Po pierwsze, choć scenarzyści i aktorzy starają się jak mogą, by sprawić, byśmy rodzinę Byrde'ów polubili, to jednak ciężko widzowi w pełni angażować się emocjonalnie po stronie kogoś, kto w te wszystkie kłopoty wpakował się na własne życzenie, głównie z prostej chciwości. „Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało".

Kolejną młodą gwiazdą obsady (obok wspomnianej Julii Garner w roli Ruth) jest Sofia Hublitz w roli Charlotty (córka Byrde'ów). Kłopoty spadają na nią w chwili, kiedy osiąga najbardziej buntowniczy wiek. Życie nad brzegami Ozark będzie dla 15-latki szczególnie ciężkie, a kilka scen z jej udziałem złamie wam serce. Sofia Hublitz ma przy tym w sobie niewinność, zalotność i twardość w proporcjach podobnych do tych, które sprawiały, że zachwycaliśmy się młodą Laura Dern w „Dzikości serca").

Druga sprawa to tempo. Pojawiają się w tym serialu dłużyzny, a czasami brakuje nastroju, bo malownicze i tajemnicze okolice jeziora Ozark częściej służą za pocztówkowe tło niż za element sugestywnego budowania mrocznego klimatu (historia zaś jest zdecydowanie mroczna, to już chyba zauważyliście?). Wytłumaczenie jest chyba dość proste – „Ozark" kręcono z myślą o tym, że tak jak inne oryginalne produkcje Netflixa będzie udostępniany od razu w całości, dla miłośników oglądania ciurkiem (tzw. binge-watching). Dlatego mniej tu troski o efektowne zawieszenia akcji między epizodami, więcej miejsca na powolne budowanie relacji między bohaterami. Ten styl opowiadania ma swoje zalety, ale trzeba uważać, by nie stał się wymówką dla rozlazłości. Na szczęście „Ozark" tej granicy nie przekracza.

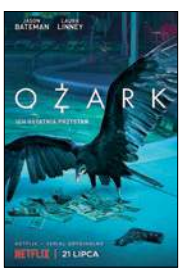

★★★★☆

„OZARK", SEZON 1
USA 2017, DYSTR. NETFLIX

wyst. Jason Bateman, Laura Linney, Julia Garner

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

Wypiski z Máraia

Andrzej Horubała

Czytam „Dziennik" Sándora Máraia. Lata 1949–1956. Sytuacja rzeczywiście dziwna: Czytelnik najpierw opublikował jednotomowy wybór z całości diariusza, a teraz raczy nas tomami poszerzającymi wybór z zapisków

Sytuacja dziwna, bo przecież znamy już tragiczny koniec autora, śledziliśmy jego powolne odchodzenie, zbliżanie się do decyzji, by palnąć sobie w łeb (rok 1989). Byliśmy świadkami jego rozpaczy po stracie żony (1986), ciosów, jakimi była śmierć rodzeństwa i przybranego syna (1987). Czytaliśmy zapiski pokazujące, jak pisarz odstępuje od „Boga religii" i zmierza ku zwątpieniu. Jak schorowany, zniedołężniały odchodzi z tego świata ów polityczny emigrant, u progu niepodległości Węgier, nie zgadzając się na publikowanie jakichkolwiek jego utworów w kraju dopóty, dopóki nie opuści go ostatni sowiecki żołnierz. Znamy to wszystko, a przecież poszerzony wybór z dziennika chłoniemy z niezwykłą uwagą i napięciem.

Jest w zapiskach Máraia jakaś niesamowita energia. Jego spór ze współczesnością nie ma przecież wymiaru tylko politycznego, przeciwnie – dla oczytanych w literaturze przedmiotu jego zapiski dotyczące komunistycznych Węgier nie zawierają jakichś olśniewająco oryginalnych nowych ujęć, a jego antykomunizm jest przewidywalny. Zgoda, kapitalnie piętnuje zdradę Zachodu i cynizm Churchilla. Zgoda, ciekawie szydzi z Camusa, który protestuje przeciw przyjęciu frankistowskiej Hiszpanii do ONZ, podczas gdy nie przeszkadza mu, że w instytucji tej znajduje się Związek Sowiecki. A finał tomu, gdy pisarz z Nowego Jorku leci do Europy i bezsilnie patrzy z Monachium na klęskę węgierskiego powstania, rzeczywiście stanowi wstrząsającą kodę książki.

Znacznie bardziej jednak poruszający jest spór Máraia z pogrążającym się w duchowym kryzysie Zachodem.

Bo przecież Márai, znalazłszy się na emigracji, początkowo we Włoszech, a później w Stanach Zjednoczonych, toczył intelektualny bój nie tylko z komunistyczną opresją, lecz także z duchem nowoczesności.

Notuje w Posillipo, w Neapolu, w roku 1949: „Żal mi literatury. W tym świecie zezwierzęconych mas nie ma już literatury; są tylko książki, tematy, historie; ale literatura była czymś innym. Literatura była wspólnictwem, sekretnym i cudownym, wyrastającym ponad człowieka wspólnictwem pomiędzy pisarzem, światem, czytelnikiem, językiem, słowem, pojęciem, uczuciem. I już tego nie ma". Syci się Italią, kroczy śladami starożytności, danych mitów i opowieści, kapitalnie zresztą przecina się w czasie i miejscach z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, który nie dość, że kilka lat po Máraiu osiadł w Neapolu, to przecież podejmował podobne jak on wyprawy, a jedna z nich – do Benedetta Crocego, do którego też pielgrzymował Márai, zakończyła się dla autora „Innego świata" ślubem z córką filozofa. (Świetny jest, pamiętam, Herling w „Dzienniku pisanym nocą", gdy już po śmierci węgierskiego pisarza z nieufnością opisuje fenomen jego nagłej popularności: równoległość losów, podobne nadzieje, smakowita sprawa!).

Zapiski Máraia uruchamiają w nas mnóstwo skojarzeń, bo to nie tylko Herling, lecz także Miłosz („Moja wierna mowo"), czasem nawet Gombrowicz. Niesamowita misja pisarza – samotnego, wygnanego, pozbawionego odbiorców, skazanego na pisanie dla potomności, świadomego uwięzienia w ojczystym języku i kulturze. Czasem pociesza się, że „któregoś dnia literatura się zemści. Tylko na piśmie można utrwalić pogardę, jaką człowiek ducha czuje wobec epoki wyzutej z ducha", ale przecież miewa też okresy zniechęcenia i ostre podejrzenie, że jego czas już przeminął. Nie poddaje się jednak: w jego wytrwałości znać stygmaty heroizmu. Tak jak Miłosz stwarza niewidzialny sznur: walczy, pisze, tworzy, choć czasem wątpi w rezultat.

PRZECIW NOWOCZESNOŚCI

Obserwując obchody stulecia urodzin Sigmunda Freuda, daje upust swej wściekłości na jednego z ojców nowoczesności. „Ten znany psychiatra z zarozumiałą wyższością wypowiadał banały, ogólnie znane prawdy o człowieku, tak stare jak on sam – a więc wszystko, co, poczynając od Homera i Sofoklesa, przez Goethego po Prousta, wiedział każdy wielki pisarz – i opatrywał je arbitralnymi, nieuzasadnionymi, nieznośnie pouczającymi, a jednocześnie zdumiewająco cynicznymi komentarzami, świadczącymi o ograniczoności umysłu. Wszystko, co pisze o seksie, histerii, stłumieniu, strachu przed śmiercią, a nade wszystko Bogu i religii, wydaje się aroganckim wymądrzaniem się bachura z jesziwy. […] Kiedy ktoś wreszcie zawoła, że król jest nagi?".

Ale nie tylko klasyków przeciwstawia Márai twórcy psychoanalizy. Także osobiste doświadczenie: „Lista ewentualności wymienianych przez Freuda i w ogóle analityków – homoseksualizm, biseksualizm, latentny homoseksualizm itp. ma braki. Istnieje jeszcze jedna możliwość: człowiek »latentnie normalny«, typ, który wypróbowuje przez całe życie rozmaite warianty, choć w samej rzeczy jest normalny i tylko nie ma odwagi się do tego przyznać. Valery, który był poganinem i człowiekiem łacińskiej kultury

eprasa.pl 990798db5f

śródziemnomorskiej, odpowiadał na to wzruszeniem ramion: »Perwersja to zadowalanie się częścią zamiast całości«".

Brzydzi się pederastami, protestuje przeciw światu zdominowanemu przez perwersów:

„Światowa zbiorowość zachodnich, intelektualnych oraz mniej intelektualnych homoseksualistów zaczyna przybierać kształt religijnego wyznania. Ze swoimi fanatykami, liturgiami, sekretnymi ceremoniami, ze szczególnymi znakami rozpoznawczymi pomiędzy wtajemniczonymi i wiernymi, z nietolerancyjną podejrzliwością, sektami: to wszystko przypomina specyficzny kościół.

[...] Podludziom, helotom zezwalają na życie międzypłciowe, bo w dołach społeczeństwa potrzebują istot, które się rozmnażają i wykonują co prymitywniejsze prace".

I dalej – przy okazji lektury monografii autora „Lochów Watykanu": „Gide jak każdy maniak próbował w rozmaitych tonacjach i na różne sposoby kusić – przyciągać, zdobywać wspólników, by w tej sytuacji nie pozostawać samemu. Chciał mieć za wspólnika całe pokolenie i to – jak sądzę – udało mu się. Wywoływał ferment, w chorobliwym sensie tego słowa".

Fantastyczne jest dla mnie to skąpanie się w ożywczych wodach niepoprawności politycznej, w konserwatyzmie przeciwstawiającym duchowi nowoczesności zdrowy rozsądek!

Ale przecież dla Máraia to nie tylko problem psucia kultury, pisarz odnajduje też zagrożenie we własnym domu.

„Szatan krąży wokół i dyszy, wszędzie czuć smród jego gorącego oddechu… – tak patetycznie i ekstrawagancko jak na swój zrównoważony styl zaczyna zapisek o próbie homoseksualnego uwiedzenia ich przybranego synka, Janosa, przez młodocianego sąsiada. – Chłopak ucieka, a Janos wyznaje, że ten czternastolatek pod pozorem zabawy zaczął się z nim, dziewięcioletnim dzieckiem, szamotać i »bawić« całkiem jak pederaści. Ta wieść wstrząsa mną bardziej niż cokolwiek innego. Ja duszą i ciałem brzydzę się czymś podobnym, w moim dzieciństwie czy w liceum podobne »zabawy dziecięce« nigdy nie szły aż tak daleko, więc fakt, że czyste ciało i dusze tego dziewięciolatka chce zdemoralizować starszy od niego o pięć lat włoski samiec, wywołał u mnie rzeczywiste mdłości. […] Ale to wszystko Szatan, który tu się kręci w pobliżu, to ścierwo".

Sándor Márai popełnił samobójstwo, zastrzelił się w 1989 r. FOT. LEEMAGE/EAST NEWS

Panseksualizm, perwersje to niejedyne grzechy współczesnej kultury. Wyjazd do Stanów Zjednoczonych, po cudownych trzech latach spędzonych we Włoszech, i zetknięcie się z tamtejszą kulturą napełniają węgierskiego pisarza przerażeniem połączonym z obrzydzeniem. Pisze o wielkich twórcach amerykańskich: „Ci pisarze – Hemingway, Faulkner i niemal bez wyjątku wszyscy pozostali – pozbyli się wstydu i handlują swoimi nazwiskami i literacką wiarygodnością… niczym kinowe kurewki pokazują łydki na fotografiach reklamujących piwo, ale nie potrafili wychować świadomego, wykształconego, skromnego pokolenia pisarskiego, które dążyłoby wytrwale i ze świadomością celu do rozwoju osobistego i podniesienia ducha ludzkiego".

KATOLIK KULTUROWY

Ciekawe są jego zapiski dotyczące życia religijnego. „W nocy, niczym jakaś ekscytująca wizja, błysk świadomości, że jestem katolikiem – zapisuje. – Zawsze nim byłem, ale świadomość tego jeszcze nigdy nie dotarła do mnie tak mocno. Wszystko, co wstrzymuje mnie przed katolicyzmem, jest nieistotne: brzuchaci, żyjący dla rozkoszy stołu księża, prowincjonalni, niespokojni wikariusze, zbieranie na tacę, formalizm – co to ma za znaczenie? Katolicyzm posiada swoją

eprasa.pl 990798db5f

ludzką stronę i ona jest, jakżeby inaczej, marna i doczesna. Ale posiada też duchowe wyżyny, na których nie ma niczego innego poza Poezją. Pocieszeniem. Z nihilizmu, »precyzyjnej naukowości« świat może wyprowadzić tylko ta katolicka Poezja. Zrozumiałem to dziś w nocy".

Co do głębi i jakości jego wiary – bywa różnie. Zdumiewa w pewnym momencie wyznaniem, jak to nie lubi Jezusa, natomiast ceni św. Pawła. Ale przekonanie o istnieniu Boga ma w zasadzie niezachwiane. W roku 1954 zapisuje: „Jeśli ktoś nie wierzy w Boga, śmie go negować, naiwnie sądzi, że jest bezpieczny, przyjmując jakąś niezborną, ograniczoną albo zadufaną i śmieszną postawę, ogarnia mnie irytacja i czuję dziwne, bolesne niezadowolenie". Pisze tak z pasją, choć przecież śmierć jego malutkiego dziecka Kristofka w roku 1939 poważnie zachwiała jego ufnością w Opatrzność. O śmierci dziecka 10 lat później napisze: „To coś niepojętego w porządku świata, umowa pomiędzy Bogiem a człowiekiem w tym miejscu ponosi fiasko".

Składa wymowną deklarację na marginesie lektury Juliena Greena: „Był konwertytą, a więc katolickim prymusem, nadgorliwcem. Dla mnie, który urodziłem się katolikiem, ta nadgorliwość jest niepojęta. Nie chcę być »dobrym« katolikiem, zupełnie wystarczy mi, że jestem nim w niedoskonały sposób. I wiem, że to ja mam rację. […] Ma wiele kłopotów z ciałem. Tego też nie rozumiem. Ciało nie jest problemem, tylko możliwością".

No tak, pisze to dość spokojnie, w ogóle sprawy seksu i namiętności zdają się go mało absorbować, chętnie lekceważy te rzeczy, sugerując, że są co najmniej drugorzędne. On, autor namiętnego „Żaru", serwuje nam poczciwe sentencje mądrego starca. Na ile to poza, na ile znak niepamięci własnych uniesień, których ślady znaleźć można w jego prozie, trudno oceniać.

„Przestrzeń, którą ludzie nazywają sferą seksu, wydaje się strasznie ciasna. Razem z wszystkimi odmianami, odchyleniami i przesadą to w końcu tylko krótkotrwały poryw rozpięty pomiędzy dwoma biegunami: pragnieniem i zaspokojeniem. Wszystkie inne porywy ludzkie – ambicja, gniew, strach – rozgrywają się w nierównie większych przestrzeniach".

No, niezbyt to przekonujące, choć brzmi bardzo szlachetnie. Dziwne jest to towarzyszenie Máraiowi upozowanemu na tak ociosanego klasyka, ale i w poprzednim tomie dziennika też nie był zanadto wylewny i szczery, jeśli chodzi o sprawy intymne…

Z kolei w wyznaniach, takich jak te, pobrzmiewa jednak zbyt mocno dekadencki wręcz ton: „Kobiety, namiętność, młodość, wiek męski, przygody. Nie do wiary, jak niewiele z nich zachowuje pamięć. To nigdy nie jest naprawdę ważne – »przeżyciem« jest zawsze tylko ciekawość, z jaką spoglądamy na śmierć, na spustoszenie w szansach własnego życia, i jak oszukujemy samych siebie, że jest jakaś ucieczka".

Z pewnością mocniejszy cios duchowi nowoczesności zadaje Márai swoją mieniącą się znaczeniami prozą. Światoobraz, jaki ona niesie, bogactwo wewnętrzne bohaterów zadają kłam nowomodnym redukcjonistycznym wizjom człowieka. Owszem, jego dziennikowe filipiki radować mogą zideologizowanych czytelników takich jak ja, ale w pewnym momencie mocno szeleszczą papierem i dudnią deklaratywnością.

Na jakiś stoicki, pełen rezygnacji sposób ciekawie definiuje 50-letni Márai swą duchową dojrzałość. „W moim wieku (i w takim stanie ciała i ducha) życie nie potrafi już zrobić mi żadnej wertykalnej niespodzianki. Znam samego siebie dostatecznie dobrze i znam wystarczająco dobrze świat, żebym umiał wyłuskać ze zjawisk sens chwili. Zresztą wertykalna niespodzianka zdarza się w życiu tylko raz: to chwila, w której człowiek uświadamia sobie ze wszystkimi tego skutkami, że jest śmiertelny. Tę chwilę mam już za sobą". Dba więc o swoją formę fizyczną, pilnuje regularnych spacerów, dużo pływa, od czasu do czasu obiecuje sobie ograniczyć używki, razem z Janosem, przybranym synem (do którego wciąż ma spory dystans, dopiero śmierć wyzwoli w nim lawinę uczuć, ale to kwestia ostatniego tomu diariusza) podejmuje „nowenny" (znów katolicki kulturowy rys!), odsuwając od siebie na dziewięć dni papierosy (pali po 50 dziennie), piwo i wino.

SÁNDOR MÁRAI „DZIENNIK 1949–1956" WYBÓR I PRZEKŁAD TERESA WOROWSKA, CZYTELNIK, WARSZAWA 2017

„Nie sądzę – notuje w pewnym momencie – że święci z ich nieprzejednaną ascezą stanowią jedyny przykład do naśladowania. Cierpliwa, konsekwentna, melancholijna i nieugięta pedagogia – wobec samych siebie i wobec świata – jest czymś więcej od nieubłaganej ascezy".

Zdumiewające, jak inne niż poprzednio rzeczy przykuwają mą uwagę przy lekturze drugiego tomu poszerzonego dziennika.

W latach 1943–1948 mądrościowe sentencje irytowały mnie, a uwagę przykuwała raczej sytuacja pisarza konfrontowanego z wielką, a jakże zmienną Historią, tu zajmuje mnie głównie jego spór z duchem współczesności. Wyczuwa Márai rysujące się dopiero zagrożenia, które zdewastują przestrzeń publicznej debaty. Z niesmakiem punktuje Kinseya, „który opisuje życie seksualne ludzi jak zoolog". Gdzie indziej pisarz notuje: „Żydów spotkała wielka tragedia, ale nie chcą przyjąć do wiadomości, że tragedia żydowska jest tylko częścią większej tragedii, jaka spadła na świat i ludzkość"…

Jest to jeszcze czas, gdy o doświadczeniu Holokaustu można mówić w miarę uczciwie. Márai czyta zapiski asystenta dr. Mengele, pochyla się nad świadectwami ocalonych z obozów koncentracyjnych. Chociaż przerażającą prawdę o kondycji ludzkiej czasem słodzi poczciwym humanizmem, to jednak zdobywa się na konstatację, że „człowiek jest zdolny do wszystkiego […]. I nie tylko kat. Również ofiara". Czytam to i myśl wędruje ku – inspirowanemu tymi właśnie lekturami „Synowi Szawła" – genialnemu filmowi László Nemesa, który na chwilę przywrócił nadzieję na pozbawione ideologicznych skrzywień wejście w rzeczywistość Auschwitz.

Czytam Máraia i widzę imponujący obraz heroicznych zmagań jednostki z zakłamaniem nowoczesnego świata. Delektuję się, oszałamiam „Dziennikiem" i oto widzę, że poczta przyniosła mi kolejnego Máraia – wydaną przez Zeszyty Literackie powieść „Siostra". A więc wakacyjna przygoda z węgierskim pisarzem będzie miała ciąg dalszy!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PS Trwa spór o odmianę nazwiska Márai. Dla mojego ucha o wiele lepiej brzmi odmiana rzeczownikowa: Márai, Máraia niż popularniejsza, przymiotnikowa, każąca odmieniać: Márai, Máraiego. Tego się więc trzymam.

eprasa.pl 990798db5f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Zatańczyć na Père-Lachaise

★★★★★★

REŻ. DOMINIQUE ABEL, FIONA GORDON „PARYŻ NA BOSAKA" („PARIS PIEDS NUS")
BELGIA/ FRANCJA 2016

wyst. Fiona Gordon, Dominique Abel, Emmanuelle Riva

Po ostatnich zamachach stolica Francji straciła nieco na powabie, przynajmniej w oczach turystów. Jednak od czegóż mamy kino? „Paryż na bosaka", najnowszy filmowy hymn na cześć Miasta Świateł, przypomina „Amelię". Jest uroczo surrealistyczny, z lekka frywolny, zaś bohaterowie są śmieszni, lecz nieodparcie sympatyczni.

Fiona, bibliotekarka z kanadyjskiej północy, nigdy wcześniej nie wyjeżdżała za granicę. Teraz musi odnaleźć 88-letnią ciotkę, byłą tancerkę, która co prawda myli skrzynkę pocztową ze śmietnikiem, ale za żadne skarby nie da się umieścić w domu spokojnej starości. Woli się ukrywać nad Sekwaną. Fiona jest jak Krzysztof Rutkowski. Brak talentu detektywistycznego nadrabia vis comica. Już w paryskim metrze dostaje surową lekcję życia, w pożałowania godnych okolicznościach traci dokumenty i pieniądze. Całe szczęście, że we francuskiej metropolii nawet kloszard ma honor i klasę, a jeśli się zgubisz, to uczynny ślepiec doprowadzi cię do celu.

Cudzoziemcy planujący świecką pielgrzymkę do Paryża zajdą tu kilka cennych wskazówek: jak bez biletu dostać się na sam czubek wieży Eiffla, który stolik wybrać, gdy zapragniemy zjeść romantyczną kolację na barce, oraz jak wygłosić improwizowaną mowę pogrzebową na cmentarzu, na którym spoczywają doczesne szczątki Abelarda, Heloizy i Jima Morrisona.

Belgijsko-australijski duet ma na koncie już kilka podobnych komedii (przez nasze ekrany przemknęły „Rumba" i „Czarodziejka"), lecz ta wyjątkowo im się udała. Aby spędzić w kinie miłe półtorej godziny, trzeba jednak zapomnieć o bożym świecie i uwierzyć w rzeczywistość wykreowaną przez małżeństwo komików-recydywistów. Jeśli drażnią cię dziwactwa, cytaty z klasyki oraz artyści udający, że epoka niewinności spod znaku Chaplina oraz pana Hulota wcale się nie skończyła, to poczekaj na premierę „Botoksu" Patryka Vegi.

Wstecznictwo Gordon i Abela odbiło się nawet na ścieżce dźwiękowej. Tłem dla poczynań bohaterów są kompozycje Erika Satie i muzyka z „Ostatniego tanga w Paryżu" oraz folkowy przebój „Swimming Song" z 1973 r. Z kolei sceneria budzi niejakie skojarzenia z „Frantikiem" Romana Polańskiego. Na szczęście tym razem pod Statuą Wolności nikt nie ginie.

„Paryż na bosaka" to również hołd złożony odchodzącemu pokoleniu aktorów, którym kino francuskie zawdzięczało światową siłę rażenia. Siwy jak gołąbek Pierre Richard znowu gubi but. Emmanuelle Riva, która od 1959 r., gdy wystąpiła w psychodramie „Hiroszima, moja miłość", miała status gwiazdy, zmarła krótko po premierze filmu. W zeszłym tygodniu media doniosły o śmierci Jeanne Moreau. Jak oni się wynoszą… ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „DOM WYGRANYCH"

Komedia na lato: zamożna para z przedmieścia (niezbyt przezorna, bo bez oszczędności), usłyszawszy, że córka nie dostanie stypendium na naukę w wymarzonym college'u, postanawia zdobyć pieniądze w inny sposób – zakładając nielegalne kasyno w domu ekscentrycznego (i uzależnionego od hazardu) kumpla. W rolach głównych Amy Poehler i Will Ferrell, scenariusz zaś wyszedł spod pióra autorów odpowiedzialnych za komedie „Sąsiedzi" i „Randka na weselu". ©℗

Piotr Gociek

- ***„Dom wygranych", reż. Andrew Jay Cohen, wyst. Will Ferrell, Amy Poehler, Jason Mantzoukas, Nick Kroll, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Bodyguard Zawodowiec", reż. Patrick Hughes, USA 2017***
- ***„Obdarowani", reż. Marc Webb, USA 2017***
- ***„Agentka specjalnej troski", reż. Dany Boon, Francja 2016***
- ***„Królewicz Olch", reż. Kuba Czekaj, Polska 2016***

eprasa.pl 990798db5f

Dom lalki

Panaceum na upał? Horror, od którego robi się zimo jak w krypcie. Nic dziwnego, że latem w kinach oprócz głupawych komedii królują fabuły o egzorcyzmach, klątwach i nawiedzonych domach. Amatorów strasznych produkcji film Sandberga powinien zadowolić.

Debiut Szweda na kolana nie rzucał. Tym razem poszło mu lepiej, może dlatego, że dostał do ręki gotowca. „Narodziny zła" są bowiem prequelem „Annabelle", która z kolei żerowała na „Obecności". Formuła tego nieformalnego serialu jest uroczo staroświecka, polega na budowaniu poczucia zagrożenia.

Zanim dojdzie do ataku piekielnych mocy, widza czeka wiele fałszywych alarmów. Sceny prawdziwie makabryczne pojawią się zaś dopiero w finale.

Diabeł, zgodnie ze swoją podłą naturą, nęka najsłabszych. A któż może być lepszym kąskiem dla złego niż sieroty przygarnięte przez lalkarza, naznaczonego piętnem tragedii? Chora na polio Janice jako pierwsza przekona się, że są drzwi, których nie warto otwierać. Rzecz dzieje się w czasach, gdy Presley był młody, a zabawa w chowanego łączyła pokolenia. Ta ucieczka w przeszłość daje do myślenia. Czyżby w epoce Internetu i smartfonów nawet szatan czuł się nieswojo? ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★★

REŻ. DAVID F. SANDBERG
„ANNABELLE: NARODZINY ZŁA" („ANNABELLE: CREACTION")
USA 2017

wyst. Talitha Bateman, Anthony LaPaglia, Stephanie Sigman

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SANATORIUM POD WĘGORZEM

★★★★★★

REŻ. GORE VERBINSKI
„LEKARSTWO NA ŻYCIE" („A CURE FOR WELLNESS")
USA 2016, IMPERIAL

wyst. Dane DeHaan, Jason Isaacs, Mia Goth

Młody finansista bez skrupułów jedzie do szwajcarskiego uzdrowiska, by wydobyć stamtąd odbywającego kurację bogacza. Miejsce jest piękne i podejrzane zarazem, ma także ponurą krwawą historię. Lockhart (Dane DeHaan) podstępem zostaje zatrzymany w sanatorium, „którego nikt nigdy nie opuszcza", a tajemnice się mnożą. Cóż to za terapia, która miast pomagać, zabija? Kim jest tajemnicza Hannah, jedyna młoda osoba w sanatorium? O co chodzi demonicznemu dyrektorowi? Do czego służą węgorze? Chwilami wydaje się, że będzie to thriller na wzór „Wyspy skazańców", czyli część wydarzeń okaże się urojeniami bohatera, jednak „Lekarstwo na życie" okazuje się realistycznym horrorem rozegranym w odrealnionej atmosferze (i z bardzo gotyckim zakończeniem). Cudne są wnętrza dziwnego sanatorium, czujemy też atmosferę osaczenia i grozy, lecz całość jest zbyt długa, a wątki filozoficzne (krytyka bogaczy/kapitalizmu) dolepione na siłę. Film mógłby być absolutnie przerażający, wyszedł letni. Godna uwagi porażka. ©℗

SEKS, KŁAMSTWA I PRAWNICY

★★★★★★

REŻ. COURTNEY HUNT
„W IMIĘ PRAWDY" („THE WHOLE TRUTH")
USA 2016, MONOLITH

wyst. Keanu Reeves, Renée Zellweger, Gugu Mbatha-Raw, James Belushi

Adwokat z Luizjany (przeciętny, bo monotonny Keanu Reeves) broni nastolatka oskarżonego o zamordowanie ojca. Chłopaka znaleziono obok stygnącego ciała, jego odciski były na rękojeści, a pierwsze słowa do policji brzmiały: „Szkoda, że nie zrobiłem tego wcześniej". W sądzie oskarżony nie mówi ani słowa, za to zeznania świadków przynoszą ciekawe fakty: zabity był kanalią, kłócił się z synem, znęcał się nad żoną. Jak przystało na podróbkę dramatów sądowych Grishama, w połowie trafimy na punkt zwrotny, który zmieni naszą perspektywę, a na zakończenie czeka nas jeszcze jedna przewrotka. To jednak za mało, bo dialogi są słabe i banalne, a natrętna narracja z offu irytuje. Fabuły nie wystarczyłoby nawet na epizod telewizyjnego serialu. Najciekawiej wypada Renée Zellweger w roli żony zamordowanego – o połowę chudsza niż w filmach o Bridget Jones. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „THE LONG DARK"

★★★★★★

„Przetrwaj cichą apokalipsę" – głosi hasło reklamowe „The Long Dark". To jedno zdanie idealnie oddaje dynamikę gry, w której mierząc się z zimnem i głodem, nasz bohater musi przeżyć w świecie, w którym zawiodła elektryczność. Produkcja podzielona jest na część fabularną oraz tzw. sandbox – czyli przestrzeń, w której bez żadnych ograniczeń podróżujemy, szukamy schronienia, polujemy na zwierzęta i rozpalamy ogniska. Grafika przypomina komiksową produkcję „Firewatch" i podobnie jak w przypadku tego tytułu „The Long Dark" znajdzie zwolenników wśród graczy, który ponad nieustanną akcję cenią nastrój i klimat. ©℗ ***Marcin Makowski***

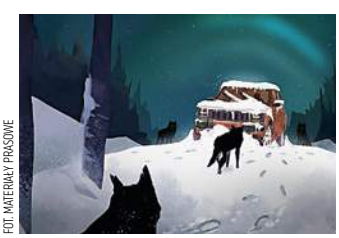

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPP/Survival*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Hinterland Studio*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 990798db5f

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Powstanie po niemiecku

To w tej książce po raz pierwszy upubliczniony został sławny potem zapis rozmowy odbytej 5 sierpnia 1944 r. o godz. 0.00 między dowódcą 9. Armii, generałem wojsk pancernych Nicolausem von Vormannem oraz SS-Gruppenführerem i generałem porucznikiem policji Heinzem Reinefarthem. Oto jej przebieg:

„Von Vormann: – Jaka sytuacja?

Reinefarth: – Powoli. Co mam zrobić z cywilami. Mam mniej amunicji niż cywilów.

Von Vormann: – Propozycja obwieścić: wszyscy z Warszawy wychodzą. Rozpropagować, że Warszawa będzie unicestwiona. Bach ma przecież polecenie?

Reinefarth: – Tak.

Von Vormann: – Führer powiedział, że potrzebuje jeszcze miliona ludzi.

Reinefarth: – Straty własne: sześciu zabitych, 24 ciężko i 12 lekko (rannych).

Von Vormann: – Wróg?

Reinefarth: – Razem z rozstrzelanymi 10 000".

„Mam mniej amunicji niż cywilów…" – po tych słowach tłumaczenie, że tylko SS odpowiedzialne jest za zbrodnie w Warszawie, bo Wehrmacht jak zwykle był rycerski, zakrawało na kpinę. Na pewno też za zasługę Hannsa von Krannhalsa uznać należy, że to za sprawą jego książki Powstanie Warszawskie wprowadzone zostało w RFN do dyskursu publicznego. Jeśli zaś chodzi o resztę, to polityczna diagnoza nazistowskiego autora (tak, tak – Krannhals do NSDAP wstąpił już w 1921 r.) jest bez zarzutu, jego znajomość spraw polskich wybitna (przed wojną z całą pewnością wykonywał zadania agenturalne, a po wojnie do PRL też przyjeżdżał, ale uznany został za persona non grata), jednak w wielu kwestiach ujawnia wciąż żywą fobię antypolską. Za to z pewnością zależało mu na tym, by Reinefarth poniósł zasłużoną karę, co jednak – jak wiemy – nie nastąpiło.

Zaangażowanie Krannhalsa w tę sprawę spowodowało natomiast jego odsunięcie od dochodzenia przeciw Reinefarthowi, w którym był rzeczoznawcą. W 1970 r. zmarł w Luneburgu.

Lektura „Powstania Warszawskiego" nasunęła mi i inne skojarzenia. Przypomniała np., że ten sam Reinefarth, były burmistrz Westerlandu na wyspie Sylt, był rozmówcą Krzysztofa Kąkolewskiego, który wywiad z nim zawarł w książce „Co u pana słychać", bestsellerze roku 1975. Z kolei tłumacz pracy Krannhalsa i autor posłowia do jej polskiego wydania – Daniel Luliński – to wieloletni korespondent prasy PRL-owskiej w Bonn, „zaszczycony" przez Stefana Kisielewskiego umieszczeniem go wśród „Moich typów", czyli w głośnym felietonie z grudnia 1984 r. Trudno zapomnieć ów tekst…

A z licznych przypisów pomieszczonych w „Powstaniu Warszawskim" dowiedzieć się można wielu ciekawych rzeczy, czasem o charakterze wybitnie przyczynkarskim, czasem nie tylko. Bywa, że prostują one pomyłki Krannhalsa. W rozdziale dotyczącym relacji polskiego ruchu oporu ze Związkiem Sowieckim natrafiamy np. na informację, że w okresie przyjaźni między III Rzeszą a ZSRS za aprobatą Niemiec przyszły PRL-owski minister obrony narodowej, Marian Spychalski, organizował w Warszawie Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR, a po 22 czerwca 1941 r. strona niemiecka go oszczędziła. Prawdą jest – czytamy w przypisie – „że pod koniec 1939 r. Spychalski wraz z grupą przyjaciół i sympatyków KPP próbował działać w konspiracji, wydając informacyjny biuletyn radiowy. Do wspomnianego stowarzyszenia przystąpił rok później. […] Było dwóch braci Spychalskich działających w ruchu oporu, ale po dwóch stronach barykady. Pierwszym z nich był Marian Spychalski (1906–1980) – architekt, od 1931 r. w KPP, jeden z twórców PPR i AL, członek najwyższych władz PPR i bliski współpracownik Władysława Gomułki w pierwszym okresie Polski Ludowej, w latach 1950–1956, podobnie jak Gomułka, więzień stalinizmu, w latach 1956–1968, po odejściu Rokossowskiego, minister obrony narodowej, w latach 1968–1970 przewodniczący Rady Państwa. Jego starszym bratem był Józef Spychalski (1898–1944), od 1918 r. w Wojsku Polskim, pułkownik, dowódca batalionu podczas obrony Warszawy we wrześniu 1939 r., dowódca obszaru Białystok Związku Walki Zbrojnej, aresztowany przez NKWD, potem w armii polskiej generała Andersa w ZSRR, zaufany oficer generała Sikorskiego, cichociemny zrzucony do Polski 31 marca 1942 r. z zadaniem specjalnym od Sikorskiego i »z prawem przesyłania meldunków do Naczelnego Wodza […]«, a także »z prawem bezpośredniego kontaktowania się z Naczelnym Wodzem«. Józef Spychalski nigdy jednak nie został zastępcą Komendanta Głównego AK, czyli Stefana Grota-Roweckiego. Wywiad AK ustalił, że płk Józef Spychalski kontaktował się z bratem Marianem, wysokim oficerem GL i AL. Józef Spychalski został wysłany do Krakowa w randze inspektora KG AK, gdzie objął stanowisko komendanta Okręgu Kraków AwK. Aresztowany przez Gestapo 24 marca 1944 r., został zamordowany w 1944 r. w obozie Sachsenhausen na rozkaz Himmlera, prawdopodobnie w tym samym czasie co generał Grot-Rowecki, a więc po wybuchu Powstania Warszawskiego".

I jeszcze jedno. „Powstanie Warszawskie" von Krannhalsa ujrzało światło dzienne w RFN w 1962 roku. Dwa lata później ukazało się drugie wydanie książki, stanowiące podstawę obecnej edycji w Polsce. Po 53 latach od jej powstania.. ©℗

★★★☆☆☆

HANNS VON KRANNHALS „POWSTANIE WARSZAWSKIE 1944" BELLONA, WARSZAWA 2017

eprasa.pl 990798db5f

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ten psuj zwycięzca

Robert H. Frank i Philip J. Cook zajęli się zjawiskiem „rynku zwycięzcy", które dotyka coraz większej liczby dziedzin gospodarki. To zwyrodnienie współczesnego kapitalizmu („marnotrawnego i nieracjonalnego" – jak ocenia we wstępie do polskiej edycji Andrzej Szahaj) odpowiada przede wszystkim za rosnące rozwarstwienie. Liderzy posiadają coraz więcej, podczas gdy wszyscy inni uczestnicy gry muszą dzielić między siebie coraz mniej.

Problem nie jest nowy. Tym, co czyni książkę Franka i Cooka szczególnie ciekawą, jest fakt, że przyglądają się oni skutkom tego zjawiska dla kultury i więzi społecznych. Przecież rynek książek, filmów, muzyki i sportu dotknięty jest tym samym zjawiskiem. Oczywiście tam, gdzie w grę wchodzą talent i kreatywność, trudno się dziwić, że najlepsi są najpopularniejsi – sztuka, jak zauważają autorzy, zawsze była miejscem, w którym „zwycięzca bierze wszystko". Miejsce dla Szekspira jest tylko jedno, tak samo jak mógł być tylko jeden Dickens swoich czasów itd.

Czy dziś rzeczywiście wygrywają najlepsi? Tutaj już zaczyna się kłopot. Co roku ukazują się tysiące bardzo dobrych książek, ale jedynie pojedyncze zamieniają się w wydawnicze fenomeny (zabierając także lwią część rynku). Co z innymi, które są równie dobre, a mniej popularne? I nie mówimy tu o różnicy typu: pan X zarobił 1 tys. dol., a pan Y – 10 tys. Tylko o sytuacji, kiedy autor bestsellera sprzedał 10 mln, a autor podobnej, równie dobrej pozycji – 10 tys. Zjawisko stało się jeszcze bardziej widoczne w erze informatycznej, w odniesieniu np. do muzyki. Miliard ściągnięć utworu z Internetu kontra, powiedzmy, 30 tys.

W przekonaniu autorów takie zjawisko ostatecznie prowadzi do powszechnego obniżenia poziomu kultury. Nasze gusta nie są wrodzone, są kształtowane przez to, co nas otacza. To oznacza, że po wejściu na spiralę dyktatu liderów maszerujemy tylko w jedną stronę: w dół. A jednocześnie – tu już przechodzimy do gospodarki – na rynku zwycięzcy marnotrawimy nasze zasoby, bo potrzebny jest coraz większy wysiłek, by dotrzymać kroku innym przy coraz mniejszych szansach na sukces. Jako diagnoza książka jest bezcenna. Z kolei najbardziej kontrowersyjne jest zakończenie, w którym autorzy proponują progresywny podatek konsumpcyjny. Chciałbym poczytać ognistą debatę na taki temat, zamiast gazetowego bicia piany o tym, czy polityk Abacki bardziej obraził Babackiego, czy odwrotnie. ©℗

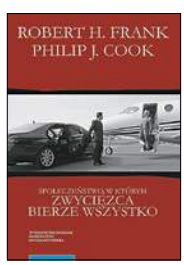

★★★★★☆

ROBERT H. FRANK, PHILIP J. COOK „SPOŁECZEŃSTWO, W KTÓRYM ZWYCIĘZCA BIERZE WSZYSTKO"
WYDAWNICTWO NAUKOWE UMK 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Niezła fantastyka (Nagroda im. Arthura C. Clarke'a) pióra syna polskich emigrantów w Wielkiej Brytanii. W dalekiej przyszłości ostatni ludzie spotykają rasę inteligentnych owadów, której rozwój przyspieszyli niegdyś sami Ziemianie.

ADRIEN TCHAIKOVSKY „DZIECI CZASU" REBIS

Kolejne rozszerzenie cyklu „Gawędy o sztuce". Oprócz pięknie ilustrowanej opowieści o motywach mitologicznych autorka znana z Programu II PR proponuje dwa aneksy – przewodniki po Pompejach i po wyspie Capri.

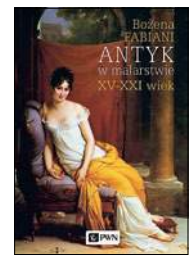

BOŻENA FABIANI „ANTYK W MALARSTWIE. XV–XXI WIEK" PWN

Walki z pedagogiką wstydu nigdy za wiele. Oprócz sylwetek oczywistych (Kopernik, Skłodowska-Curie) znajdziecie tu historie Polaków, którzy wynaleźli kevlar, witaminy, walkie-talkie, prezerwatywy i pływający dok.

IRENA I ANDRZEJ FEDOROWICZOWIE „25 POLSKICH WYNALAZCÓW I ODKRYWCÓW, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT" FRONDA

Dwudziesty tom serii o inspektorze Rebusie. Jest już na emeryturze, ale szkocka policja bez niego i jego metod poradzić sobie nie może. Zwłaszcza gdy sprawa dotyczy zabójstwa bardzo ważnego urzędnika. ©℗

poleca Piotr Gociek

IAN RANKIN „NAWET ZDZICZAŁE PSY" ALBATROS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Czarna Madonna" (Czwarta Strona) – najpłodniejszy autor polskich kryminałów idzie w thriller międzynarodowy i horror apokaliptyczny.***
2. ***Nela „Nela i tajemnice oceanów" (Burda NG Polska) – literatura edukacyjna dla najmłodszych czytelników, kolejny tom popularnej serii.***
3. ***Anna Kamińska „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci" (Wydawnictwo Literackie) – biografia najsłynniejszej polskiej alpinistki, pierwszej Europejki na szczycie Mount Everestu.***
4. ***Elżbieta Cherezińska „Płomienna korona" (Zysk i S-ka) – trzeci tom bestsellerowego cyklu historycznego „Odrodzone Królestwo".***
5. ***Peter Wohlleben „Duchowe życie zwierząt" (Otwarte) – autor „Sekretnego życia drzew" w kolejnej opowieści o tajemnicach natury.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookSzpan)

eprasa.pl 990798db5f

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Ślady polskie

Jeśli na wakacyjnych szlakach zbłądzimy w szwedzki interior, a przy odrobinie szczęścia trafimy na imprezę folkową, to z dużym prawdopodobieństwem będziemy mogli posłuchać ludowej muzyki, w tym najpopularniejszego tańca... „Polska".

Trójdzielne tempo i krok przypominający mazura (są też odmiany w stylu naszego kujawiaka lub chodzonego) sprawiają, że gdy śmiałek z Polski wtargnie znienacka na parkiet, nie będzie tam intruzem. Muzykolodzy zgodnie tłumaczą ten fenomen żywymi kontaktami transbałtyckimi za dynastii Wazów.

Z kolei będąc na szwedzkiej uroczystości państwowej, na pewno usłyszymy uwerturę „Festspel". Utwór, skomponowany w 1908 r. przez Hugona Alfvéna na otwarcie Teatru Królewskiego w Sztokholmie, jest niczym innym jak tylko...

Ciprian Porumbescu FOT. MUZEUL BUCOVINEI

przepięknym symfonicznym polonezem. Monumentalny i wzniosły charakter sprawia, że polski taniec chętnie wykonywany jest dziś dla uświetnienia różnych podniosłych wydarzeń.

A teraz szybki przeskok na południe Europy – do Rumunii. Wiele śpiewanych tam narodowych pieśni patriotycznych jest dziełem Cipriana Porumbescu. Zaliczany do największych kompozytorów rumuńskich, urodził się w 1853 r. w rodzinie prawosławnego duchownego jako Cyprian Gołębiowski. Ojciec kompozytora, Herakliusz, podczas studiów we Lwowie został aresztowany i odsiedział sześć tygodni za kontakty z polskimi organizacjami niepodległościowymi. Po powrocie na Bukowinę, po studiach teologicznych i święceniach, zostaje proboszczem niedaleko Czerniowiec. Z czasem Gołębiowscy zmieniają nazwisko na Porumbescu (po rumuńsku oznacza to samo). Syn Herakliusza, Ciprian, utalentowany muzyk, najpierw kształci się w Suczawie, potem wyjeżdża na studia w wiedeńskim konserwatorium, gdzie uczy się m.in. u Antona Brucknera. Po studiach podejmuje pracę nauczyciela muzyki w Czerniowcach, jednocześnie jest aktywny jako skrzypek i kompozytor.

Chociaż umarł w wieku zaledwie 29 lat, to zostawił po sobie imponujący dorobek, w tym wiele różnych form muzycznych inspirowanych folklorem. Najbardziej znane są jego operetki i pieśni chóralne, w tym pieśń „Pe-al nostru steag e scris Unire", która jest dziś (uwaga!!!) hymnem Albanii. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Senny pop z ambicjami

Piąty album 31-letniej Amerykanki zadebiutował na pierwszym miejscu po obu stronach Atlantyku. U nas wskoczył na listę najpopularniejszych płyt o oczko niżej. Jasne zatem, że Lana, urodzona jako Elizabeth Woolridge Grant, wielką artystką dzisiejszej sceny jest!

Recenzje płyty są pozytywne, choć trudno mówić o entuzjazmie, z jakim przyjęto debiutancki „Born to Die" i depresyjny „Ultraviolence". Dzięki wystylizowanym, mrocznym piosenkom określanym jako noir-pop lub dream-pop Lana uosabia ikonę współczesnej tragiromantycznej gwiazdy. Jej utwory rzeczywiście wymykają się melodyjnemu banałowi dominującemu na dzisiejszej scenie cienko zawodzących panienek. Charakterystyczny lodowaty głos Del Rey nie utracił szklistego połysku, ale jakby zaczął emitować ciepło. Album przypomina snujący się przez 71 minut sen w odcieniu sepii. Dzięki gościnnemu udziałowi Stevie Nicks (Fleetwood Mac) i Seana Ono Lennona na moment przybiera nostalgiczne barwy. W „Tomorrow Never Come" Lana śpiewa: „Cały dzień będziemy słuchać Lennona i Yoko. Czy życie nie jest szalone? Właśnie śpiewam z Seanem... wow!".

Del Rey zgodnie z tytułem opowiada o „pożądaniu życia", ale w odróżnieniu od wcześniejszych tekstów nowe są dojrzalsze, a autorka bardziej świadomie analizuje otaczający ją świat. Wystarczy przytoczyć tytuł jednej z 16 piosenek – „Kiedy świat pogrążył się w wojnie, myśmy tańczyli". ©℗

★★★★★

LANA DEL REY
„LUST FOR LIFE"
INTERSCOPE

★★★★☆

LEONARD COHEN
„LIVE IN LONDON"
SONY

Najpopularniejszą płytą tego lata nad Wisłą jest koncertowy album śp. Leonarda. Wiele to mówi o sprzedaży płyt, bo ten zacny podwójny album ma już osiem lat. Młodzież nie kupuje, starzy domagają się Wysockiego. ©℗

★★★★☆

BENJAMIN BOOKER
„WITNESS"
ATO

Oba światy pogodzi 28-letni czarnoskóry nowoorleańczyk. Zachrypnięty głos, garażowy blues, doskonały feeling i do tego kocha T.Rexów. Dojrzali muszą go odkryć. Jego patronem jest ten Jack White. ©℗

eprasa.pl 990798db5f

REKLAMA

Prestige MJM · ANTYRADIO · Dziennik Bałtycki · TVGODNIK POWSZECHNY · wprost · RZECZY · GAZETA BANKOWA · Gitarzysta · Perkusista · WP · ANTYRADIO.PL · cgm.pl · trojmiasto.pl · DlaWas.info · GOLD HITS · Multikino · empik · VIXON

REKLAMA

Prestige MJM · REGENT WARSAW HOTEL · RADIO WROCŁAW · RAM · wprost · RZECZY · GAZETA BANKOWA · T3 · Multikino · WP · cgm.pl · DlaWas.info · jazz soul.pl · GOLD HITS · STRÖER · VIXON · empik

eprasa.pl 990798db5f

THE KING IS NOT DEAD

[w 40. rocznicę śmierci Elvisa]

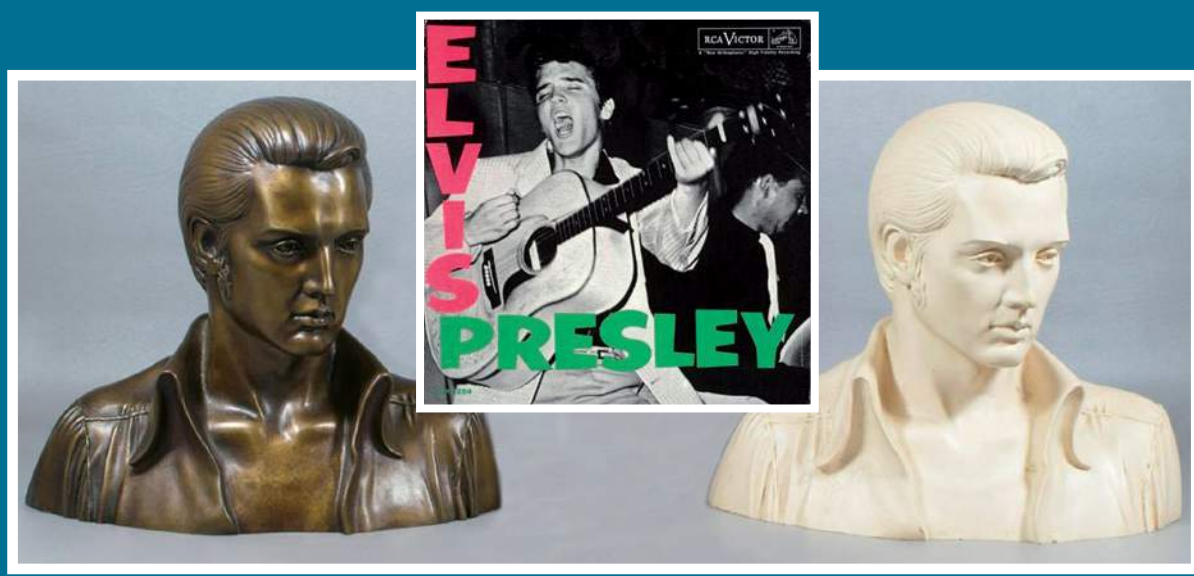

Elvis czarny (diabeł) i biały (anioł) – popiersie dłuta Erika Parksa; między nimi okładka pierwszego longplaya Elvisa

John Lennon: *„Przed Elvisem nic z życia nie mogło mnie wziąć. My wszyscy wywodzimy się od niego".*

Elvis Presley: *„Ze wszystkich pandemii globu komunizm jest – bez żadnej wątpliwości –najgorszą".*

Waldemar Łysiak

Tydzień 15–sierpniowy, bo Wniebowstąpienie NMPanny i Święto Wojska Polskiego, a ja tym razem o Presleyu, którego 40. rocznica śmierci przypada dzień później, 16 sierpnia. Tamtego dnia byłem akurat na miejscu, wędrowałem przez USA (26 stanów, prawie 10 tysięcy mil). Gdy dojeżdżałem do Savannah, z głośnika radia samochodowego płynęła jakaś melodia *„country and western"*, którą raptownie przerwano. Spiker jęknął:

— Mój Boże!... Przed chwilą, mając 42 lata, zmarł w Memphis Tennessee *„The King"*, Elvis Presley...

Nastała chwila ciszy i zaraz głośnik rozbrzmiał **„Love Me Tender"**, lecz niewątpliwie szukano tam gorączkowo czegoś odpowiedniejszego, więc drugą wyemitowaną melodią był już wstrząsająco śpiewany przez Elvisa funeralny psalm **„Peace In the Valley"**. Typowe *„miłe złego początki"*, bo potem, gdy przerzucałem radiostacje, ta informacja była co chwilę podawana tradycyjnym kabotyńskim stylem *„made in USA"* — owym charakterystycznym reklamowym krzyczkiem: *„ — Hej! hej! Pasta do zębów firmy Johnson sprawi, że odrosną ci wszystkie włosy! Hej! hej! Zmarł król rock and rolla, Elvis Presley! Hej! hej! Mydło «Maybelline»...",* itd. Słuchając tego gnałem do Memphis na takim *„speedingu"*, iż wylądowałem w pierdlu Laurens County Sheriff's Office w Dublinie, gdzie pobrano mi krew, by sprawdzić czy nie wspomagam się *„koksem"*, a gdy minęła noc szeryf Bussel wlepił mi mandat (60 dol.) i wypuścił do

eprasa.pl 990798db5f

dalszego lotu, znowu zbyt szybkiego, bo w Alabamie, koło Birmingham, zostałem ponownie capnięty przez radar. Czarnoskóry *„cop”*, usłyszawszy, że chcę zdążyć na pogrzeb Elvisa, machnął ręką, pytając tylko:

— Skąd tu przybyłeś?

— Z Warszawy.

— Z Warszawy, z Warszawy… — zastanawiał się głośno. — Wiem! To w stanie Indiana!

Zdążyłem. I bezzwłocznie zrelacjonowałem *„dla kraju”* ceremonię funeralną. Dumna, bo mająca prawo wyłączności **„Literatura”** (nr 37/1977), opublikowała szumnie ów pogrzebowy reportaż pt. **„THE KING IS DEAD. Korespondencja własna z Memphis Tennessee”**. Dziesięć dni później egzemplarze tego numeru **„Literatury”** sprzedawano na *„czarnym rynku”* za sumy bajońskie (co inne media komentowały zgryźliwie lub żartobliwie), a sam reportaż został wielokrotnie przedrukowany tak w kraju (nawet przez harcerski tygodnik **„Na Przełaj”**), jak i za granicą (głównie w *„demoludach”*, lecz też w Austrii oraz Szwecji). Jeśli chodzi o *„rynek wtórny”*, wszędzie było podobnie. Lokalną gazetę z Memphis Tennessee, która pierwsza wydrukowała wiadomość o zgonie, już kilka godzin później sprzedawano pokątnie za 300 dolarów! Trudno się dziwić — Ameryka miała kilkudziesięciu prezydentów, ale króla tylko jednego, o którym najwięksi muzycy globu — Bob Dylan, John Lennon, Bruce Springsteen i in. — wyrażali sąd, że nie byłoby ich bez niego (*„ — My wszyscy z niego”* — powiedział Lennon). Ian Carmichael rzekł wtedy: *„ — Pokażcie mi człowieka, co nie słyszał o Presleyu, a ja uznam tego człowieka Robinsonem Cruzoe stulecia XX”*. Istotnie — trudno było nie słyszeć o gościu, który na światowych listach przebojów spędził prawie 2500 tygodni (wyprzedza w tym rankingu Beatlesów aż o 10 lat!), który zagrał w ponad 30 filmach fabularnych o sobie, który dał prawie 2 tys. koncertów i który wyśpiewał setki hitów nuconych, powielanych, interpretowanych, kopiowanych, plagiatowanych w każdym kraju świata. A wszystko to zaczęło się w drewnianej budzie na spieczonym przez słońce południu Stanów.

PIEŚNIARZ

Owa buda w miasteczku Tupelo (stan Missisipi) kosztowała jego ojca, głodującego robotnika i dzierżawcę, sto kilkadziesiąt dolarów. Tam 8 stycznia 1935 roku ujrzał światło Elvis Aaron Presley. Rodzina była wiecznie niedożywiona, zmieciona falami Wielkiego Kryzysu na samo dno. Ćwierć wieku później (1961) Elvis powie, udzielając wywiadu paryskiemu dziennikowi **„France–Soir”**, że jego najwcześniejsze wspomnienie to lęk przed głodem.

A.D. 1948 nędza wypędziła Presleyów do Memphis, gdzie były większe możliwości zarobkowania. Tam ukończył szkołę, pomagając jednocześnie rodzicom utrzymywać się na powierzchni. Tylko jeden jedyny raz poprosił ich o coś *„luksusowego”*. O rower. Taki rower kosztował 55 dolarów. Vernon i Gladys Presleyowie przeliczyli swoje zasoby — nie sięgały one tej sumy. Ojciec więc spytał go czy miast roweru może być gitara. Gitara kosztowała 12 dolarów. W ten sposób los wyznaczył mu życiowy kierunek. Dzieciak nauczył się grać na gitarze, a później także na fortepianie (ciekawostka: pianistą stał się doskonałym, dużo lepszym niż gitarzystą, co jednak było o tyle bez znaczenia, że wyrokiem Opatrzności miał zostać wokalistą).

Z głośników radiowych płynęły wówczas ckliwe szlagiery w przedwojennym stylu. Elvis czuł, iż muzyce tej przydałby się zastrzyk szczerości, naturalności i nerwu. Nie wiedział, że w tym samym czasie miliony młodych ludzi całego globu czują dokładnie to samo. A.D. 1953 jako kierowca ciężarówki (jego pierwsza praca) zatrzymał się pod budynkiem studia nagraniowego Sun Records, bo przypomniał sobie, że zbliżają się urodziny mamy, wysupłał 4 dolce i nagrał piosenkę dla niej. Szef wytwórni, Sam Phillips, który rozglądał się właśnie za *„jakimś białym chłopakiem potrafiącym śpiewać w stylu czarnych”*, usłyszawszy **„That's All Right, Mama”** dał klientowi szansę nagrania profesjonalnego, i tak się zaczęło objawienie.

Disc–jockeye niechętnie przyjęli piosenkę, gdyż była do wszystkiego wcześniej znanego niepodobna. Wreszcie jednak któryś zaryzykował, puszczając *„dziwadło”* na antenę. Z miejsca otworzył się wulkan. Radiostację zasypano telefonami (telefony urywały się tak po raz pierwszy od czasu **„Wojny Światów”** Orsona Wellesa), i tylko w ciągu pierwszego dnia piosenkę trzeba było puszczać 18 razy! Singiel z nią szedł w sklepach tysiącami, wytwórnia nie nadążała tłoczyć. To samo działo się z kolejną płytą, na której nagrał dynamiczną melodię **„Good Rockin' Tonight”**.

Słuchając **„That's All Right, Mama”** nieznanego 19–latka, Ameryka po raz pierwszy usłyszała ten głos, który przeszedł do legendy i o którym napisano już tomy — wibrujący i gęsty jak syrop, otulony dźwiękami strun i śpiewem chórku, wzmocniony melodyjną instrumentacją i gorączkowym rytmem. Był to szok…

Ameryka lat 50–ych trwała pogrążona w drzemce międzywojennej, zawieszona między Koreą a Wietnamem. Drętwa jak prezydent Eisenhower. Zadowolona z siebie, w świętym błogostanie. Ojcowie dumnie spoglądali na swoje coraz to wyższe domy i coraz to dłuższe samochody. Dzieci uczono jak być bogobojnym

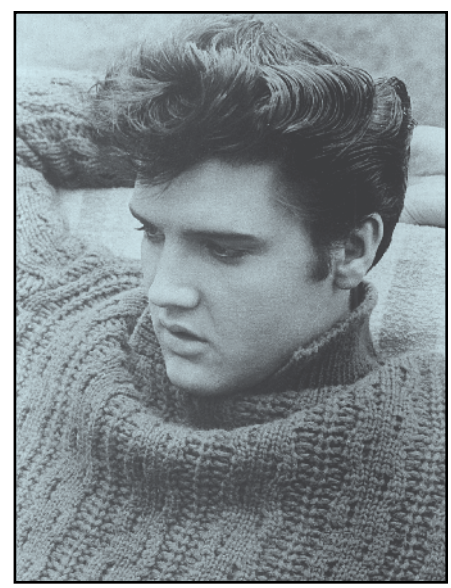

eprasa.pl 990798db5f

i jak zajechać prosto do kariery. Aż nagle jakaś gwałtowna, frenetyczna muzyka wyrwała Amerykanów z odrętwienia. Głośniki dudniły przedziwnym melanżem murzyńskiego bluesa i pieśni białych farmerów. Zaskoczenie: to jakiś biały szczeniak z Południa wydaje te szaleńcze dźwięki. Tak narodził się rock and roll.

Puryści niech idą do diabła ze swoim poprawianiem. Wiadomo, że Elvis Presley nie wynalazł rockandrollowej muzyki, bo przed nim byli Turnerowie, Mc Nelly, Haley i inni. Lecz Elvis nadal jej królewski styl, który owładnął milionami. Zapoczątkował erę.

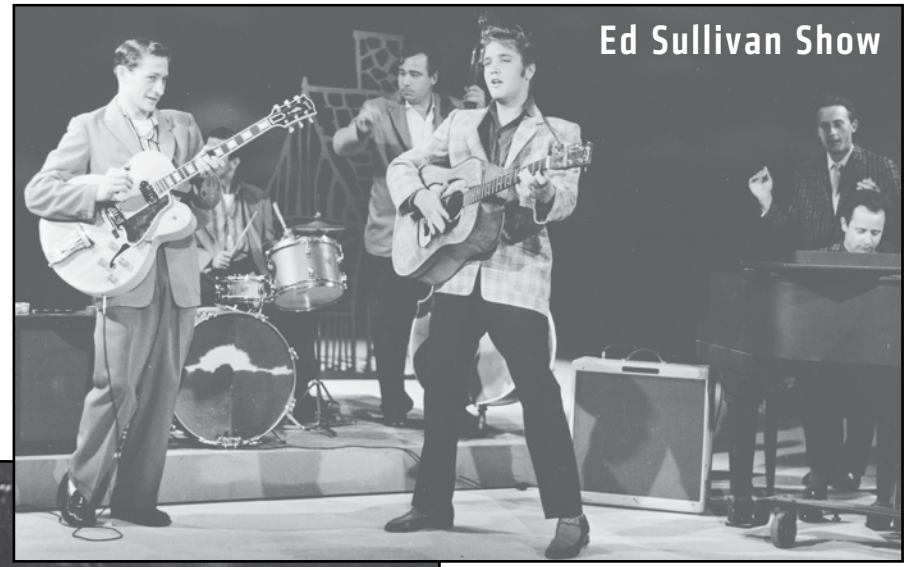
Ed Sullivan Show

Rockman

Cała Ameryka poznała Elvisa nie dzięki koncertom (choć od razu miał ich dużo), lecz, rzecz prosta, dzięki telewizji. Gdy wystąpił w popularnym Ed Sullivan Show — 54 miliony ludzi oglądały cudownego 21–latka, a Sullivan stał w kącie studia, poza zasięgiem kamer, miał rozszerzone oczy i szeptał:

— Sonovabitch!... Sonovabitch!...

Potem rzekł o Presleyu:

— Nie wiem jak on to robi, ale ludzie dostają na jego punkcie obłędu!

Tego *„obłędu”* doznał wkrótce cały świat. Każdy kolejny longplay Elvisa wiódł młodzież kuli ziemskiej blisko granic wniebowstąpieniowego amoku. To już była rewolucja, i to bez cudzysłowu, co podkreślają dzisiaj najpoważniejsi autorzy najpoważniejszych opracowań. Można tam przeczytać, że Presley *„dokonał największej rewolucji społecznej w historii”*, i że *„dzisiejsza młodzież nie zdaje sobie sprawy z tego, że bez Elvisa żyłaby nadal w stanie swoistej epoki kamienia łupanego”*. Gdy się nad tym poważnie zastanowić — nie jest to takie głupie. Jak pisał londyński **„Times”**: *„Presley dał młodzieży poczucie odrębnej tożsamości, której nie miała uprzednio. Stał się katalizatorem rewolucji młodych, która trwa po dziś dzień”*. Wielu snuło rozważania typu: jaki byłby dzisiaj świat bez Presleya?

Prawda jest taka, że Elvis ucieleśniał przepaść dzielącą starych amerykańskich pionierów (niezrównanych w zdobywaniu forsy, ale całkowicie spętanych różnymi tabu) od beztroskiej młodzieży, trochę narwanej, lecz zarazem ambitnej i czułej. Pewna dziennikarka wspominała: *„Po jego występie ciotka oświadczyła mi, że to idiotyzm siedzieć tak przed telewizorem i podniecać się widokiem wulgarnego pio-*

eprasa.pl 990798db5f

Buntownik

senkarza. Właśnie wtedy zrozumiałam, że żyjemy w dwóch różnych światach. Wtedy właśnie drzwi pokojów nastolatków zatrzasnęły się jak Ameryka długa i szeroka". To właśnie była rewolucja. Narodziło się nowe plemię.

Drugiego przewrotu dokonał po odbyciu (w Niemczech, od roku 1958) regularnej służby wojskowej. Wcześniej Ameryka starszych pokoleń (*„zgredów"*) miała Presleya za diabelski pomiot deprawujący zdrową amerykańską młodzież *„perwersyjnym gibaniem na estradzie"* i śpiewaniem bluesową metodą *„negroidalną"*. Lecz kiedy wróciwszy z armii Presley nagrał, pod tytułem **„It's Now Or Never"**, nową wersję starej włoskiej canzony **„O sole mio"**, i gdy zaczął coraz częściej śpiewać swym magnetyzującym półkrzykiem/półszeptem duszoszczipatielnyje romance, ballady, psalmy czy kolędy (choćby przepiękne **„Blue Christmas"** — **„Smutne Boże Narodzenie"**) — „kupili" go również dorośli. Była to kolejna rewolucja, bo stał się niespodziewanym mostem między pokoleniami. Najpierw wykrzyczał konflikt między nimi, a później ugasił go, lecz wszyscy byli już inni po tym ożywczym *„katharsis"*. Odtąd mówiono: *„Król"* nie tylko we wszystkich językach, lecz i we wszystkich ludzkich generacjach.

Uwielbienie

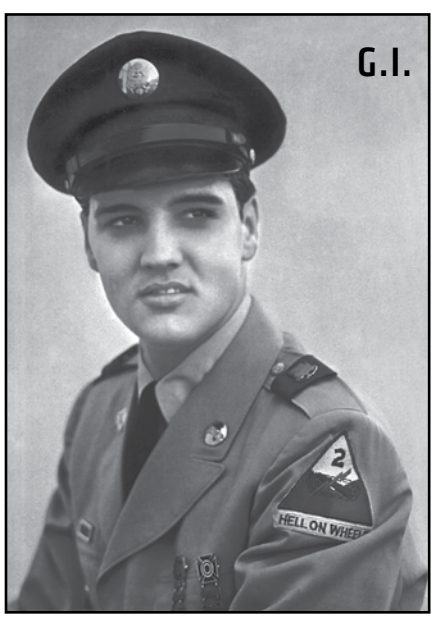

G.I.

CZŁOWIEK

Jakim był człowiekiem? Bardzo grzecznym/uprzejmym — matka wpoiła mu dobre maniery, szacunek dla starszych, itp. Nadto lojalnym, wielkodusznym, sympatycznym. Co prawda — jak trafnie zakonkludował jeden z moich przyjaciół — *„po pierwszym milionie każdy staje się sympatyczny"*, lecz wobec Elvisa ta złośliwostka byłaby strzałem w płot. Owszem, *„gwiazdorzył"* nie raz, bywało, że mocno, ale taka już bywa powinność i takie jestestwo gwiazd. Ile razy męczył się tym, ile razy miał tego dość? Pewnego dnia w roku 1972 wyznał kumplowi: *„ — Boże, gdybym tylko mógł być sobą, spacerować jak inni, być wolnym, rozumiesz?! Wolnym! Za jeden tydzień bez tego zgiełku wokół mnie dałbym milion dolarów! Być sobą, a nie ikoną na ołtarzu, pojmujesz?!..."*. Że ELVIS przestało być imieniem, bo stało się symbolem i marką — to Presleyowi sprawiało przyjemność. Lecz permanentny brak prywatności wskutek masowego ubóstwienia coraz częściej doskwierał mu.

„Król" był bardzo dziwny, ponieważ zupełnie nie pasował do rytualnego schematu supergwiazdora. Mimo że błyskawicznie stał się milionerem — nie pił, nie palił, nie ćpał, nie urządzał skandali, które są *„mięsem"* brukowców, doprowadzał więc do szału redaktorów naczelnych. Można mu było zarzucić tylko rozrzutność, ale była to rozrzutność pozytywna, bo głównie charytatywna i filantropijna. Filantropia bogaczy jest w Stanach obowiązkiem, z tej prostej przyczyny, że znakomicie wpływa na obniżenie płaconych podatków, lecz u Elvisa nie miało to z podatkami nic wspólnego. Koledzy milionerzy pukali znacząco czoła, widząc jak pakuje miliony w domy opieki, szpitale czy akcje pomocy społecznej, jak funduje kalekom tony wózków inwalidzkich, płaci za koszmarnie drogie leczenie, obsypuje dzieci murzyńskie podarkami, rozdaje na prawo i lewo samochody (tylko w ciągu jednego dnia rozdał nieznajomym 6 cadillaców). Mówiono, że utrzymywał ludność sporego miasta. Był człowiekiem, i za to go kochano. Nie kochała go tylko kobieta, którą wybrał — i przez to świat

eprasa.pl 990798db5f

mu się zawalił. Małżonka Elvisa, Priscilla Presley, odeszła ze swym instruktorem sportowym, tłumacząc później żurnalistom, że znudziła ją *„złota klatka”*. Mógł sobie teraz nucić swój wielki przebój **„Hotel Złamanych Serc”**:

„Odkąd opuściło mnie moje kochanie,
znalazłem sobie nowe miejsce do życia,
na krańcu Ulicy Samotności,
w Hotelu Złamanych Serc,
samotny tak bardzo, tak bardzo,
że mógłbym umrzeć”.

Odtąd staczał się coraz bardziej w otyłość i w lekomanię *„odchudzającą”*. Nigdy jednak nie stoczył się w lewactwo i w ateizm. Od dziecka był człowiekiem bardzo religijnym. Nim poszedł do szkoły, śpiewał w chórze kościelnym; jako uczeń regularnie śpiewał szkolną modlitwę poranną; jako gwiazdor nagrał kilka longplayów z pieśniami religijnymi (**„How Great Thou Art”** i in.): gospelsami, kolędami, psalmami, hymnami, etc. Dolores Hart, która zagrała partnerkę Elvisa w dwóch filmach (**„Loving You”** i **„King Creole”**), a później pod wpływem papieża Jana XXIII została zakonnicą (dziś jest przeoryszą benedyktyńskiego klasztoru), wspomina: *„ — Był ciepłym, serdecznym człowiekiem, chodząca dobroć. Swoim umiłowaniem Pana Boga drażnił wielu. W przerwach między zdjęciami zazwyczaj czytał Biblię. Czasami mnie przywoływał, by przeczytać mi na głos jakiś fragment”*.

Literatura religijna towarzyszyła mu do ostatniej sekundy życia, jakże krótkiego. Wywróżono mu niegdyś, że będzie żył dokładnie tyle czasu ile jego matka, która zmarła (sierpień 1958) w wieku 42 lat. 8 stycznia 1977 skończył 42 lata, i im bliżej było sierpnia — tym częściej powtarzał: *„ — I have a short time”* (Mam już niedużo czasu). Trzy tygodnie przed śmiercią ściągnął do Memphis swą 9–letnią córeczkę i prawie jej nie odstępował.

Wykupywał dla niej i dla dzieci biedaków całe wesołe miasteczka w okolicy, bez przerwy jeżdżąc z nią na konikach, samochodzikach, karuzelach. Ostatniej doby uśpił małą i długo jeszcze siedział przy łóżeczku, trzymając policzek na jej dłoni. Znaleziono go kilka godzin później leżącego obok wanny, z książką w ręku, bo chciał czytać podczas kąpieli. Tą książką były rozważania religijne.

Oficjalną diagnozę przyczyn zgonu (atak serca) media (te życzliwe mu) skontrowały własną diagnozą: **„Elvis Died From Loneliness”** (**„Elvis zmarł na samotność”**), oskarżając o morderstwo żonę, która *„zabiła go zdradą”*.

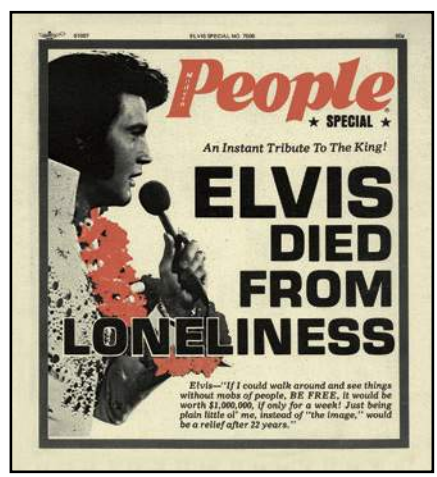

KARA ZA ANTYLEWICOWOŚĆ

Niezłomnej religijności towarzyszyła tak niezłomna kontrlewicowość, że można mówić o *„betonowym”* antykomunizmie — dalej tylko ściana. Urzędniczce amerykańskiego Kongresu, Joyce Bovy, rzekł po obejrzeniu filmu **„Patton”**: *„ — Problemem jest to dzisiaj, że młodzi ludzie nie szanują niczego. Boga, kraju, niczego. To wpływ komuchów. Jeżeli utracimy ostrożność — komuniści opanują nas. Brak wiary w Boga rodzi podatność na komuszą propagandę”*. W roku 2011 Węgrzy przyznali mu tytuł *„honorowego obywatela Budapesztu”* i nazwali plac stołeczny jego imieniem, bo A.D. 1956 głośno wsparł antysowiecki bunt tego narodu i organizował zbiórki darów dla

eprasa.pl 990798db5f

powstańców. Sześć lat później (1962) przebywający właśnie w Stanach arcyksiążę Otto von Habsburg powiedział, że *„Elvis Presley jest symbolem buntu dla całej młodzieży cierpiącej niewolę komunistyczną”*. Mogę to potwierdzić — miałem wówczas 18 lat (dzisiaj mam trochę więcej, te same antybolszewickie przekonania i pełną *„dużą”* dyskografię Presleya: komplet oryginalnych pierwotnych tłoczeń longplayów plus warianty). Nawet niechętni mu komentatorzy podkreślali szczery patriotyzm Elvisa i jego konserwatyzm (głębokie przywiązanie do *„american way of life”*, hymnu, flagi i narodowych symboli). Mimo że był twardym antylewakiem — nawet głośna lewicowa komentatorka Ellen Willis oddała mu hołd na łamach **„New Yorkera”** (lipiec 1972) za to, że śpiewając **„Amerykańską Trylogię”** stara się zjednoczyć społeczeństwo ciągle jeszcze rozdarte mentalną barierą między *„Północą”* a *„Południem”*. **„The American Trilogy”** (pomysł Mickeya Newbery'ego) składała się bowiem z **„Dixie”** (hymnu Konfederatów), **„The Battle Hymn of the Republic”** (pieśni Unionistów) i ludowego songu religijnego **„All My Trials”** (**„Wszystkie moje udręki”**).

Jest rzeczą oczywistą (można chyba powiedzieć: naturalną), iż taki antysalonowiec — patriota, konserwatysta, fideista, antykomunista — musiał być bardzo wrogo traktowany przez salonowców, którzy w USA nigdy nie przestali być środowiskiem agresywnie lewackim (skąd my to znamy? — przerabiamy tę samą Golgotę kontestując identyczny rodzimy Salon wszelakich *„pożytecznych idiotów”*, głównie celebrytów). I gdy już dotknąłem termitiery zwanej III RP — warto przypomnieć, że również nad Wisłą paszkwilanckie wobec Elvisa starania jankeskiego Salonu miały swoje pokłosowe echo. Mógłbym zacytować dużo tych kopniaków, ale starczy jeden. Niejaki Dariusz Michalski, *„flekujący”* Presleya w **„Nowej Europie”** (1995), stwierdza m.in.: *„Głos też miał właściwie przeciętny”*. To tak, jakby napisać, że Picasso miał właściwie przeciętny pędzel, Mickiewicz przeciętne pióro, Beckham przeciętną nogę, a Bonaparte przeciętny mózg. Co do mózgu Salon twierdził, że w głowie Elvisa zupełnie tego organu brak, rzucano kpinki o *„wiejskim głupku”*. Tomasz Lada: *„Był tępym kmiotkiem o pięknym głosie. Jednym z tych pastuchów, którzy w bajkach otrzymują pół królestwa i księżniczkę (...) Najlepszym rozwiązaniem była dla sławnego tępaka bezmyślność”* (**„Życie Warszawy”**, 2002). Tymczasem od bezmyślności *„The King”* był daleki, i to bardzo. Na początku lat 70–ych próbowali go uwieść scjentolodzy, których *„Kościół”* robi co może dla łowienia gwiazd (Tom Cruise, John Travolta, etc.). Zaprosili go tromtadracko do swego centrum. Po wyjściu sarknął: *„ — Czort z nimi! Chcą tylko moich pieniędzy i mojej sławy!”*. Zapytany (1972) podczas konferencji prasowej o prawa obywatelskie kobiet, nie chciał dywagować: *„ — Mam w tej sprawie wyrobioną opinię, lecz kimże ja jestem, by się na ten temat mądrzyć, jestem tylko piosenkarzem, nie pragnę wywoływać kontrowersji. Status gwiazdy nie upoważnia do szerzenia socjologicznych poglądów”*. To jest bezmyślność? Zapytany czemu nie brata się z intelektualistami, literatami czy ludźmi awangardy plastycznej, odparł: *„ — Trzeba znać swoje możliwości. Zadaję się z ludźmi mojej sfery i mojego pokroju”*. Tak bezmózgi mówią?

By mocniej dokopać Presleyowi Salon uczynił narkotyki swoją *„Wunderwaffe”*. Akt oskarżenia wysmażyli trzej ochroniarze Elvisa, których rok przed swą śmiercią wyrzucił z pracy za haniebne postępki. Zemścili się książką pełną *„ujawnionych brudów”*, którą salonowe media reklamowały jako *„demaskatorską”*. Miał być wielbicielem orgii seksualnych i narkotykowych, pornomanem, chuliganem, złośliwcem, etc. Później wszyscy kalumniarze pragnący ubabrać *„Króla”* (exemplum biografia pióra Alberta Goldmana) będą sowicie wykorzystywali/cytowali ten paszkwil, plus jeszcze jeden, równie mściwy, napisany przez cudzołożną połowicę, Priscillę (ich córka, Liza Maria, po opublikowaniu tych łgarstw zerwała wszelkie kontakty z matką). Gdy Elvis zmarł na atak serca, bezzwłocznie wykorzystano to do głoszenia, iż przyczyną było przedawkowanie *„koksu”*. Przedawkowanie było istotnie przyczyną, ale przedawkowanie leków — środków nasennych (cierpiał na chroniczną bezsenność), środków odchudzających (pod koniec życia dopadła go straszna otyłość) i środków przeciwbólowych (dzień wcześniej przeszedł ciężki zabieg dentystyczny). Jego przyboczny lekarz, dr George Nichopoulos, stanął przed sądem oskarżony o polipragmazję, czyli o przepisanie pacjentowi zbyt wielu leków na raz. Dziesiątki osób, które obcowały z Presleyem codziennie, i setki, które miały z nim częsty zawodowy lub towarzyski kontakt, więc znały go bardzo dobrze — indagowane przez dziennikarzy wyśmiały jako bzdurę kompletną zarzuty praktykowania orgii i brania narkotyków. Presley był tak bojowym przeciwnikiem narkomanii, że wysłał list do prezydenta Nixona, oferując pomoc w walce z tą

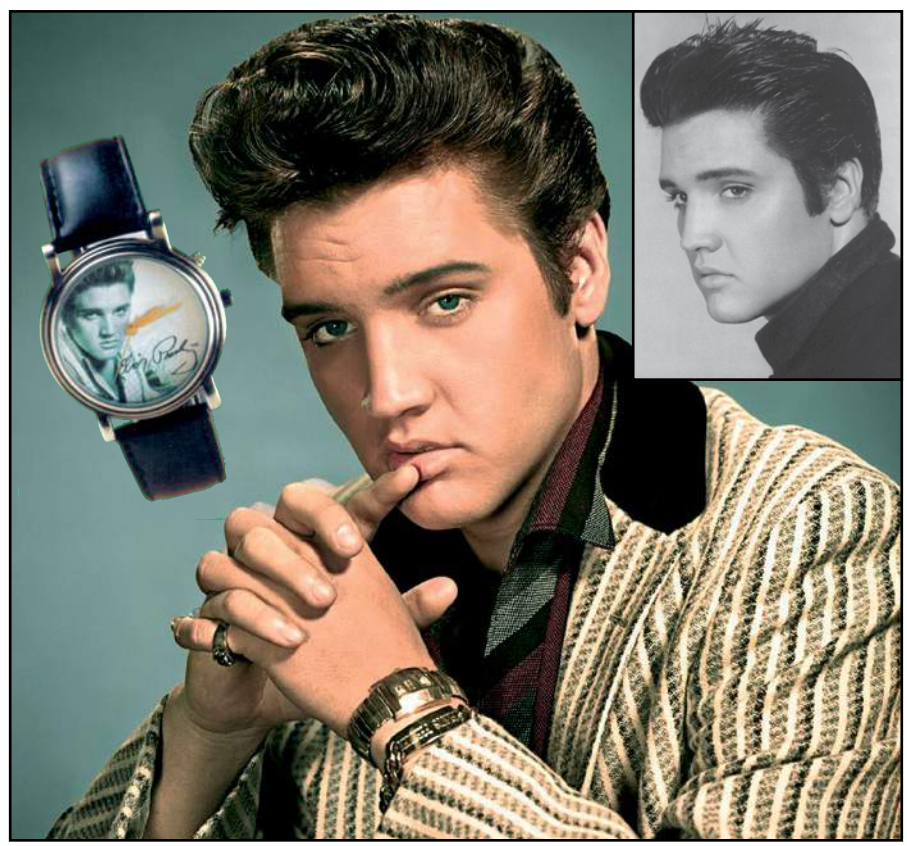

eprasa.pl 990798db5f

plagą (Nixon przyjął go potem ceremonialnie wewnątrz Owalnego Gabinetu), a ceniące jego zasługi na tym polu Biuro do Spraw Narkotyków przyznało mu odznakę swego agenta. Szkalujący Elvisa salonowcy strzelili tu znowu kulą w płot.

PRESLEYOMANIA

„Presleyomanie" są dwie, obie mega — kosmiczne. Pierwsza to zjawisko kulturowo–społeczne (niegasnący kult, uwielbienie fanów), druga to zjawisko gospodarcze (kolosalny biznes). Obie były gigantami już w ciągu dwóch dekad przed śmiercią *„Króla"*, a śmierć zwielokrotniła je do hiperrozmiarów.

Ile jest na świecie miliardów ludzi, którzy lubią słuchać piosenek Elvisa; ile milionów jego wielbicieli; ile tysięcy wierzących, że Elvis żyje; ile setek wcielających się w niego? Tylko przed rokiem 1983 aż 1403 Amerykanów upodobniło swą twarz chirurgicznie do twarzy idola. Już rok po jego śmierci (1978) prasa amerykańska głosiła: *„Teraz Elvis został po prostu zdeifikowany. Jego kult nabrał wręcz religijnych cech i aspektów. Jego wyznawcy, przekonani, że «Elvis będzie żył wiecznie!», szukają relikwi"*. Mnożyły się *„cudowne wyzdrowienia za sprawą Elvisa"*, tudzież Kościoły czczące go jako świętego (Kościół Elvisa, Kościół Jezusa Elvisa, Presleyanie, i in.). To nie Lenin był w XX stuleciu *„wiecznie żywy"*, lecz *„chłopak z Tupelo"*. W XXI stuleciu kult nie słabnie. Harald Tröger: *„To jest naprawdę coś w rodzaju religii. To nie jest na parę lat, to jest na całe życie. Elvis rządzi ludźmi, panuje nad nimi"*. Ergo: tytuł mojego reportażu z pogrzebu *„Króla"* (**„The King Is Dead"**) okazał się nieprawdą, bo the King is not dead. Żyje nie tylko kulturowo oraz kultowo, lecz i naukowo — pierwsze scjentyczne sympozjum na temat jego twórczości (socjologowie, lingwiści, muzykolodzy itp.) w amerykańskim Oxford (stan Missisipi) odbyło się tam (tuż po sympozjum na temat twórczości Williama Faulknera) A.D. 1995 i trwało 6 dni.

Gdy mowa o pośmiertnym zyskownym zwielokrotnieniu się biznesu związanego z Elvisem — jako pierwszą (bo zyskującą już pierwszej doby) trzeba wskazać prasę amerykańską, a pośród niej królewskie berło trzeba przyznać tygodnikowi **„National Enquirer"**. Rzecz w tym, iż zakazane było robienie zdjęć zmarłego gwiazdora, więc wszystkich przekraczających próg domu pogrzebowego rewidowano, odbierając im fotoaparaty. Po dziś dzień nikt nie wie jakim cudem (obstawiam sutą łapówkę dla strażników) **„NE"** opublikował zdjęcie Elvisa w trumnie, dzięki

czemu nakład tygodnika skoczył do 6 mln egzemplarzy! Wszystkie *„nakłady"* skakały przez kolejne lata: płyt Elvisa, filmów Elvisa, oraz rozmaitych gadżetów z buźką lub sylwetką Elvisa, od kubków po bieliznę. Czegóż to nie produkowano i nie produkuje się wciąż bez przerwy! Nieboszczyk zarabiał rocznie ponad 50 mln dolarów. Na milionach płyt i milionach curiosów, czasami wręcz bezczelnych, exemplum wino „Elvis Forever" reklamowane jako *„wino, które pijałby Elvis, gdyby pijał wino"* (sic!). Prócz niego zarabiali też żywi, hordy pasożytów, exemplum niejaka pani Lucy de Barbin. Dama ta, o której wcześniej nikt nie słyszał, wydała w 10. rocznicę śmierci Presleya książkę o tym, że *„była jedyną prawdziwą miłością «Króla»"*, matką jego dziecka i adresatką jego czułych wyznań takich jak to: *„Twoje piersi są niczym dojrzałe brzoskwinie skropione rosą poranka"*.

„Presleyomanię" podtrzymywał również Hollywood. W pierwszym fabularnym filmie o *„idolu wszech czasów"* (nosił różne tytuły: **„Elvis"**, **„Elvis Story"**, **„The King of Rock'n Roll"**) Elvisa zagrał (1979) Kurt Russell. Zagrał rewelacyjnie — nawet bardzo zrazu krytyczni fani musieli przyznać, że to *„żywy Elvis"*, a kinomani krzyczeli: *„ — Elvis zmartwychwstał!"*. Trzygodzinna wersja telewizyjna filmu, emitowana przez stację ABC, wprost zmiażdżyła konkurencję, czyli emitowane o tej samej porze dwa superfilmy: najbardziej kasowy film wszech czasów **„Przeminęło z wiatrem"** (stacja NBC) i nagrodzony dziesięcioma Oscarami **„Lot nad kukułczym gniazdem"** (stacja CBS). Zresztą wszystkie filmy o Presleyu przynosiły twórcom mnóstwo banknotów. Twarz Elvisa nie wylądowała na żadnym banknocie (prócz amatorskich), miała natomiast wylądować na 1–dolarowej monecie (projekt amerykańskiego Ministerstwa Finansów), co jednak nie doszło do skutku. Dzięki Bogu, jest to bowiem nominał znienawidzony przez całe społeczeństwo (m.in. dlatego, że 1–dolarówka rozmiarem i wagą przypomina 25–centówkę, ludzie się mylą i klną).

Resumując: waluta pt. Elvis Presley vel *„The King"* nie ulega dewaluacji mimo upływu lat. Dzisiaj rocznicowo wyrażam radość tego powodu. ©℗

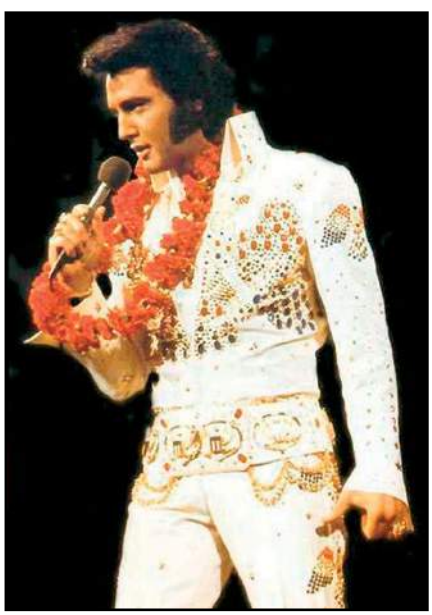

eprasa.pl 990798db5f

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Na kolonii życie płynie...

Mój syn wyjechał na obóz. Nastroiło mnie to sentymentalnie i powspominałem własne dziecięce wakacje. Za naszych czasów jeździło się na kolonie. No, chyba że ktoś był harcerzem. Ja w harcerstwo się nie wkręciłem – może dlatego, że jako zuch na swoim pierwszym obozie nie zmieniałem ubrań. Moje majtki z tamtych czasów bez wątpienia mogłyby zasilić arsenał bliskowschodniego dyktatora.

Lepiej radziłem sobie na koloniach. Nie trzeba było myć się w jeziorze, tylko w szkolnej umywalce. Do dzisiaj mam w pamięci kolegów, którzy szorowali brudne pięty szczoteczkami do zębów. Z kolonii mam wiele fajnych wspomnień, ale kiedy przypominam sobie, co tak naprawdę na nich robiłem, to uświadamiam sobie, że niewiele. Mieszkało się w szkołach, a te z reguły były usytuowane w sporej odległości od takich atrakcji jak jezioro czy morze, w związku z tym koloniści zajmowali się głównie tym czym armie Napoleona – maszerowaniem. Po śniadaniu, na które podawano z sadystycznym uporem zupy mleczne, następował wymarsz do odległego o kilka kilometrów celu. Po przybyciu następowała szybka kąpiółka, ewentualnie zwiedzanie czegoś nieinteresującego. Potem kupowaliśmy cytronetę w woreczkach foliowych tudzież frytki. I już trzeba było wracać na obiad.

W sumie najfajniejsza była cisza nocna. Kadra pokątnie imprezowała, a my leżeliśmy po kilkunastu chłopa w ciemnych salach i opowiadaliśmy sobie straszne historie. Albo kawały – głównie o Polaku, Rusku i Niemcu. Czasem wparowywał wychowawca i kontrolował, czy na pewno śpimy. Kiedy wychodził, powracaliśmy do naszych horrorów i dowcipów. Takie sesje trwały do późnej nocy.

Dzisiejsze obozy wyglądają zupełnie inaczej. Dzieciaki mieszkają w hotelach i są bombardowane atrakcjami. Pływanie, survival, kajaki, windsurfing, sporty walki, strzelanie z łuku, żeglarstwo, tenis, angielski. Kiedy zobaczyłem program wyjazdu mojego syna, uznałem, że to – trzymając się nomenklatury kolonijnej – pic na wodę. Jednak kiedy wrócił, okazało się, że rzeczywiście nieustannie coś robili i na nudę oraz tęsknotę za domem nie było czasu. I też nocami snuli dziwne historie, tyle że teraz mieszkali po czterech w pokoju. I mieli telewizor, z którego po kryjomu korzystali.

Moi rodzice dorastali w trudnych czasach, o których wiele opowiadali. Toteż ja, zbierając kożuchy z zup mlecznych w umiarkowanie uroczych latach 80., miałem poczucie, że jestem w czepku urodzony. Mam też nadzieję, że wakacje mojego wnuka będą jeszcze fajniejsze od wakacji mojego syna. Tak po prostu być powinno.

Acz nie ma róży bez kolców. Po powrocie z obozu młody stanowczo zażądał oglądania polskich kabaretów. W Polsacie. Na razie go zwodzę. Może zapomni. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Historyczny wizerunek

Historia jest w znacznej swej części produktem propagandy. I nie chodzi mi o wykorzystywanie jej po wiekach przy argumentowaniu jakichś „odwiecznych praw do...", a o etap, gdy dopiero się tworzy.

Kronikarze rzadko działają w próżni. Gall Anonim był na etacie u Bolesława Krzywoustego. Jak więc miał napisać całą prawdę o jego ojcu Władysławie Hermanie, ujawnić kulisy obalenia Bolesława Śmiałego i zgładzenia jego syna Mieszka?

Wystarczyło tak negatywnie przedstawić pobitą bestię, żeby zwycięzcę uznano za mniejsze zło

Historię piszą zwycięzcy. O podboju Galii wiemy od Cezara, nie od pokonanego Vercingetorixa. Tacyt i Swetoniusz tworzyli opowieści o „złych cezarach" na zamówienie „tych dobrych" i zapewne mocno przesadzali.

Legendę o wielkich władcach – Piotrze I czy Henryku VIII – utrwalali ich następcy, toteż do dziś dnia owi superzbrodniarze, żono- i dzieciobójcy, chodzą w glorii postaci wybitnych.

Gdyby nie dokumenty i kroniki z krajów ościennych, nie byłoby szans na zbliżenie się do historycznej prawdy.

Justynian i Teodora, władcy Bizancjum z VI w., byliby postaciami pomnikowymi, gdyby nie historia sekretna ich najbliższego współpracownika Prokopiusza z Cezarei, który bezwstydnie chwaląc ich za dnia, po nocy spisywał wszystko, co podłe, złe i wstydliwe. Jednak co zrobić, gdy ktoś ma pecha?

Taką postacią był niewątpliwie Ryszard III, którego czarną legendę podbudował swym mistrzowskim piórem Szekspir...

Dopiero niedawno zaczęto podważać jednoznaczny obraz krwawego garbusa, tyrana i mordercy własnych bratanków. Ukazały się znakomita praca Paula Kendalla, przywracająca rozsądne proporcje, czy powieść Sharon Penman „Ryszard z Bożej łaski", czyniąca z kontrowersyjnego monarchy rycerza bez zmazy i skazy.

Dla mnie ciekawszy jest kontekst dziejowy. Ryszarda III obalił i pobił w bitwie pod Bosworth Henryk Tudor, przez matkę związany z rodem Lancasterów, który zwyciężył dzięki zdradzie (Ryszard bohatersko walczył do końca), a prawa do tronu miał problematyczne. Wystarczyło jednak tak negatywnie przedstawić pobitą bestię, żeby zwycięzcę uznano za mniejsze zło. Tak się stało na długie wieki.

Historia ta nie ma morału, bo jest z gruntu amoralna! ©℗

eprasa.pl 990798db5f

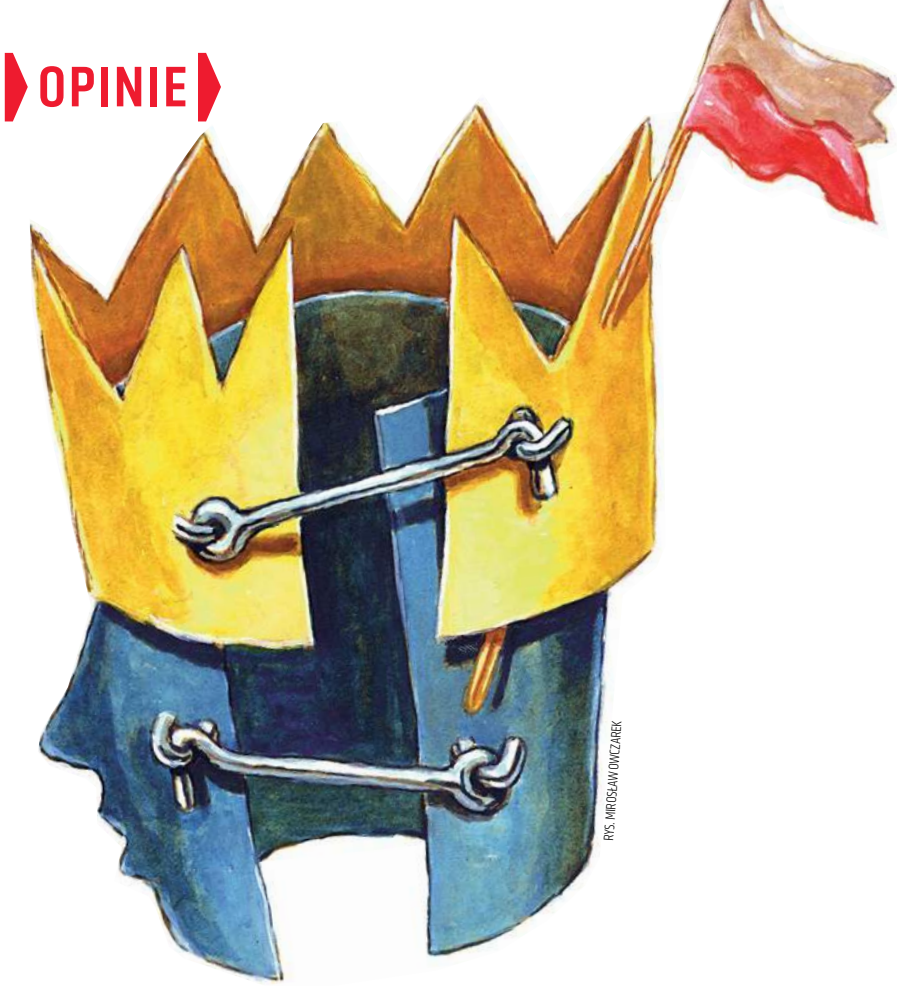
RYS. MIROSŁAW OWCZAREK

PiS – między populizmem a etosem

Filip Memches

Toczy się bój o duszę Prawa i Sprawiedliwości. Wbrew obiegowej opinii tożsamość partii rządzącej nie jest oczywistością

PiS doszedł do władzy, wysuwając postulat upodmiotowienia ludu, dowartościowania grup społecznych, które po upadku PRL były przez elity lekceważone i nie miały poczucia, że III Rzeczpospolita jest ich państwem. Realizacja tego postulatu może się odbywać na dwa sposoby: poprzez demoralizację społeczeństwa, żerowanie na niskich instynktach politycznych, które w określonych okolicznościach dochodzą do głosu, lub poprzez stawianie Polakom wymagań, stworzenie im warunków do rozwoju.

W pierwszym przypadku upodmiotowienie ludu będzie pozorne. Część społeczeństwa, która po roku 1989 miała dojmujące poczucie wyobcowania od polityki, jest podatna na bałamucenie populistycznymi obietnicami. Jedną z takich obietnic jest wizja Polski rządzonej przez zrewoltowane masy, zdolne narzucić swoje oczekiwania obozowi władzy.

WOJNA PLEMION

Masy, zwłaszcza gdy powodowane są fermentem rewolucyjnym, nie niuansują jednak rzeczywistości. Dla nich kto nie z nami, ten przeciwko nam. Kiedy zatem usłyszą od polityków zachętę do eskalowania roszczeń, poczują krew.

Nie inaczej jest z wyborcami PiS. Wśród nich znaczącą liczbę stanowią tacy, którzy z przekazu tego ugrupowania wnioskują, że w Polsce toczy się bezwzględna wojna plemion. Skoro tak, to uważają, że na polach bitewnych nie można ustępować, więc i z obowiązującej narracji nie godzi się wyłamywać.

Ostatnio przekonał się o tym sam prezydent Polski, który przecież niemal od początku sprawowania swojego urzędu był oskarżany przez politycznych przeciwników o całkowite posłuszeństwo PiS. Wystarczyło jednak, że Andrzej Duda zawetował dwie bardzo ważne dla partii rządzącej ustawy (o Sądzie Najwyższym i KRS) i już pod jego adresem zaczęły się pojawiać formułowane przez niektórych polityków obozu władzy zarzuty, że jest zdrajcą „dobrej zmiany".

Problem jednak nie jest nowy. Ot, weźmy kogokolwiek, kto by wyrażał poglądy konserwatywne i deklarował katolicyzm, lecz zgłaszał zastrzeżenia do różnych działań PiS. Wielu wyborców tej formacji będzie takiego kogoś piętnować jako „wroga Polski" i „lewaka". Krytyczną refleksję w szeregach obozu władzy nad własnymi poczynaniami osoby te poczytują bowiem za przejaw niedopuszczalnej słabości, w czym utwierdzane są przez tę część prawicowych mediów, która próbuje w imieniu „ludu PiS-owskiego" wywierać wpływ na politykę partii rządzącej. A przecież upajanie się własną nieomylnością jest demoralizujące.

PiS nie jest rzecz jasna pierwszym ugrupowaniem, które staje przed pokusą podporządkowania swojej polityki nastrojom społecznym. Nie inaczej było z Platformą Obywatelską – formacją będącą pod wieloma względami wzorem populizmu. Strategia „ciepłej wody w kranie" oznaczała rezygnację z trudnych reform na rzecz doraźnego zaspokajania bieżących potrzeb nowego polskiego mieszczaństwa – warstwy społecznej, która uwierzyła w bajkę o szczęśliwym końcu dziejów i uznała, że politycy mają jej zagwarantować spokojne grillowanie w domowym ogródku.

eprasa.pl 990798db5f

Sytuacja w Europie zaczęła się jednak kilka lat temu zmieniać, a prawa wyborcze uzyskały kolejne roczniki Polaków. Nastroje społeczne nad Wisłą skręciły w prawo. W Polsce wyłoniła się nowa agenda.

Można się było o tym przekonać, śledząc spór o uchodźców. PiS, podnosząc problem niebezpieczeństw związanych z masowym napływem ludności z Bliskiego Wschodu i północy Afryki, politycznie zyskał. Polakom bowiem udzieliły się lęki tych europejskich narodów, które realnie się zderzają z przemocą ze strony muzułmanów.

Trudno nie zgodzić się z PiS, że sprawa uchodźców stała się narzędziem narzucania przez Niemcy polityki imigracyjnej Polsce i innym państwom „nowej" Unii Europejskiej. Partia rządząca ma też rację, gdy wskazuje możliwość poważnych konfliktów, których źródłem są różnice religijne i kulturowe dzielące rdzenną ludność Starego Kontynentu i przybyszów z krajów islamskich.

BAŁAMUCENIE LUDU

Tyle że za tymi słusznymi konstatacjami, za słuszną obroną polskich interesów w starciu z Komisją Europejską, poszła również określona retoryka PiS – retoryka straszenia uchodźcami, stawiania znaku równości między rodzinami uciekającymi przed wojną i głodem a wysadzającymi się w powietrze dżihadystami oraz ekonomicznymi imigrantami.

Efektem tej retoryki może być wywołanie wśród Polaków nadmiernej podejrzliwości, o ile wręcz nie wrogości, wobec osób o śniadej karnacji. Jest to demoralizujące tworzenie problemów, których nie ma, bo Polska wciąż pozostaje krajem jednolitym etnicznie, w którym brak muzułmańskich gett i konfliktów międzykulturowych.

Mamy zatem do czynienia z niepotrzebnym sugerowaniem Polakom, że znajdują się w tej samej sytuacji co Niemcy czy Francuzi. Sprzeciw wobec poprawności politycznej, wobec narzucania przez instytucje unijne ideologii multi-kulti nie powinien być równoznaczny ze wskazywaniem wroga, którego w Polsce nie ma, z używaniem retoryki, która ożywia wśród ludu atawistyczne plemienne odruchy.

Jeśli mowa o pokusie populizmu, to nie można też pominąć roztaczania przed społeczeństwem miraży w dziedzinie ekonomii. Na uwagę zasługuje choćby obniżenie przez PiS wieku emerytalnego. Wiadomo, że każdy człowiek wolałby otrzymywać świadczenie emerytalne wcześniej niż później. Dlatego jeśli jakaś siła polityczna zapowie, że wyjdzie naprzeciw tej potrzebie, to może się spodziewać odwdzięczenia w postaci głosu poparcia w wyborach.

I tak PiS, w kampanii przed wyborami parlamentarnymi w roku 2015, udało się rozpowszechnić przekaz, że PO dlatego podwyższyła Polakom wiek emerytalny, że chciała ich wyzyskiwać. Tymczasem nie da się zaprzeczyć, że przeciętna długość życia w Polsce rośnie. System emerytalny będzie zatem coraz bardziej obciążony. Zamiast więc demoralizować Polaków perspektywą złudnych ułatwień, PiS powinien mierzyć się z realnym problemem, jakim jest starzenie się społeczeństwa.

Bałamucenie ludu wizją fałszywego upodmiotowienia to polityka typowa dla „nieliberalnych demokracji". Termin ten wylansował amerykański publicysta Fareed Zakaria, odnosząc go do Polski rządzonej przez PiS i Węgier rządzonych przez Fidesz. Jaka byłaby

REKLAMA

WYTWORNA ELEGANCJA z ROAMER WINDSOR

KOLEKCJA SZWAJCARSKICH ZEGARKÓW ROAMER WINDSOR TO KLASYKA W CZYSTYM WYDANIU, A TYM SAMYM DOSKONAŁY DODATEK DO GARNITURU.

Prosta, elegancka koperta o średnicy 40 mm idealnie chowa się pod mankietem koszuli. Piękna, cebulkowa koronka oraz rzymskie indeksy prezentujące pełne godziny podkreślają stylistykę retro. Centralna część tarczy ozdobiona została misternie wykonanym motywem zdobniczym tzw. giloszem. Wszystkie modele zostały wyposażone w wysokiej klasy kwarcowe szwajcarskie mechanizmy, gwarantujące dokładność i niezawodność. Odporne na zarysowania szafirowe szkło z powłoką antyrefleksyjną zapewnia wieloletnią trwałość i nieskazitelny wygląd. **ROAMER WINDSOR** dostępny jest w kilku wariantach kolorystycznych, zarówno na stalowej bransolecie jak i komfortowym pasku ze skóry naturalnej.
To ciekawa propozycja dla mężczyzn eleganckich, ceniących wysoką jakość i precyzję wykonania.

CENA: 980 zł
706856 41 42 07, 706856 41 12 07

eprasa.pl 990798db5f

krótka definicja „nieliberalnej demokracji”? To system, w którym wola ludu wyrażona w wyborach staje się źródłem legitymacji dla łamania praw politycznych, swobód obywatelskich i praw własności.

Oczywiście polityka PiS jest dość złożona i określanie systemu budowanego przez tę partię mianem „nieliberalnej demokracji” jest grubym propagandowym uproszczeniem intelektualisty z ideologicznymi uprzedzeniami. Retoryka straszenia uchodźcami czy argumenty, jakich obóz władzy używa, obniżając wiek emerytalny, to jednak przykłady działań potwierdzających tezę o swoistej instrumentalizacji woli ludu.

Przy okazji warto podnieść kwestię oskarżeń wysuwanych pod adresem PiS, w których jego politykę porównuje się do polityki Władimira Putina. Dlaczego? Właśnie dlatego, że prezydent Rosji jest doskonałym przykładem przywódcy państwa, realizującym strategię pozornego upodmiotowienia ludu. Nawet gdyby reżim Putinowski nie fałszował wyborów ani nie zamykał opozycjonistów w więzieniu, toby i tak cieszył się przeważającym poparciem społecznym.

Zaczęło się od poprawy sytuacji gospodarczej kraju. Pierwsza prezydencka kadencja Putina to okres koniunktury na ropę naftową i gaz. Ceny tych surowców poszły gwałtownie w górę i dzięki temu zawartość portfeli Rosjan zwiększyła się wielokrotnie. Oczywiście, za tą zmianą nie poszły żadne istotne reformy ekonomiczne, a przecież rozwoju kraju nie można uzależniać od handlu ropą i gazem, żadna koniunktura nie trwa wiecznie. A już do rangi symbolu urastają skandale korupcyjne wokół ośrodka w Skałkowie pod Moskwą, gdzie ma powstać „rosyjska Dolina Krzemowa”. Tyle że ludu innowacje nie obchodzą, najważniejsza jest gotówka – a ta płynie ze sprzedaży surowców. I Putin to wie.

Potem przyszedł czas na awantury Kremla poza granicami kraju, czyli „wstawanie z kolan”. Agresywnym działaniom wobec Gruzji, Ukrainy i innych byłych republik sowieckich towarzyszyła nowa polityka historyczna Rosji, odwołująca się do poczucia dumy narodowej. Do łask wrócił „wielkomocarstwowy patriotyzm” okraszony, czyniącą ukłony w stronę prawosławia, konserwatywną retoryką.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że Rosja stała się bastionem tradycjonalistycznej kontrrewolucji. „Krymnaszyzm” – zjawisko zbiorowego amoku, który w ludzie rosyjskim wywołała aneksja Krymu – to dobitny przykład tego, jak odwoływanie się do etosu wspólnoty narodowej przez władzę może demoralizować społeczeństwo. Reżim Putinowski za fasadą frazesów o duchowym odrodzeniu Rosji i „zgniłej Gejropie” promuje cynizm jako naczelną zasadę obowiązującą w polityce.

Jeśli konserwatyzm europejski zakotwiczony ma być w chrześcijaństwie, to powinien podkreślać niezbywalną godność osoby ludzkiej. A skoro tak, wówczas takiego konserwatyzmu nie można mylić z przenikającym rozmaite obszary rosyjskiego życia publicznego drylem wojskowym, który Feliks Koneczny uważał za przejaw „cywilizacji turańskiej”.

Czy polska „dobra zmiana” ma z kremlowską polityką cokolwiek wspólnego? W wymiarze retoryki można nieraz odnieść wrażenie, że tak. PiS też przecież afirmuje „wstawanie z kolan” i poczucie dumy narodowej, krytycznie odnosząc się do lewicowo-liberalnych trendów politycznych oraz kulturowych, importowanych z Zachodu.

Kaczyński reprezentuje polski etos inteligencki, który zawsze podkreślał konieczność niesienia ludowi kaganka oświaty

Istnieje jednak co najmniej jedna podstawowa różnica między putinowską Rosją a Polską rządzoną przez PiS. Putin utrwala postkomunizm, a ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego postkomunizm demontuje.

Czymś nie do pomyślenia jest, żeby obecny prezydent Rosji chciał odebrać przywileje emerytalne osobom, które niegdyś służyły w KGB. Wywodzący się z tej instytucji ludzie – z Putinem włącznie – odgrywają istotną rolę polityczną w rosyjskim życiu publicznym.

Tymczasem PiS, decydując się na odebranie przywilejów emerytalnych dawnym funkcjonariuszom SB, wywołał ich wściekłość. Mało tego, doszło do kuriozalnego sojuszu byłych esbeków z tymi weteranami opozycji antykomunistycznej, którzy nie potrafią się pogodzić z faktem przejęcia władzy przez formację Kaczyńskiego.

DOJRZEWANIE POLAKÓW

Politycy PiS powinni jednak bacznie przyglądać się Putinowskiej Rosji, ponieważ to, co się dzieje w tym kraju, stanowi obraz tego, czym upodmiotowienie ludu być nie powinno. A czym być powinno? Drugim wariantem napomkniętym na wstępie: upodmiotowieniem poprzez traktowanie Polaków jako wspólnoty, która ma politycznie dojrzewać.

Opcja ta na razie nie zdominowała polityki PiS. Można jednak przypuszczać, że jak długo prezesem tej formacji będzie Jarosław Kaczyński, tak długo będzie na to szansa. Chociaż były premier nie stronił od populistycznych haseł – np. szermowanie antykomunizmem w kraju bez komunistów jako liczącej się siły politycznej – to jednak jest spadkobiercą czegoś odległego od populizmu. Kaczyński reprezentuje polski etos inteligencki, który zawsze stawiał na krytyczną, pozbawioną mitologizacji refleksję nad narodem i podkreślał konieczność niesienia ludowi kaganka oświaty.

Rzecz jasna w historii III RP było już polityczne środowisko epatujące inteligenckością i chcące z niej uczynić swój mandat do wychowywania społeczeństwa. Chodzi o Unię Demokratyczną i jej ciąg dalszy, czyli Unię Wolności. Tyle że UD i UW wyniośle wygłaszały wobec ludu monolog i dlatego zostały brutalnie ukarane wyrzuceniem przez wyborców na śmietnik dziejów.

Kaczyński takiego błędu nie popełnia. Prowadzi dialog z Polakami, ale zarazem nie ma wobec nich złudzeń, więc nie idealizuje społeczeństwa. I to jest być może jeden z głównych powodów, dla których ów zręczny, wytrawny gracz polityczny pozostaje niezatapialny. Tyle że to za mało, by „dobra zmiana” była czymś więcej niż nośnym sloganem.

Dlatego PiS musi wznieść się ponad populizm wpychający go w podobne koleiny, w które niegdyś wpychała PO strategia „ciepłej wody w kranie”. I wrócić do polskiego etosu inteligenckiego, by uczynić z niego istotny czynnik normotwórczy w polityce angażującej masy.

Bez tego może się okazać, że prawicy przyjdzie wyłącznie zarządzać emocjami zdemoralizowanej tłuszczy, czyniącej z haseł bogoojczyźnianych bezrefleksyjny użytek. A to droga donikąd.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą Polskiego Radio 24.

eprasa.pl 990798db5f

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ PILOTAŻOWE ODCINKI NA

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

15 SIERPNIA

„ŻYCIE ZA ŁAPÓWKĘ"
ODCINEK O SKAZANYCH
MŁODYCH ŻOŁNIERZACH KATOWANYCH PRZEZ UB

PARTNER CYKLU: PGE

eprasa.pl 990798db5f

Damian Cygan

Górale Hitlera

Wacława Krzeptowskiego powieszono za zdradę, ale większość mieszkańców Podhala dobrze zdała egzamin z polskości. Goralenvolk to wciąż przemilczany rozdział naszej historii

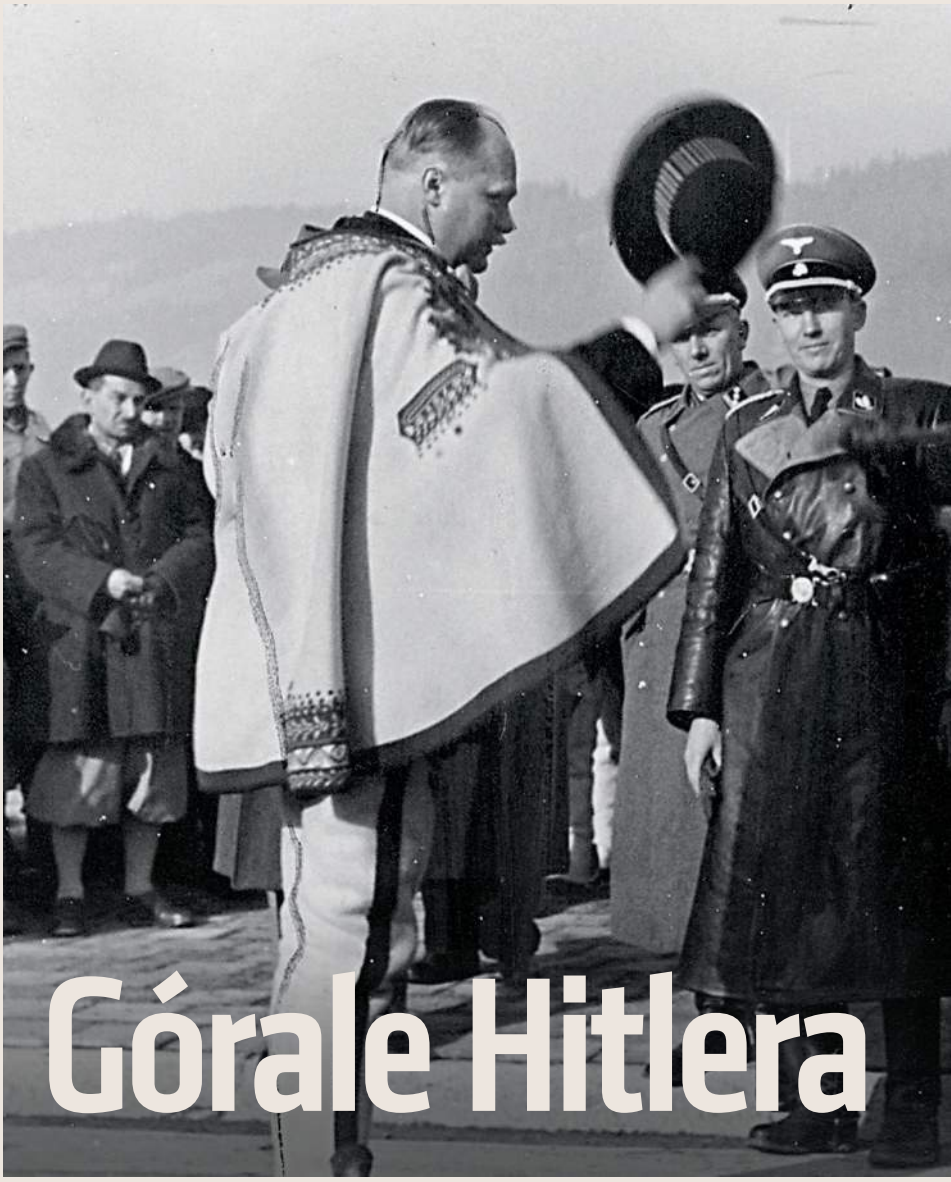

12 listopada 1939 r. do Zakopanego przyjechał generalny gubernator Hans Frank. „Meine lieben Kameraden, dwadzieścia lat jęczeliśmy pod polskim panowaniem, a teraz wracamy pod skrzydła wielkiego narodu niemieckiego" – witał namiestnika Hitlera Wacław Krzeptowski, późniejszy szef Komitetu Góralskiego. Za te słowa Krzeptowski zapłacił życiem. 20 stycznia 1945 r. przywódcę Goralenvolku schwytali AK-owcy z oddziału „Kurniawa". Wykonali wyrok Polskiego Państwa Podziemnego, wieszając Krzeptowskiego na smreku na Krzeptówkach. Dokładne miejsce pochówku „góralskiego Führera" nie jest znane do dziś.

SWASTYKA NA KRUPÓWKACH

Niemcy upodobali sobie Zakopane na długo przed wybuchem wojny. Czuli się tam tak dobrze, że później zaprosili do miasta stalinowskie NKWD, aby wymienić doświadczenia w zwalczaniu polskiego ruchu oporu. Nazistowscy ideolodzy z Instytutu Niemieckich Prac na Wschodzie (Ostinstytut) widzieli w góralach potomków Gotów. Przekonywali, że góralski śpiew, tzw. wyskanie, pochodzi tak naprawdę od jodłowania tyrolskich górali z Austrii. Cel był jasny: udowodnić, że pod Tatrami wcale nie mieszkają Polacy, i stworzyć tam Państwo Góralskie (Goralenland) – oczywiście pod kuratelą III Rzeszy.

Do propagandowej opowieści o historycznych powiązaniach górali z Germanami doskonale pasowała swastyka, na Podhalu nazywana krzyżykiem niespodzianym. Tyle że znak, który dla Europy stał się symbolem hitlerowskich zbrodni, pojawił się w Zakopanem dużo wcześniej niż żołnierze Hitlera. W latach 20. był oficjalną odznaką strzelców podhalańskich, a Mieczysław Karłowicz znaczył nim tatrzańskie szlaki. Krzyżyk niespodziany, wyryty w Kamieniu Karłowicza u podnóża Małego Kościelca, każdego roku mijają setki mniej lub bardziej świadomych turystów. Tablica wyjaśniająca jego prawdziwe znaczenie znajduje się w schronisku Murowaniec na Hali Gąsienicowej.

POLAK ALBO GÓRAL

Akcja germanizacyjna na Podhalu ruszyła w 1942 r. Działacze Goralenvolku jeździli po wsiach i namawiali do brania kenkart z literą G. Na wiecu w Rabce otoczony esesmanami Krzeptowski straszył, że kto jej nie weźmie, ten zostanie wywieziony. Reszcie obiecywał przywileje. W tym czasie w willi Palace przy ul. Chałubińskiego w Zakopanem funkcjonowała już owiana złą sławą katownia gestapo. Jedni brali więc góralskie papiery ze strachu, inni – uwiedzeni przez Krzeptowskiego – liczyli na lepsze traktowanie. Jeszcze inni mieli nadzieję, że mając kenkartę G, będą mogli spokojnie prowadzić działalność konspiracyjną, a Niemcy nie będą ich o nic podejrzewać.

Nie ma dokładnych danych o zasięgu akcji Goralenvolku. Historycy szacują, że kenkarty góralskie przyjęło 18–20 proc. ludności Podhala, czyli ok. 25–27 tys. na 150 tys. mieszkańców. Były miejscowości, w których kenkarty G brano niechętnie, np. w Rogoźniku i Łopusznej, niedaleko Nowego Targu. Przykładowo jednak w Szczawnicy przyjęło je ponad 90 proc. mieszkańców. W samym Zakopanem – 23 proc. Akcję z kenkartami poprzedził spis ludności sfałszowany w 1940 r. przez Henryka Szatkowskiego,

eprasa.pl 990798db5f

Wacław Krzeptowski, przewodniczący Komitetu Góralskiego, wita Hansa Franka w Zakopanem, listopad 1939 r. FOT. NAC

uważanego za „mózg" Goralenvolku, choć wcale góralem nie był, bo urodził się w Krakowie. Pod koniec wojny „Dzidek" uciekł razem z wycofującym się Wehrmachtem, wcześniej paląc wszystkie cenne dokumenty. Po wojnie zerwał wszelkie kontakty z rodziną. Często zmieniał miejsca pobytu. Podobno miał być w Austrii, później we Włoszech, a na końcu wylądować w Londynie. Władza ludowa zaocznie skazała go na karę śmierci, ale ślad po nim zaginął.

W 1934 r. w Zakopanem pojawił się Witalis Wieder, agent Abwehry. To on założył siatkę niemieckiego wywiadu i przygotowywał grunt pod późniejszą akcję Goralenvolku. Sporządził listę nazwisk ludzi, których można było pozyskać do współpracy zarówno w środowisku góralskim, jak i wśród tzw. ceprów. – Kiedy w 1939 r. Niemcy weszli do Zakopanego, mieli już dokładne rozeznanie, kogo można wciągnąć do Goralenvolku. Prawdopodobnie wtedy zwerbowano również mojego dziadka – mówi „Do Rzeczy" Wojciech Szatkowski, wnuk Henryka Szatkowskiego, pracownik Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Zastrzega, że dziadek mógł być szantażowany przez Niemców i ugiął się pod groźbą wywiezienia jego rodziny.

ESESMANI POD TATRAMI

Po dotkliwych porażkach na froncie wschodnim armia III Rzeszy próbowała szukać sposobów na poprawienie swojej sytuacji liczebnej. W 1942 r. pojawił się pomysł sformowania na Podhalu Legionu Góralskiego SS (Goralische Freiwilligen Waffen-SS Legion). Wspomagani przez Goralenvolk Niemcy obwiesili cały powiat nowotarski odezwami wzywającymi do obrony terytorium przed Sowietami. – To była całkowita kompromitacja Komitetu Góralskiego. Dwustu kilkudziesięciu górali zaproszono najpierw do hotelu Morskie Oko w Zakopanem. Tam ich spito gorzałką, a potem popędzono Krupówkami i ulicą Bahnhofstrasse (Kościuszki – przyp. red.) na dworzec kolejowy. Wsadzono ich półprzytomnych do pociągu i wywieziono do obozu SS w Trawnikach. Po drodze część wytrzeźwiała i uciekła. Na miejsce dotarła mniej więcej połowa. Tam ochotnicy pobili się z Ukraińcami i w końcu zostało ich tylko kilku – opowiada nam Wojciech Szatkowski. Nazwiska tych, których przyjęto do Waffen-SS, wymienia w swojej książce pt. „Goralenvolk. Historia zdrady".

Ilu górali czynnie kolaborowało z Niemcami? Według Szatkowskiego ponad 200. – Komitet Góralski miał swoje delegatury w podhalańskich wsiach. Od pięciu do dziesięciu członków Goralenvolku w każdej. Oni dostawali pieniądze na swoją działalność i prowadzili obszerną dokumentację. Żyło im się bardzo dobrze. Mieli dodatkowe przydziały żywności, konserw, serów i mleka. Po prostu opływali w dostatki, podczas gdy przeciętni górale zwyczajnie głodowali – tłumaczy. Jak dodaje, Wacław Krzeptowski i Henryk Szatkowski naprawdę wierzyli, że pójście na pełną współpracę z okupantem to jedyna droga, aby ocalić Podhale przed zniszczeniem. – To było bardzo naiwne myślenie. Jak się okazało, postawili na złą kartę – ocenia Szatkowski.

W kontrze do Goralenvolku stanęła Konfederacja Tatrzańska, konspiracyjna organizacja działająca na Podhalu od maja 1941 r. Za współpracę górali-patriotów z KT Niemcy dwa razy pacyfikowali Waksmund, rodzinną wieś Józefa Kurasia „Ognia". – Mimo istnienia Goralenvolku terror na Podhalu był straszny. W liczącym 12 tys. mieszkańców Zakopanem zginęło w czasie wojny ok. 25 proc. ludności. Taternicy, narciarze, ludzie porywani w łapankach. Bezpowrotnie zniknęła stąd także społeczność żydowska – podkreśla Wojciech Szatkowski. Jego zdaniem skala represji świadczy o tym, że kolaboracja Goralenvolku nie miała dla zwykłych górali żadnego znaczenia i przed niczym ich nie chroniła.

TESTAMENT GORALENFÜRSTA

W 1946 r. w Zakopanem odbył się pokazowy proces kierownictwa Goralenvolku. Zastępcę Krzeptowskiego, Józefa Cukra, nowa władza skazała na 15 lat więzienia. Inni działacze usłyszeli wyroki od trzech do pięciu lat. Jednak na ławie oskarżonych zabrakło najważniejszych postaci – tych, którzy zdradzili Polskę i odpowiadają za jeden z najtragiczniejszych epizodów w historii Podhala. Henryk Szatkowski opuścił Tatry jeszcze w trakcie wojny, a „góralskiego księcia" dopadli partyzanci. Po egzekucji znaleziono przy nim list. Napisał tak: „Ja niżej podpisany Wacław Krzeptowski urodzony 1897 r. dnia 24 czerwca w Kościeliskach przekazuję cały swój nieruchomy i ruchomy majątek uwidoczniony w księgach hipotecznych w Zakopanem na rzecz oddziału partyzanckiego Kurniawa grupy Chełm Armii Krajowej z własnej nieprzymuszonej woli, jako jedyne zadośćuczynienie dla narodu polskiego za błędy i winy popełnione przeze mnie wobec polskiej ludności Podhala w okresie okupacji niemieckiej od roku 1939 do 1945. Kościelisko, 20 stycznia 1945 r., 22:30".

Nie wszyscy Krzeptowscy mają jednak powody do wstydu. To Józefa Krzeptowskiego, stryjecznego brata Wacława, okrzyknięto „królem tatrzańskich kurierów". Trasę Zakopane – Budapeszt „Ujek" przeszedł 58 razy, przeprowadzając ludzi i przemycając meldunki oraz broń dla polskiego podziemia. Niemcy wyznaczyli za jego schwytanie wysoką nagrodę, ale Krzeptowski nigdy nie dał się złapać. Gdy pytano go, dlaczego tak się naraża, odpowiadał: „Żeby mi nikt nie pluł w twarz za nazwisko".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Stewardesy PRL

Rok 1979. Jan Paweł II przybył z pierwszą pielgrzymką do PRL. Zgodnie z tradycją przyleciał Alitalią, a do Rzymu wracał samolotem linii pasażerskich odwiedzanego kraju. Czyli LOT-em. Ceremonia pożegnalna odbyła się na warszawskim Okęciu. Papież długo machał ze schodów samolotu, żegnając się z rodakami. Scenę tę na żywo relacjonowały telewizje z całego świata.

Gdy Jan Paweł II wreszcie zdecydował się wejść do samolotu, stojąca przy drzwiach stewardesa Katarzyna Przewłocka niespodziewanie uklękła i pocałowała go w pierścień. Samolot wystartował, a na ziemi rozpętała się burza. Komuniści dostali szału.

Pracownica państwowego, komunistycznego przedsiębiorstwa okazała się wierzącą katoliczką! To była kompromitacja. Władze natychmiast kazały Przewłocką wylać z pracy, ale po namyśle wycofały tę decyzję. Oczywiście – aby uniknąć skandalu.

To jedna z setek kapitalnych anegdot, które znalazły się w książce Anny Sulińskiej „Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u". Każdy, kto pamięta tamte czasy, wie, jakim statusem cieszyły się stewardesy. PRL był odcięty od świata, zabiedzony, szary. A one codziennie latały za granicę! Do wspaniałego, kolorowego, zamożnego zachodniego świata.

Podziwiano je, zazdroszczono im. Było czego. Ciągłe wyjazdy na Zachód dawały bowiem fantastyczne możliwości zarobku. Stewardesy kupowały na lotniskach niedostępne w Polsce zachodnie produkty, które następnie sprzedawały z kolosalnym zyskiem w Warszawie lub w Moskwie. Kawę, pończochy, ubrania, markowe alkohole.

Dysponowały również nieograniczoną ilością soków, zachodnich napojów, szynek, serów i innych produktów spożywczych niewystępujących w sklepach PRL. Po każdym locie na pokładzie zostawała bowiem spora część przygotowanego dla pasażerów cateringu.

Anna Sulińska napisała znakomitą książkę, którą czyta się jednym tchem. Recenzję tę zacząłem od anegdoty i anegdotą skończę. Podczas jednego z lotów do pierwszej klasy ordynarnie wpychała się żona ministra PRL. Kiedy jeden z członków załogi zwrócił jej grzecznie uwagę, że ma bilet na drugą klasę, zaczęła wrzeszczeć:

– Ale czy pan wie, kim ja jestem?!

Wówczas on wziął mikrofon i powiedział:

– Proszę państwa, mamy problem. Na pokładzie jest pasażerka, która nie wie, kim jest. ©℗

★★★★★★
ANNA SULIŃSKA „WNIEBOWZIĘTE" WYDAWNICTWO CZARNE

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Legenda Małego Rycerza

Zreguły patrzymy na naszą historię poprzez pryzmat powieści Sienkiewicza czy obrazów Matejki, stąd optyka postrzegania wielu postaci odbiega od ich rzeczywistych losów. Tak stało się z Jerzym Wołodyjowskim (nie Michałem), pochodzącym ze spolonizowanej szlachty ukraińskiej. Rodzina dopiero dwa pokolenia przed jego urodzeniem przyjęła katolicyzm. Jerzy Wołodyjowski poświęcił się służbie wojskowej, a w 1662 r. ożenił się z zamożną Krystyną (a nie Basią) Jeziorkowską. Wybranka była jego rówieśnicą (miała wówczas 40 lat) i zdążyła już pochować trzech mężów. Nie była zalotnym „hajduczkiem", ale kobietą po przejściach. To dzięki jej finansom Jerzy wyekwipował oddział piechoty węgierskiej i uzyskał godność stolnika przemyskiego.

W walce wolał wykorzystywać broń palną, niż używać szabli

Gdy w 1672 r. wybuchła wojna polsko-turecka, Wołodyjowski zjawił się w Kamieńcu Podolskim będącym głównym celem armii sułtana. Twierdza była mocno zaniedbana i miała zbyt szczupłą załogę.

Oblężenie rozpoczęło się 18 sierpnia 1672 r., Wołodyjowski dokonywał cudów waleczności, prowadząc wycieczki na wroga i dodając otuchy obrońcom. W walce wolał jednak wykorzystywać broń palną, niż używać szabli – szermiercze przewagi Jerzego są fantazją Sienkiewicza. Nie odbyły się również ślubowania Wołodyjowskiego ani Ketlinga w kamienieckiej katedrze. Pierwowzór Ketlinga nazywał się Heyking, był majorem artylerii i pochodził z niemieckiej rodziny z Inflant. Wyznawał kalwinizm i jako protestant nie mógł ślubować w katolickiej świątyni. Wołodyjowski zresztą nie zamierzał ginąć w murach twierdzy i wcześniej wysłał żonę na Litwę, a małżonkowie dokonali wzajemnych zapisów majątkowych.

Po 10 dniach opór uznano za bezcelowy i na murach pojawiły się białe flagi. Podpisano honorową kapitulację, a Wołodyjowski udał się na Stary Zamek, aby dopilnować ewakuacji. Wtedy doszło do potężnej eksplozji – Heykin (możliwe, że przypadkowo) wysadził się w powietrze wraz z zapasami prochu. Cegły i kawałki murów posypały się daleko, wypaliły też naładowane armaty zamkowe. Trafiony w głowę Wołodyjowski zginął na miejscu.

Po śmierci męża Krystyna nie zamierzała marnować życia i wyszła za mąż po raz piąty! Jej wybrańcem został pisarz podolski Franciszek Dziewanowski – jedyny z mężów, który ją przeżył. Pani Dziewanowska zmarła cztery lata po upadku Kamieńca. ©℗

eprasa.pl 990798db5f

TYLKO U NAS!

ROZMOWA Z BOHATERKĄ POWSTANIA MARIĄ GUTOWSKĄ!

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA DO RZECZY

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Sławomir Koper – **Masakra w domu Polańskiego**
Maciej Rosalak – Jak karano homoseksualistów
Marek Gałęzowski – **Żydzi przeciw bolszewikom**
Grzegorz Wołk – Inwigilacja Macierewicza
Rafał A. Ziemkiewicz – Adolf Hitler superstar
Roger Moorhouse – **Zamach w Wilczym Szańcu**
Mikołaj Iwanow – Polska w planach Stalina

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 990798db5f

Druga szansa

Olivier Bault

Czy Front Narodowy wypełni próżnię na francuskiej prawicy? Ma na to pięć lat, zanim dostanie znów wyborczą szansę

Za pięć lat Front Narodowy będzie po mutacji i stanie się bardzo groźnym przeciwnikiem, jeśli nie będziemy dobrze rządzić" – stwierdził Emmanuel Macron tuż po wygranych wyborach prezydenckich w telewizji publicznej France 2. Na razie od czasu przegranych wyborów prezydenckich w maju i parlamentarnych w czerwcu francuski Front Narodowy stał się mało zauważalny. Dysponując tylko ośmioma posłami w Zgromadzeniu Narodowym, nie cieszy się przywilejami zarezerwowanymi dla grup parlamentarnych składających się z co najmniej 15 posłów. Marine Le Pen i pozostali posłowie Frontu zdają się na razie zajęci głównie wewnętrznymi partyjnymi sporami oraz uczeniem się pracy posła, gdyż dla wszystkich, z wyjątkiem jednej osoby, jest to pierwsza kadencja we francuskim parlamencie. Jednocześnie centroprawicowa partia Les Républicains (Republikanie, LR), po utworzeniu osobnej grupy przez zwolenników współpracy z partią prezydenta Emmanuela Macrona – La République En Marche (Republika w Drodze, LREM) – jest podzielona i liczy tylko 100 posłów w 577-osobowej niższej izbie francuskiego parlamentu. Podziały wewnętrzne LR i pokusa niektórych polityków centroprawicowych, aby przejść do zwycięskiego liberalno-lewicowego obozu prezydenckiego, mogą także skutkować utratą dużej części senatorów LR na rzecz LREM. Dzieje się tak, choć teoretycznie partia LREM nie powinna mieć żadnych szans we wrześniowych częściowych wyborach do Senatu. Senatorów wybierają bowiem radni na różnych szczeblach samorządowych, a nowo powstała partia LREM nie ma jeszcze swoich przedsta-

eprasa.pl 990798db5f

Po przegranych wyborach Front Narodowy Marine Le Pen stał się mało zauważalny

FOT. THOMAS PADILLA/MAXPPP/FORUM

wicieli w samorządach. A zatem manewr Macrona, który mianował premiera i kilku ministrów z LR, okazał się bardzo skuteczny: francuska prawica jest mocno podzielona, mimo że jeszcze do stycznia 2017 r. wydawało się, iż walka o prezydenturę i parlament będzie się rozgrywała głównie między Republikanami a Frontem Narodowym.

UPADEK MACRONA

Skutkiem tego wywodzący się z Partii Socjalistycznej liberalny lewicowiec Emmanuel Macron dysponuje dzisiaj wygodną większością 314 posłów z własnej partii, 47 posłami sojuszniczej partii MoDem centrysty François Bayrou oraz ok. 30 przychylnymi „zdrajcami" z centroprawicy i niedługo może mieć za sobą także największą grupę senatorów.

To nie znaczy jednak, że Macron może spokojnie czekać na swoją reelekcję w 2022 r. Po pierwsze, z powodu rekordowej absencji podczas wyborów jego większość parlamentarna nie jest wynikiem szerokiego poparcia Francuzów. W stosunku do ogólnej liczby uprawnionych do głosowania w pierwszej turze wyborów parlamentarnych zwycięska partia LREM dostała tylko 13,43 proc. głosów (Republikanie – 7,51 proc., Front Narodowy – 6,29 proc., skrajna lewica Mélenchona – 5,25 proc., Partia Socjalistyczna – 3,54 proc.). Dla porównania w 2012 r. kandydaci lewicy zjednoczonej wokół Partii Socjalistycznej i nowego prezydenta François Hollande'a dostali w pierwszej turze wyborów parlamentarnych 22,8 proc. głosów w stosunku do wszystkich uprawnionych. Po drugie, już półtora miesiąca po rzekomo spektakularnej wygranej partii Macrona sam prezydent i jego premier Édouard Philippe biją rekordy spadku popularności ustanowione przez swoich poprzedników. Według sondaży przeprowadzonych w pierwszych dniach sierpnia już tylko 36 proc. wyborców miało pozytywne zdanie o nowym prezydencie, a 49 proc. miało zdanie negatywne. Jeszcze 21–22 lipca procent niezadowolonych wynosił „tylko" 42 proc., a to i tak było o 15 punktów procentowych więcej niż miesiąc wcześniej, zaraz po wyborach. A Macron jeszcze nawet nie zaczął wprowadzać zapowiedzianej reformy rynku pracy!

Tak szybki spadek popularności można tłumaczyć ciągłymi sprzecznościami w dyskursie Macrona, które już trudno ukrywać, ale także jego aroganckim, infantylnym wręcz zachowaniem, które doprowadziło do złożenia dymisji przez cenionego w armii szefa sztabu generalnego – gen. De Villiersa. Inne czynniki to obraz niekompetencji, amatorstwa i arogancji w szeregach posłów partii prezydenta oraz dymisja kilku ministrów rządu Philippe'a z powodu podejrzeń o korupcję i nepotyzm, w tym dotyczących także ministra sprawiedliwości François Bayrou, odpowiedzialnego za opracowanie głośnej ustawy o moralizacji polityki!

Front Narodowy może zatem rzeczywiście dostać drugą szansę za pięć lat, a w międzyczasie stać się znowu partią cieszącą się największym poparciem, jak to było w ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 r. i w wyborach regionalnych w 2015 r. Po części będzie to zależało od polityki prowadzonej przez Emmanuela Macrona i jego ugrupowanie, ale w dużej mierze będzie to skutek ewentualnych zmian w samym Froncie Narodowym.

POTRZEBNY SOJUSZ

Większość alternatywnych mediów przychylnych FN, a także wszyscy przedstawiciele Frontu, z którymi rozmawiałem w ostatnim czasie, są zgodni: porażka Marine Le Pen w wyborach prezydenckich była porażką linii zasugerowanej przez wiceprzewodniczącego FN i najbliższego doradcy liderki Frontu – Floriana Philippota. Jest to linia suwerennościowa, zakładająca powrót do franka i wyjście z Unii Europejskiej, oraz linia antyliberalna, lewicowa w sensie gospodarczym. Kwestie imigracji i obrony tożsamości narodowej oraz demokracji przed islamizacją, a także dawny względny konserwatyzm Frontu zostały odsunięte na drugi plan i poddane w pewnym stopniu rygorom poprawności politycznej. Nazajutrz po debacie telewizyjnej między Marine Le Pen a Emmanuelem Macronem przed drugą turą wyborów prezydenckich asystent parlamentarny znanego europosła FN powiedział mi, że wszyscy we Froncie Narodowym są porażeni stylem oraz niskim poziomem merytorycznym wypowiedzi Marine Le Pen i są przekonani o przegranej. Faktem jest, że niższy od oczekiwań wynik szefowej Frontu w pierwszej i drugiej turze wyborów prezydenckich oraz sposób prowadzenia kampanii przed wyborami parlamentarnymi musiały zdemobilizować elektorat FN: na 7 678 491 wyborców, którzy zagłosowali na Marine Le Pen w pierwszej turze wyborów prezydenckich 23 kwietnia, co dało jej 21,3 proc. głosów, tylko 2 990 592 poszło zagłosować na kandydatów Frontu Narodowego w pierwszej turze wyborów parlamentarnych 11 czerwca, co przy rekordowo wysokiej absencji wyborczej dało im razem tylko 13,2 proc. głosów. To jest mniej niż w 2012 r. (13,6 proc.) i w 1997 r. (14,9 proc.).

A zatem nie dość, że nacisk położony na wyjście ze strefy euro i – prawdopodobnie – także z Unii Europejskiej uniemożliwia ewentualny sojusz z prawicowym skrzydłem Republikanów, to jeszcze nie przyciąga własnych wyborców i od 20 lat nie pozwala Frontowi

eprasa.pl 990798db5f

Narodowemu poprawić swojego wyniku wyborczego ani o jotę! Zwracają na to uwagę komentatorzy związani zarówno z FN, jak i LR, zwłaszcza że na polu walki z imigracją i islamizacją oraz w zakresie kontroli granic i przywrócenia rządów prawa na całym terytorium Francji programy Marine Le Pen i kandydata LR François Fillona nie różniły się zasadniczo. A jak pokazał kolejny sondaż opublikowany w lewicowym dzienniku „Le Monde" na początku lipca, 65 proc. Francuzów (w tym 95 proc. zwolenników FN i 87 proc. zwolenników LR) uważa, że „jest za dużo obcokrajowców we Francji", 60 proc. nie czuje się już we Francji jak u siebie, 74 proc. jest zdania, iż „islam próbuje narzucać innym pewien styl życia", a 46 proc. (5 proc. więcej niż rok temu) zauważa, że „islam zawiera w sobie pierwiastki przemocy i braku tolerancji".

Widać zatem, że w tej sferze zjednoczona prawica mogłaby bez problemu wygrać z partią Macrona tak jak i z całą lewicą. Jednakże wszystkie sondaże pokazują, że znaczna większość Francuzów nie chce powrotu do narodowej waluty. I tak marcowy sondaż opublikowany w „Le Figaro" pokazywał, że choć 67 proc. zwolenników FN chce odejść od euro, za takim rozwiązaniem opowiada się tylko 28 proc. ogółu Francuzów. Trudno zatem wygrać wybory, czyniąc tę kwestię centralną osią programu, i tylko zmiana linii Frontu Narodowego w tej sferze pozwoli w przyszłości zwiększyć elektorat oraz zawierać sojusze z centroprawicą (lub jej bardziej konserwatywnym skrzydłem), tak jak się to dzieje obecnie we Włoszech z Ligą Północną, z narodowcami i partią Forza Italia byłego premiera Silvia Berlusconiego, będącymi w opozycji.

Czy tak się stanie we Francji, trudno na razie powiedzieć. Po przegranej Frontu Narodowego pojawiło się sporo konfliktowych wypowiedzi z obu stron. Jeszcze przed wyborami parlamentarnymi Florian Philippot utworzył bez zapowiedzi własną frakcję Les Patriotes (Patrioci), choć takie wewnątrzpartyjne frakcje nie były do tej pory tolerowane. Inna przedstawicielka lewicowego skrzydła Frontu Narodowego, europosłanka Sophie Montel, tuż po przegranych wyborach parlamentarnych stwierdziła, że należy złagodzić podejście do imigracji, żeby nie odstraszać wyborców. Gdy podnosiły się z kolei głosy kwestionujące postulat odejścia od euro, Philippot zagroził, że opuści FN, jeśli powrót do franka nie będzie już częścią programu. Na tę i inne wypowiedzi medialne swojego głównego doradcy Marine Le Pen zareagowała na początku lipca, oskarżając go o brak osobistego zaangażowania w minionej kampanii w wyborach parlamentarnych.

ZMIANA LE PEN

Zaraz po przegranych wyborach Marine Le Pen obiecała gruntowe zmiany w partii. Pierwsze zebranie ok. 40 liderów Frontu Narodowego odbyło się w dniach 21 i 22 lipca w siedzibie partii w Nanterre. Niewiele na razie wiadomo, gdyż na lipcowym spotkaniu określone zostały tylko bardzo wstępne kierunki dalszej strategii. A więc na razie wiemy tylko tyle, że odejście od wspólnej waluty europejskiej jest nadal elementem programu, ale mogłoby nastąpić dopiero w końcowej fazie ewentualnej pięcioletniej prezydentury, i to po referendum. Jak widać, chodziło głównie o to, aby nie doprowadzić do rozłamu, a ostateczne zmiany będą zależały od wyników wrześniowej konsultacji i od obrad XVI kongresu partii w przyszłym roku.

Wielu działaczy zastanawia się, czy nie powinno się zmienić przewodniczącego partii przed kolejnymi wyborami

Tymczasem wielu działaczy zastanawia się, czy nie powinno się także zmienić przewodniczącego partii przed kolejnymi wyborami. Niektórzy mają nadzieję, że młoda siostrzenica Marine Le Pen, Marion Maréchal-Le Pen, która zapowiedziała czasowe odejście od polityki, szybko do niej powróci. Mimo że była najmłodszym posłem w historii Republiki Francuskiej (miała 22 lata, gdy została wybrana w 2012 r.), Marion Maréchal-Le Pen, która jest praktykującą katoliczką, zdążyła na przestrzeni pięciu lat wyrosnąć na niekwestionowaną liderkę przedstawicieli konserwatywnego skrzydła partii.

W momencie, gdy większość diagnoz postawionych przez partię Jeana-Marie Le Pena w latach 80. i 90. znajduje dziś potwierdzenie w faktach, konserwatyści z tego ugrupowania chcieliby, aby Front Narodowy stał się znowu partią liberalno-konserwatywną, która podejmie jednoznacznie walkę z imigracją i islamizacją. Jeśli tak się nie stanie, to obawiają się, że Front będzie tylko antyimigrancką wersją partii lewicowego populisty Mélanchona, z którym Philippot chciałby właśnie dzisiaj rozmawiać. Jego zdaniem należy bowiem zjednoczyć prawicowych i lewicowych patriotów. Będący zwolennikiem aborcji i homomałżeństw Philippot uważa się za lidera „nowoczesnego" skrzydła FN. Natomiast wśród zwolenników FN młoda konserwatystka Marion Maréchal-Le Pen cieszy się dużo większym poparciem. Już w styczniu Marine Le Pen powinno się było zapalić czerwone światełko, gdy sondaż opublikowany przez centroprawicowy dziennik „Le Figaro" pokazywał, że 52 proc. sympatyków Frontu czuje się najbliżej przekonań katoliczki Marion Maréchal-Le Pen, a tylko 29 proc. utożsamia się z poglądami wiceprzewodniczącego i najbliższego doradcy przewodniczącej Floriana Philippota.

Podobnie jak w Polsce, wartości prawicowe cieszą się największą popularnością wśród młodych: w kategorii wiekowej 18–24 lata (wśród której Front Narodowy ma największe poparcie) przewaga Marion Maréchal-Le Pen nad Philippotem wynosi nawet 66 do 8 proc. Ponoć odejście młodej Marion przed wyborami parlamentarnymi było motywowane obawami o to, że będzie osamotniona w przyszłej grupie posłów FN wypromowanych przez Philippota, ponieważ to on miał najwięcej do powiedzenia w obsadzaniu okręgów wyborczych. Żaden z pupilków Philippota nie wygrał jednak w swoim okręgu. Jak ostrzegał już w styczniu na łamach portalu Boulevard Voltaire znany publicysta alternatywnej prawicy Jean-Yves Le Gallou, „nowoczesność" geja Philippota, wywodząca się z rewolucji obyczajowej z 1968 r., ma już prawie 50 lat!

Jeśli Front Narodowy nie odwróci się w najbliższych miesiącach od linii obranej w 2011 r. przez Marine Le Pen i Floriana Philippota, to jest wysoce prawdopodobne, że w obliczu liberalno-lewicowej, proimigranckiej polityki Emmanuela Macrona ktoś inny wypełni próżnię na francuskiej prawicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

FOT. FOTOLIA

PRZYWILEJ DLA KOBIET TO DYSKRYMINACJA

Unia Europejska niczego tak bardzo nie strzeże jak równego traktowania – i nie ma zmiłuj, od tej zasady nie odstąpi nawet wtedy, gdyby rzekome „nierówne traktowanie" miało oznaczać dla kogoś coś lepszego niż „równe". Najlepszym dowodem jest reakcja Komisji Europejskiej na reformę emerytalną w Polsce. Bruksela już straszy nas możliwością wszczęcia procedur dotyczących naruszenia prawa (a dokładniej unijnej dyrektywy z 1978 r. dotyczącej wprowadzania w życie zasady równego traktowania kobiet i mężczyzn). Polska obniżyła wiek emerytalny, ale dodatkowo go z powrotem zróżnicowała. Od jesieni kobiety będą mogły przejść na emeryturę w wieku 60 lat, a mężczyźni – 65. Brukselscy urzędnicy uważają, że to nierówne traktowanie i że kobiety powinny pracować tyle samo co mężczyźni. Nie wiadomo, co polskie kobiety sądzą o takiej opiece. Jeszcze nie wyszły na żaden marsz w tej sprawie.

STRAŻACKI BIZNES PO WŁOSKU

Piętnastu strażaków z Sycylii jest podejrzewanych o celowe podpalenia oraz wszczynanie fałszywych alarmów, żeby wyłudzić pieniądze na akcje ratownicze. Mózgiem operacji miał być dowódca ochotników z Ragusy, który został już ukarany aresztem domowym. Wszystko wyszło na jaw, bo feralna jednostka straży była przez ostatnie lata dużo częściej wzywana do pożarów niż inne. Kiedy strażacy interweniowali średnio np. 40 razy w określonym czasie, ci z Ragusy mieli średnio 120 interwencji. Włoscy strażacy ochotnicy za udział w akcjach otrzymują 10 euro za każdą godzinę poświęconą ratowaniu życia i dobytku ludzi.

BEKONOWY FANATYZM?

Jak podały amerykańskie media, muzułmańska organizacja z Alabamy domaga się śledztwa po tym, jak jedna z rodzin wyznających islam stwierdziła, że w McDonaldzie celowo podawano im do jedzenia boczek. Rodzina ta zamówiła 14 kanapek McChicken i w każdej z nich jakoby znalazła plaster boczku, choć powinny składać się jedynie z kurczaka, bułki i warzyw polanych majonezem. Przedstawiciel muzułmańskiej organizacji z tego stanu jest przekonany, że był to „umyślny akt religijno-etnicznego fanatyzmu". Przedstawiciele baru zapewniają jednak, że nie było to „zamierzone działanie pracowników".

CO WOLNO RZĄDOWI, TO NIE FARMEROWI

Tysiące migrantów we Francji zamieniły okolice Calais w prawdziwe piekło i wiedzą o tym najlepiej kierowcy ciężarówek, którzy muszą już nie tylko uważać na to, żeby nie zabrać niechcianych pasażerów pod plandeką, lecz także zatroszczyć się o własne życie i zdrowie. Władze Francji problemu nie rozwiązały do dziś. Za to francuski sąd ukarał czterema miesiącami więzienia (w zawieszeniu) farmera, który próbował pomóc imigrantom i setki z nich przetransportował z okolic granicy z Włochami do własnego gospodarstwa, gdzie stworzył im prowizoryczny obóz w nieużywanym budynku kolejowym.

LODY, KTÓRE SIĘ NIE TOPIĄ

Wydawałoby się, że istotą chłodnego deseru, jakim są lody, jest to, iż się topią. Japończycy rzecz widzą jednak inaczej i opracowali lody, które nie rozpuszczą się i wytrzymują nawet trzy godziny w pokojowej temperaturze. Na pomysł wpadli przypadkowo, eksperymentując z polifenolem wyekstrahowanym z truskawek. Naukowcy chcieli pomóc farmerom, których pola zostały zniszczone podczas trzęsienia ziemi, a pomogli cukiernikom. Nietopiące się lody sprzedawane są na terenie całego kraju. Dla rodziców lepiej – dzieci nie muszą się spieszyć, a i plam na ubraniach pewnie mniej. Tylko czy to jeszcze ta sama przyjemność? ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl 990798db5f

Czy Lenin zamieni się w Czyngis-chana?

Pierwotny szamanizm Buriatów jest dziś bardziej atrakcją turystyczną niż żywą wiarą. Współcześni Buriaci są zwykle buddystami FOT. VLADIMIR BAIKALSKY/TASS/FORUM

Adam Hlebowicz z Buriacji

Ostatnie lata, mimo niekorzystnych zmian centralizacyjnych w polityce wewnętrznej Rosji, przyniosły umocnienie kultury buriackiej

Spot w telewizji. Starszy wiekiem Buriat zagubił się w dużym mieście. Różni ludzie chcą mu pomóc, ale senior nie zna rosyjskiego. Wreszcie odzywa się do niego młody Rosjanin. Po buriacku. Ratuje starszynę z opresji. Drugi klip. Młody Buriat przyprowadza do domu dziewczynę. To Rosjanka. Rodzina, babcia, rodzice, rodzeństwo chłopaka przyglądają się jej z nieufnością, milczą. Dziewczyna odzywa się do nich pierwsza, swobodnie mówi po buriacku. Lody zostają przełamane. W ostatnim ujęciu babcia Buriatka z uśmiechem rozmawia z wybranką serca jej wnuka. Oczywiście w języku buriackim.

Tę kampanię telewizyjną sfinansował zamożny biznesmen buriacki. Miała jasny przekaz – warto znać język

eprasa.pl 990798db5f

autochtonów tej ziemi. W szkołach na terenie Buriacji przez kilka lat języka buriackiego uczą się wszyscy uczniowie. Ci ze skośnymi oczami, Słowianie, każdy uczeń. Oficjalnymi językami autonomicznej republiki Buriacji są rosyjski i buriacki. Jednak zdecydowanie dominują słowiańskie. To i tak lepsza sytuacja niż w sąsiednich obwodach, gdzie rdzenni Buriaci rzadko kiedy znają swój narodowy język.

PRZED BAJKAŁEM I ZA NIM

Buriaci to jeden z najliczniejszych rdzennych narodów współczesnej Syberii. Z liczebnością ok. 460 tys. osób są tuż za Jakutami, a przed Tuwińcami, Chakasami, Ewenkami i innymi mniejszymi narodami. Mieszkają w autonomicznej republice Buriacji, w obwodach rosyjskich po obu stronach jeziora Bajkał, ponadto w Mongolii i w północno-wschodnich Chinach. Wszędzie są mniejszością, w samej Buriacji stanowią ok. 30 proc. populacji. Największym problemem jest utrata języka, a zatem i tożsamości narodowej, zwłaszcza wśród Buriatów mieszkających w rosyjskich obwodach. Tam zresztą, w latach 2006–2008, dwa autonomiczne dotąd okręgi, Agiński i Ust-Ordyński, w wyniku przeprowadzonego referendum wśród miejscowej ludności utraciły autonomiczność i zostały przyłączone odpowiednio do Kraju Zabajkalskiego i Obwodu Irkuckiego.

Jednak zdanie buriackie w Buriacji ma swoje znaczenie. Przykładowo Ułan Ude jest jedynym dużym miastem syberyjskim, gdzie nie ma pomnika ku czci kozactwa lub kozackiego zdobywcy Sybiru – Jermaka. Chociaż władza rosyjska na Syberii jest stosunkowo młoda, to Rosjanie, gdzie tylko mogą, podkreślają znaczenie tego podboju, zazwyczaj skutecznie pomijając zasługi ludów autochtonicznych. W Ułan Ude jest inaczej, choć przecież i tu Buriaci są w mniejszości.

Bajkał to największa duma Buriatów, ich „święte morze", a zarazem najbardziej rozpoznawalny symbol. Wykorzystywany w ikonografii, w licznych suwenirach, przede wszystkim dający duże możliwości zarabiania pieniędzy. Największy rezerwuar słodkiej wody na ziemi przez lata był przedstawiany jako wzór czystości, co w dużej mierze zawdzięczał niewielkim skorupiakom o nazwie epischura, niezwykle skutecznie filtrującym brudy jeziora pochodzące z rozkładu materii organicznej. Ten idylliczny obraz zmienił się w ostatnich latach. W wodach Bajkału pokazały się nieznane dotąd glony, w tym skrętnice. W mediach pojawiło się sporo zdjęć z zielonkawą zawiesiną na bajkalskiej tafli wodnej, obrazek dotąd nieznany. Problemem mogą być zanieczyszczenia pochodzące ze statków, z ośrodków turystycznych, a nawet licznie koczujących na wybrzeżu indywidualnych turystów, nijak nieprzestrzegających żadnych rygorów. Trudno określić, czy zanieczyszczenie Bajkału wpływa na spadek liczebności omula, endemicznej i bardzo smacznej ryby, której zaczyna brakować w jeziorze. Mniejsza liczba ryb to wzrost ich cen, a zarazem poważne straty dla rynku.

Bajkał to największa duma Buriatów, ich „święte morze", a zarazem najbardziej rozpoznawalny symbol

RAP W STEPIE

Festiwal Voice of Nomads odbywa się w dolinie acagackiej po raz dziewiąty. W tym roku wystąpił znany nowosybirski zespół rockowy Kalinow Most, był ukraiński Sunsay z dynamicznym wokalistą Andriejem Zaporożcem, obecny był także najniższy rockowy głos w świecie, czyli Yat-Kha z Tuwy, ale przede wszystkim rdzenne zespoły i wykonawcy z Buriacji. To rapujący po buriacku Chatchur Zu, to Badma Khanda i niezwykła, obdarzona krystalicznie czystym głosem wokalistka Namgar, łącząca tradycje muzyczne południowej Syberii, Mongolii i Buriacji. Festiwal odbywa się pod hasłem: „Muzyka, wolność, miłość". To niezwykłe spotkanie muzyczne, gdzie rock w różnych odsłonach nie tylko jest oryginalny, lecz także stoi na bardzo wysokim poziomie.

Acagat znajduje się 50 km od stolicy Buriacji Ułan Ude. Za 100 zł, czyli 1,5 tys. rubli, można tu dojechać taksówką. Scena muzyczna jest usytuowana pośrodku doliny, wystarczy zatem wdrapać się na jedno z okolicznych wzgórz, żeby mieć doskonałą miejscówkę. Można wówczas podziwiać zachód słońca nad stepem, a także słuchać dobrze nagłośnionych koncertów. Wśród publiczności zdecydowanie dominują autochtoni. Im bardziej zapada mrok, tym step mocniej pachnie. Zioła, a nade wszystko właśnie kwitnący czabrec, tworzą jedyną w swoim rodzaju aurę wokół artystycznego wydarzenia.

Ostatnie lata, mimo niekorzystnych zmian centralizacyjnych w polityce wewnętrznej Rosji, przyniosły umocnienie kultury buriackiej. W stolicy działają teatr buriacki, telewizja i radio. Coraz więcej utworów literackich powstaje w tym języku. Jak uważa dr Robert Wyszyński z UW, od wielu lat badający i opisujący etniczność Buriatów, tożsamość buriacka w ostatnich latach się umacnia. – To jest zupełnie inna perspektywa niż np. w krajach bałtyckich, które miały swoją tradycję państwową – podkreśla Wyszyński. – Nie mając własnego państwa, Buriaci mają dzisiaj poczucie własnej, odrębnej tożsamości, starej kultury i dumy z tego, kim są. Cała inteligencja wywodzi się z ludu, tu z kolei bardzo silne jest poczucie rodowe, co najmniej siedem pokoleń wstecz, to tworzy podstawy silnego narodu – dodaje.

SIEDZĄCY LAMA

Bardzo ważnym rysem tożsamości buriackiej jest religia. Pierwotny szamanizm jest dzisiaj bardziej turystyczną atrakcją przyciągającą nad Bajkał niż żywą wiarą. Podstawą religijną współczesnych Buriatów jest buddyzm, niejednokrotnie wsparty tradycyjnym szamanizmem. W okresie władzy sowieckiej, zwłaszcza od 1929 r., wyznawcy religii buddyjskiej, podobnie jak wierni innych Kościołów i wyznań w Sowietach, byli bezwzględnie prześladowani. Spośród 44 dacanów, klasztorów filozoficzno-medycznych, istniejących jeszcze w latach 20., do 1937 r. nie przetrwał żaden. II wojna światowa nieco zmieniła tę sytuację. Buriaci mocno zasłużyli się w walce z hitlerowcami i od 1945 r. buddyzm ponownie był oficjalnie wyznawany w ZSRS. W tamtym roku, za zgodą Stalina, powstał dacan w Iwołgińsku. Dzisiaj to główne miejsce lamaizmu na terenie Rosji, ciągle obecnie powiększane i rozbudowywane. Co ciekawe, jest tu także stadion, gdzie pod kuratelą obecnego lamy uprawia się tradycyjne wśród miejscowych dyscypliny sportowe: wyścigi konne, strzelanie z łuku i zapasy.

Do popularności tego miejsca, gdzie coraz częściej przyjeżdżają także pielgrzymi z niedalekiej Mongolii, przyczyniła się postać Chambo Lamy Itigełowa.

eprasa.pl 990798db5f

Dacan w Iwołgińsku powstał w 1945 r., gdy buddyzm zaczął być religią oficjalnie wyznawaną w ZSRS FOT. CATRIONA BASS/ALAMY/BEGW

Ten duchowy przywódca wschodniosyberyjskich buddystów w 1927 r. zaprosił swych uczniów do wspólnej modlitwy. Wyznał im wtedy, żeby po śmierci, która właśnie nadchodzi, pochowano go w cedrowej skrzyni, w pozycji siedzącej, i wydobyto z grobu po 75 latach, kiedy dla ich religii nastanie już czas wolności. W czasie medytacji popadł w stan nirwany i tak zmarł. Pochowany został faktycznie w pozycji lotosu, a miejsce pochówku było okryte ścisłą tajemnicą strzeżoną przez kilka najbardziej zaufanych osób. Po 75 latach, we wrześniu 2002 r., lama został ekshumowany. Ku zaskoczeniu naukowców zachował pozycję siedzącą z chwili śmierci, a ciało jego nie uległo rozkładowi. Umieszczone w specjalnym pałacu, w szklanej klatce, przyciąga dziś tłumy ludzi, nie tylko wyznawców buddyzmu, lecz także ciekawskich z całego świata.

CHINY CORAZ BLIŻEJ

Chińskich turystów można spotkać w każdym miejscu Syberii. Są dość hałaśliwi i bezceremonialni, jednak miejscowym umożliwiają świetny zarobek. Już dziś znajomość języka chińskiego mocno procentuje zarówno w kontaktach turystycznych, jak i w biznesie. Jednak najistotniejsze są chińskie inwestycje w tej części Azji. Na początku czerwca 2015 r. władze Kraju Zabajkalskiego wydzierżawiły chińskiej spółce HuaeSinban Company 115 tys. ha ziemi pod uprawę i hodowlę na okres 49 lat. To głównie nieużytki i pastwiska rozciągające się przy rosyjskiej granicy z Mongolią oraz Chinami. Jednak informacje na ten temat wywołały burzę w rosyjskich mediach – pojawiły się oskarżenia o wyprzedawanie ojczyzny, o pełzającej ekspansji Chin, a także zarzuty prowadzenia przez Chińczyków rabunkowej gospodarki skutkującej degradacją środowiska. Oburzenie to jedno, a trzeźwa realna polityka to drugie. Realiści zresztą konstatują: w Chinach zarobki są znacznie wyższe, środowisko biznesowe przyjaźniejsze, a gospodarka kwitnąca.

Doktor Jewgienij Siemionow z Uniwersytetu w Ułan Ude zauważa, że Chińczycy traktują ziemie wschodniej Syberii jako swoje dziedzictwo. – Widać ich w handlu, widać w biznesie. Jeszcze przed 20 laty widok Chińczyka w syberyjskim mieście należał do rzadkości. Dzisiaj są stałym elementem krajobrazu syberyjskich miast, choć nie tworzą znanych na całym świecie Chinatown – mówi.

Jak głosi popularny dowcip, w stolicy Buriacji Ułan Ude, gdzie na centralnym placu znajduje się monumentalna rzeźba głowy Lenina, z uwagi na mongoloidalne cechy przywódcy rewolucji bolszewickiej w przyszłości nie będzie problemu z przekształceniem jej w głowę Czyngis-chana, średniowiecznego wodza Mongołów.

„NADZIEJA" POLAKÓW

Narodowo-Kulturalna Autonomia Polaków „Nadzieja" w Ułan Ude to jedno z prężniej działających polskich stowarzyszeń na terenie Federacji Rosyjskiej. Sobotnia szkoła języka polskiego przyciąga coraz więcej chętnych, a wśród uczących się mowy Mickiewicza nie brak także rdzennych Buriatów. Giennadij Iwanow, Buriat, mąż długoletniej liderki „Nadziei" Marii Iwanowny, dobrze mówi po polsku i – jak sam z dumą podkreśla – ze strony rodziny matki ma polskie korzenie. W 2015 r. ukończył Polską Społeczną Szkołę Języka i Kultury z jednym z dwóch najlepszych rezultatów.

Ważnym miejscem kształtowania ducha tutejszych Polaków jest parafia katolicka pw. Najświętszego Serca Jezusa. Parafią kieruje ks. Adam Romaniuk, rodem z Siedlec, budowniczy tutejszego kościoła. Ten obiekt sakralny powstał w błyskawicznym tempie, bo miejscowe władze postawiły warunek, przekazując działkę pod budowę, że świątynia musi powstać w ciągu trzech lat. I tak się właśnie stało, co jest dużym sukcesem zarówno proboszcza, jak i jego skromnej, bo około stuosobowej wspólnoty parafialnej.

Ważną tradycją tutejszej społeczności Polaków jest dbanie o miejsca pamięci narodowej. To działaczom z Ułan Ude udało się postawić w miejscowości Miszycha pomnik ku czci powstańców zabajkalskich z 1866 r. Był to mało znany zryw powstańczy Polaków. Tym godniejszy zauważenia, że trud walki z caratem podjęli polscy zesłańcy, chcący wyrwać się z niewoli i przedostać do pobliskich Chin. Plan się nie powiódł, kilku powstańców padło w walce, inni, przywódcy zrywu, zostali rozstrzelani w Irkucku. Co roku, w lipcu, pod okazałym krzyżem w miejscowości jest odprawiana msza św. w intencji poległych. Ten pomnik to jedno z nielicznych upamiętnień polskich na rozległych obszarach syberyjskich. W 150. rocznicę tego wydarzenia odbyła się nawet specjalna ekspedycja z udziałem kilku badaczy i historyków, która przeszła szlak zabajkalskich powstańców – od Sliudanki przez Szczyt Czerskiego, Kułtuk i Przylądek Szamanka.

JAKIE NASTĘPNE ŻYCIE?

Ponieważ Buriaci, zgodnie z zasadami buddyzmu, wierzą w reinkarnację, wierzą także, że to ich następne życie będzie lepsze od obecnego. Także to polityczne, narodowe, kulturowe. Zasada stawiania małych kroków napędza myślenie wielu liderów ruchu narodowego zgodnie ze starym buriackim porzekadłem: „Aby koń był silny, należy go karmić, aby człowiek był silny, należy go uczyć".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

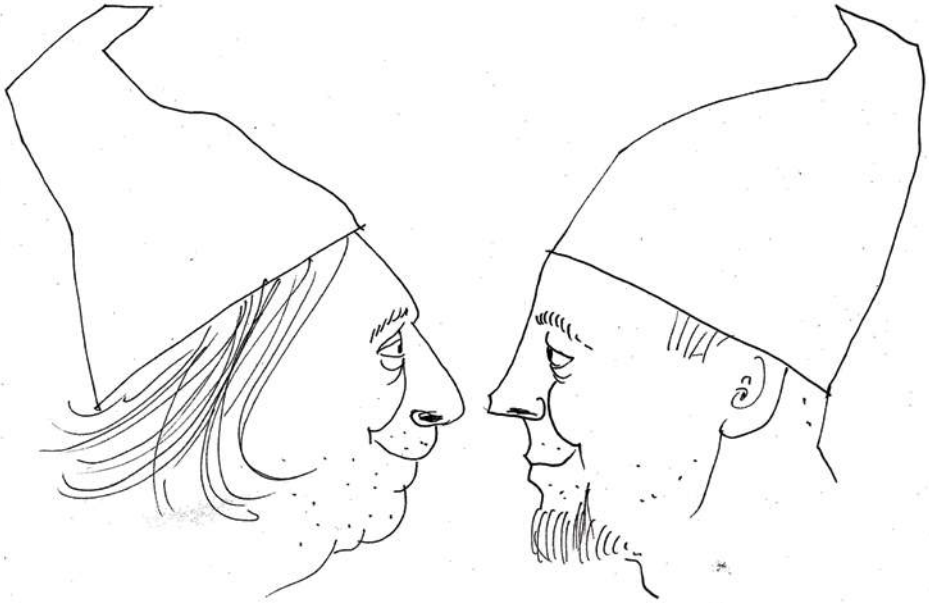

major krysztopa

środa 21:00

Nowy program w Telewizji Republika!
Program poprowadzą **Waldemar Fydrych,** przywódca legendarnej "Pomarańczowej Alternatywy" i rysownik **Cezary Krysztopa**.
Podczas rozmowy z widzami Cezary Krysztopa będzie "na żywo" tworzył rysunek - komentarz do programu i najważniejszych wydarzeń polityczno-społecznych.

republika

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line ▶ **www.telewizjarepublika.pl**

eprasa.pl 990798db5f

Szewach Weiss – mój rodak

Piotr Zychowicz

Słowo „Polska” ma dwa znaczenia – współczesne i tradycyjne. Obecnie to kraj zamieszkany przez Polaków, czyli mówiących po polsku katolików. Współczesna Polska to państwo plemienne, narodowe

Niegdyś słowo „Polska” oznaczało jednak coś znacznie więcej – było synonimem szerokiej, wielonarodowej Rzeczypospolitej. Olbrzymiego, dumnego kraju, w którym w zgodzie żyli przedstawiciele tuzina narodowości i wyznań.

Litwini, Rusini, Polacy, Karaimi, Ukraińcy, Białorusini, Niemcy, Ormianie i oczywiście Żydzi. Bez tych ostatnich Polska byłaby zupełnie innym państwem. Stanowili oni nieodzowny element jej bogatej, wielokulturowej mozaiki.

Ja – w przeciwieństwie do większości moich rodaków – jestem patriotą tej tradycyjnej Rzeczypospolitej. Dlatego naszych Żydów nie uważam za przedstawicieli jakiejś „mniejszości”. Uważam ich za rodaków, współobywateli.

Sprawia to, że nową książkę Szewacha Weissa „Moja Polska” czytałem z wielkim wzruszeniem. W byłym przewodniczącym Knesetu znalazłem bowiem bratnią duszę. On również myśli w kategoriach starej, wielonarodowej Rzeczypospolitej. On również tęskni za tą utraconą wspólną ojczyzną naszych przodków.

„Na początku 2001 roku przyjechałem do Polski jako ambasador – pisze. – Wróciłem tu na służbę dyplomatyczną, ale tak naprawdę wróciłem do polskich chmur, krajobrazów, zapachów i do mojego straconego dzieciństwa”.

Szewach Weiss ze szczególną czułością i nostalgią opowiada o swoim rodzinnym drewnianym domku na Dolnej Wolance w Borysławiu. Wypełniały go zapachy ulubionych potraw – na czele ze słynnym czulentem – i gwar rozmów. Prowadzonych w jidysz, ale również po polsku i ukraińsku, bo rodzina Szewacha Weissa utrzymywała ożywione kontakty z polskimi i ukraińskimi sąsiadami.

„To Polska galicyjska, wielojęzykowa, wielokulturowa, bardzo ciekawa – pisze. – W czasie mojego dzieciństwa Borysław liczył blisko 50 tys. mieszkańców, z czego może 20 tys. stanowili Polacy, 15 tys. – Ukraińcy i około 15 tys. – Żydzi”.

Podobnie było w tej części Rzeczypospolitej, z której pochodzi moja rodzina. Czyli w okolicach Kowna i Wędziagoły. Z tym, że u nas obok Polaków i Żydów mieszkali Litwini. Wielonarodowy świat, o którym tak pięknie pisze Szewach Weiss, znam jednak doskonale z rodzinnych opowieści.

Niestety, dzieciństwo Szewacha Weissa zostało brutalnie przerwane. Podobnie jak historia polsko-żydowsko-ukraińskiego Borysławia. Gdy miasto znalazło się pod okupacją niemiecką, nad rodziną Weissów zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Mały Szewach spędził trzy lata w ukryciu, m.in. w podwójnej ścianie domu. Przetrwał dzięki pomocy, której udzielili mu chrześcijańscy sąsiedzi.

„Kiedy podróżuję po Polsce i widzę wiejską kapliczkę – pisze – zawsze przypomina mi się kapliczka, w której naszą rodzinę ukrywała rodzina Góralów. Pamiętam, że wchodziły do niej jaszczurki. Mówiłem wtedy do mojej mamusi: »Szkoda, że nie urodziłem się jaszczurką. Byłbym wtedy wolny, nie musielibyśmy tutaj siedzieć«”.

Muszę przyznać, że bardzo zafrapował mnie ten fragment…

Szewach Weiss kocha Polskę, a Polska kocha jego. Były ambasador jako człowiek uratowany przez polskich Sprawiedliwych walczy z krzywdzącymi Polaków stereotypami.

„Słowo »sąsiedzi« – pisze – które za sprawą Jana Tomasza Grossa wielu Polakom kojarzy się ze strachem, mnie kojarzy się z odważnymi ludźmi, którzy nas uratowali. Dlatego przemawiając w Jedwabnem, podkreślałem, że ja znam też inne stodoły. Takie, w których Polacy ratowali Żydów”.

Szewach Weiss walczy z określeniem „polskie obozy zagłady” oraz z próbami zdjęcia z Niemców odpowiedzialności za Holokaust. Nie oznacza to jednak, że milczy na temat krzywd, jakich Żydzi zaznali od swoich polskich współobywateli. Mówi i pisze o szmalcownikach, donosicielach czy sprawcach pogromów.

Zachowuje jednak w tym odpowiednie proporcje. Przypomina, że w każdej społeczności znajdą się zdemoralizowane, przestępcze jednostki. Przez pryzmat ich haniebnych czynów nie można jednak oceniać całych społeczności.

Szewach Weiss w „Mojej Polsce” – która jest zbiorem felietonów publikowanych na łamach „Do Rzeczy” – pisze nie tylko o II RP, Holokauście i walce o pamięć. Nurtują go również polityczne, ekonomiczne i społeczne problemy współczesnego świata. Bliski Wschód, Ameryka, Rosja, Chiny, uchodźcy, terroryzm.

Szewach Weiss jest zawsze na czasie, a jego analizy są błyskotliwe i pobudzające do myślenia. Muszę przyznać, że zazdroszczę mu jego młodzieńczej energii.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Do Rzeczy” poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną,** by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.

Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl

eprasa.pl 990798db5f

Szewach Weiss

Kim Dzong Un przejął rządy w Korei Północnej w 2011 r.
FOT. KYODO/REUTERS/FORUM

Atomowy szantaż reżimu

To oczywiste, że cały świat z niepokojem śledzi rozwój wypadków wokół Korei Północnej. Korea jest otwartą raną od początku lat 50., gdy toczyła się tam wojna, w którą zaangażowane były najpotężniejsze światowe mocarstwa. Sytuacja była tak napięta, że mówiono nawet o widmie III wojny światowej. Tymczasem stało się tak, że dziś mamy dwa państwa koreańskie. Korea Południowa została symbolem rozwoju, z dość dobrze funkcjonującą, choć inną od zachodniej, demokracją i silną gospodarką. Natomiast na północy powstało państwo-obóz koncentracyjny.

Dyktatura i totalitaryzm są zawsze dyktaturą i totalitaryzmem, są jednak różne dyktatury. Istnieją dyktatury ukryte, reżimy demokratyczne, autokratyczne, bardzo bliskie dyktatury, są państwa, w których były dyktatury, ale w sposób rewolucyjny lub ewolucyjny zostały obalone.

Korea Północna jest permanentnym obozem koncentracyjnym już ponad 60 lat. Nie ma wewnętrznej działalności antyreżimowej, bo gdy tylko pojawiają się jej oznaki, są likwidowane natychmiast, brutalnie, nieludzko. Ludzie są mordowani nie tylko za pomocą broni konwencjonalnej, lecz także np. za pomocą dział przeciwlotniczych niemal przystawianych im do twarzy. Nie ma litości, nie istnieje żadna wartość religijna czy moralna. Nie wiemy, bo nie ma żadnych poważnych badań na ten temat, jaka część północnych Koreańczyków popiera reżim. Jednak po trwającej trzy pokolenia indoktrynacji jakaś część, być może nawet wielka część narodu koreańskiego solidaryzuje się z tą „komunistyczną religią" i jest zahipnotyzowana przez kapłanów tej religii i jej najwyższego kapłana. To plama na mapie świata, która całemu światu ciągle zagraża.

Sposoby radzenia sobie z totalitaryzmami, po które niedawno sięgano (np. interwencje zbrojne), nie są ostatnio wykorzystywane. Po doświadczeniach w Afganistanie i Iraku prawdopodobnie żadne mocarstwo nie zdecyduje się na poświęcenie bezpieczeństwa swoich żołnierzy dla innego narodu. Jednak nie tylko to jest powodem odejścia od interwencjonizmu. Ciągle trwa silny imperatyw, który narodził się z lewej strony, że nie wolno mieszać się w wewnętrzne sprawy narodów, że każdy naród ma prawo żyć tak, jak chce, nawet jeśli żyje w zniewoleniu i tak naprawdę nie ma prawa żyć, jak chce, i kiedy nawet – jak w Korei Północnej – reżim odbiera życie swoim obywatelom.

Korea Północna, która pracuje nad nowoczesnymi rakietami zdolnymi przenosić ładunki jądrowe, ma większą siłę szantażowania świata niż Rosja i może zagrażać nawet Stanom Zjednoczonym. Korei nie obowiązują strategiczne porozumienia dotyczące potencjalnej wojny nuklearnej, które zostały wypracowane po egzaminie, jaki świat przeszedł w latach 60., kiedy stanął na krawędzi takiego konfliktu, i które balansują Rosję ze światem zachodnim. To bardzo niebezpieczna sytuacja, gdy niemal cały świat stoi przed realną groźbą szantażu.

Stany Zjednoczone czują się odpowiedzialne za światowe bezpieczeństwo, ale prawdopodobnie nie wezmą na swoje barki ciężaru wojny z Koreą Północną, a jeśli tak, to konflikt ten co prawda nie ma potencjału wojny światowej, ale niesie zagrożenie światowego nieszczęścia nuklearnego. Rosja Putina zdaje sobie sprawę ze znaczenia koreańskiej groźby, prowadzi jakąś realną politykę, ale jest to polityka z myślą o Rosji. Chiny niezbyt obawiają się Korei, ale będąc związane gospodarczo również ze światem zachodnim, krytykują Koreę, jednak nie wiadomo, jak zachowają się w obliczu ewentualnej interwencji wojskowej.

Czy pomogą sankcje nakładane na Koreę Północną? Nie wiadomo, ale warto ich próbować. Czy koreański szantaż okaże się silniejszy od sankcji? Najwięcej zależy od Donalda Trumpa. Prezydent Stanów Zjednoczonych, z którym duża część opinii publicznej nie do końca daje sobie radę, nie rozumiejąc go – jest krytykowany w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie – przez wielu jest uważany za człowieka nieostrożnego, czyli dyplomatycznie nieodpowiedzialnego. Obserwując jego dotychczasowe poczynania, uważam, że w sprawach najważniejszych jest on politykiem odpowiedzialnym. Czy za kilka lat będziemy mówić o Donaldzie Trumpie jako o tym, który wyzwolił miliony północnych Koreańczyków z ogromnego obozu koncentracyjnego? Jakie koszty będą się z tym wiązały? Nie jestem prorokiem. Nam, politykom i dziennikarzom, nie wolno stawiać się w roli proroków. Mamy jednak wolność myśli i wyobraźni. ©℗

oprac. raw

eprasa.pl 990798db5f

Łukasz Zboralski

Atomowo opóźnieni

Jesteśmy białą plamą na mapie europejskiej energetyki jądrowej, choć to jedyna realna alternatywa dla węgla. Czy PiS będzie miał odwagę to zmienić?

Chyba żaden z wcześniejszych rządów nie stawiał tak wysoko wśród politycznych priorytetów energetycznej niezależności kraju. Oczywiście oprócz gabinetu PiS-Samoobrona-LPR, bo to on uznał za strategiczną inwestycję budowę terminalu LNG w Świnoujściu. Dzięki temu prezydent USA podczas niedawnej wizyty w Polsce mógł deklarować, że Stany zamierzają dostarczać gaz do naszego kraju i tej części Europy. Mając gazoport, możemy kupować gaz w każdym zakątku świata i potrzebować mniej tego surowca od Rosjan. W dodatku amerykański sojusznik idzie nam w sukurs w sprawie blokowania niebezpiecznej dla Polski kolejnej rosyjsko-niemieckiej inwestycji Nord Stream 2.

Z drugiej strony obecny rząd dość realnie ocenia sytuację energetyczną i – znając własne zasoby, oparte głównie na węglu – sceptycznie podchodzi do odnawialnych źródeł energii, które nie byłyby dziś jeszcze żadnym rozwiązaniem w skali całego kraju.

Energetyka oparta na węglu, ma jednak dwie wady, które w długiej perspektywie (a takiej rządowi PiS nie brak w sprawach gospodarczych – żeby wspomnieć choćby plan uczynienia spławnymi polskich rzek czy plan budowy centralnego lotniska) dadzą o sobie znać. Pierwszą odczuwamy już od dawna – to stale rosnąca presja UE na ograniczanie emisji CO_2. Drugą odczujemy za kilkadziesiąt lat – węgla więcej niż mamy mieć nie będziemy.

Po fiasku marzeń o gazie łupkowym nad Wisłą pozostaje jedno niewykorzystane od dekad rozwiązanie, czyli budowa polskiej elektrowni atomowej. W tej sprawie jednak rząd PiS jest wyjątkowo ostrożny, choć to Jarosław Kaczyński jako premier w 2006 r. w exposé zapowiedział powrót do energetyki atomowej. Po niedawnych doniesieniach prasowych na temat budowy takiej elektrowni minister

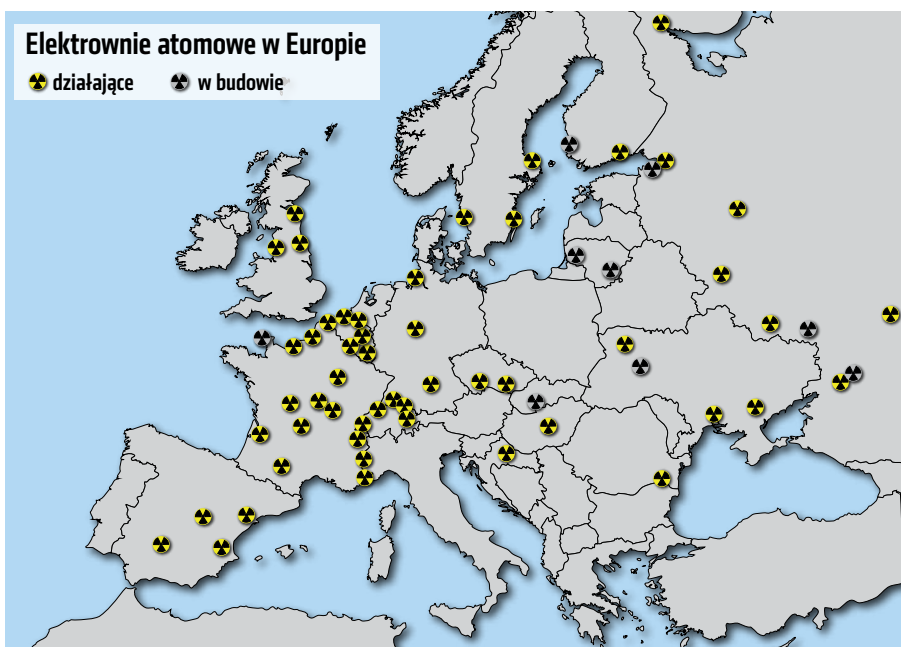

RYS. PEGAZ

eprasa.pl 990798db5f

Od trzech dekad pracowałaby polska elektrownia atomowa w Żarnowcu, gdyby zaawansowanej budowy nie zatrzymał rząd Mazowieckiego

FOT. MICHAŁ FLUDRA/NURPHOTO/FORUM

energii Krzysztof Tchórzewski szybko ogłosił, że choć to jeden ze scenariuszy rozwoju polskiej energetyki, to decyzje w tej sprawie jeszcze nie zapadły. Wiadomo tylko, że spółka PGE EJ 1 prowadzi badania dla dwóch potencjalnych lokalizacji (w pomorskich gminach Choczewo, Krokowa i Gniewino).

Tę ostrożność trudno zrozumieć, zwłaszcza gdy spojrzy się na mapę elektrowni jądrowych w Europie. Polska jest jednym z nielicznych krajów pozbawionych tego źródła energii. Kiedy inni budowali elektrownie, my przez dekady podejmowaliśmy same fatalne decyzje.

WSCHODNI STRACH

Jak na ironię najbliżej własnej elektrowni atomowej byliśmy w PRL, gdy w 1971 r. zapadła decyzja o rozpoczęciu budowy takiego obiektu. Plan zakładał uruchomienie w Żarnowcu czterech bloków – pierwszy miał zacząć pracować w 1991 r., a ostatni cztery lata później. Budowa się rozpoczęła i trwała, choć z kłopotami związanymi z finansami, do 1989 r. Wówczas premierem został Tadeusz Mazowiecki i jego rząd zaczął prowadzić analizy dotyczące „zasadności kontynuacji budowy" elektrowni atomowej. Do problemów finansowych dołączyły problemy społeczne, bo choć po upadku komunizmu zapatrzeni byliśmy na Zachód, to w sprawie energetyki jądrowej wyznacznikiem stał się Wschód – a konkretniej obawy związane z bezpieczeństwem po katastrofie w Czarnobylu (1986 r.). W 1990 r. doprowadzono do referendum w sprawie budowy elektrowni atomowej, w którym zdecydowana większość obywateli wypowiedziała się przeciw tej inwestycji (ze względu na niską frekwencję referendum nie było wiążące dla władz).

Ostatecznie we wrześniu 1990 r. rząd postanowił o likwidacji budowy elektrowni w Żarnowcu. Symbolem krótkowzroczności w tej sprawie stał się ówczesny minister przemysłu Tadeusz Syryjczyk. Z jego konkluzji wynikało, że elektrownia jest nam zbędna do bilansu energetycznego, że jej rentowność w porównaniu z elektrowniami węglowymi jest wątpliwa i że wcale nie jest pewne, czy za 20 lat energetyka jądrowa będzie potrzebna. Dzisiaj widać, jak Syryjczyk (obecnie doradca gospodarczy w zespole TOR, zajmujący się rynkiem kolejowym) bardzo się mylił.

Według szacunków na niedokończonej inwestycji w Żarnowcu jako kraj straciliśmy od 500 mln dol. do nawet 1 mld dol. Już po wstrzymaniu prac w 1990 r. do Polski dostarczano zamówione wcześniej części, m.in. reaktory – same te dostawy kosztowały ok. 250 mld zł. Wyposażenie wyprzedawaliśmy tym krajom, które elektrownie miały lub budowały. Część sprzętu z Żarnowca jest np. w elektrowni Dukovany – jednej z dwóch działających w Czechach. Dwa z czterech reaktorów trafiły do elektrowni na Węgrzech i w Finlandii.

Od blisko trzech dekad obiekty zbudowane w Żarnowcu niszczeją. I jest już pewne, że tam elektrowni nikt nie zbuduje.

Rząd Kaczyńskiego w projekcie „Polityki energetycznej Polski do 2030 r." wskazywał na konieczność budowy elektrowni atomowej. Wkrótce potem wybory wygrała Platforma Obywatelska. Wydawało się, że gabinet Donalda Tuska zamierza kontynuować ten wielki projekt. W 2009 r. przyjęto strategię, która przewidywała budowę polskiej elektrowni jądrowej. Miała być gotowa do 2020 r.

BUDOWANIE PR

Tak jak w wielu przypadkach (przypomnijmy sobie choćby budowę Stadionu Narodowego) powstała w tym celu specjalna spółka – energetyczny gigant PGE powołał celową spółkę córkę PGE EJ 1. W 2012 r. jej prezesem został odchodzący z ministerstwa skarbu Aleksander Grad. Były więc spółki, pracownicy i plany. A wszystko to kosztowało. I to niemało. Członkowie zarządów spółek zarabiali miesięcznie dziesiątki tysięcy złotych. Ba, miliony zarobiły same firmy PR-owskie, które zatrudniono, by ucząc o obecnych technologiach, rozwiewać zadawnione obawy Polaków (to zresztą należy zapisać rządowi PO na plus, społeczny grunt został przygotowany i dzięki tym działaniom 61 proc. badanych popierało budowanie w Polsce elektrowni atomowej). Biorąc pod uwagę wartości kontraktów, był to jeden z największych projektów w branży PR ostatnich lat.

Przez pięć lat przygotowywania projektu PGE EJ 1 wydała ponad 180 mln zł. Same płace w spółce kosztowały podatników blisko 35 mln zł. A do budowy elektrowni atomowej wcale nas to nie przybliżyło. Pod koniec 2014 r. PGE EJ 1 zerwała kontrakt z australijską firmą WorleyParsons, której powierzono przeprowadzenie badań środowiskowych i lokalizacyjnych. Część kwoty opiewającej na 252 mln zł została stracona, a plan ukończenia budowy odsuwał się już na rok 2029. Zgodnie z tamtymi planami po wyborze technologii i wykonawców ostateczna decyzja o budowie elektrowni jądrowej w Polsce miała zapaść w 2017 r.

Jednak zamiast decyzji o starcie budowy w marcu tego roku PGE EJ 1 własnymi siłami rozpoczęła dopiero badania lokalizacyjne i środowiskowe. A minister Tchórzewski zapowiada, że jesteśmy w stanie sami wybudować elektrownię, o ile oczywiście taka decyzja zostanie przez rząd podjęta.

Tymczasem na świecie blisko 14 proc. energii elektrycznej wytwarza się dziś w elektrowniach jądrowych. W samej Europie działają 184 reaktory jądrowe. Najwięcej ich mają Francuzi – 58 (i zaspokajają one ok. 75 proc. krajowego zapotrzebowania na energię). A kolejne elektrownie atomowe – poza granicami Polski – wciąż powstają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

Z Maciejem Staneckim, członkiem zarządu TVP SA
rozmawia Radosław Wojtas

Fastrygować już się nie da

FOT. JAN BOGACZ/TVP SA

RADOSŁAW WOJTAS: Na początku roku prezes TVP Jacek Kurski mówił o „budżecie śmierci" i o tym, że jeśli kwestia ściągalności abonamentu nie zostanie rozwiązana, to Telewizja Polska będzie „się zwijać". Tymczasem słyszymy o planach inwestycyjnych, ale na kredyt. Z 800 mln zł pożyczki połowa ma iść na rozwój technologiczny TVP.

MACIEJ STANECKI: I powiedział prawdę o tym zagrożeniu. To, co się działo w TVP przed naszym przyjściem, mogło prostą drogą doprowadzić do bankructwa. Niekontrolowane wydatki, kreatywna księgowość, zawyżone ceny usług zewnętrznych. Do tego obecny system abonamentowy jest fikcją, a ustawowe obowiązki misyjne i konieczność odtworzenia zaplecza technologicznego to realia. Telewizja Polska rzeczywiście uzyskała pożyczkę, jako pomostowe finansowanie do czasu urealnienia wpływów abonamentowych. Faktem jest, że około połowy pozyskanych środków chcemy przeznaczyć na zmiany technologiczne. Będą one dotyczyły sfery cyfryzacji, digitalizacji czy emisji beztaśmowej, bo tutaj TVP ma wręcz epokowe zapóźnienia. Mówimy o kilkunastu, a w oddziałach terenowych nawet 20 latach bez koniecznych modernizacji. Dlatego wydatki muszą być ogromne, fastrygować już się nie da. Na pewno przyspieszeniu ulegną procesy digitalizacji i rekonstrukcji cyfrowej filmów, seriali, spektakli oraz programów, które mamy w zasobach. W oddziałach terenowych ten proces praktycznie nie jest prowadzony, a tam – podobnie jak przy Woronicza – są tysiące prawdziwych perełek, które trzeba odświeżyć i udostępniać.

Wreszcie cała sfera Internetu i emisji w Internecie. Przyszłość telewizji rozstrzygnie się w sieci i tutaj naprawdę nie możemy już dłużej czekać w blokach. I tak jesteśmy już kilka lat za liderami technologicznymi. Budujemy TVP on-line, czyli uniwersalny kanał telewizyjny wykorzystujący system VOD (wideo na życzenie – przyp. red.). Treści zdigitalizowane będą tam dostępne w dobrej jakości z dowolnego miejsca i w każdym czasie. Mamy już zbudowaną platformę subskrypcyjną, konkurencyjną wobec największych serwisów międzynarodowych obecnych na polskim rynku. Podpisaliśmy również umowy z dużymi światowymi producentami, głównie seriali, które na VOD cieszą się największym zainteresowaniem.

Płatna telewizja publiczna w Internecie?

Autorską produkcję TVP z założenia pokazujemy za darmo. Finansowanie telewizji publicznej z abonamentu, choć wiemy, że obecnie jest ono skrajnie niskie, zobowiązuje nas do nieodpłatnego udostępniania naszych treści. Na marginesie mówiąc, niestety bywa to też nadużywane i opacznie interpretowane, bo są media internetowe, które transmitują Jedynkę i Dwójkę bez żadnych umów z nami, bez opłat licencyjnych. Na naszym serwisie subskrypcyjnym podstawą oferty będą seriale zagraniczne, a dostęp do niego będzie oczywiście płatny, ale szacujemy, że będzie to niewielka opłata i nie będzie ona pobierana od osób płacących abonament. Będzie tam można oglądać za-

eprasa.pl 990798db5f

równo przedpremierowe treści TVP, jak i produkcje zagraniczne.

Jakich zdigitalizowanych tytułów możemy się spodziewać? Klasyka w HD?

Proces digitalizacji jest prowadzony w formacie 4K, a sposób skanowania negatywów daje możliwość późniejszego upgrade'u do formatu HDR, choć na razie będą udostępnione w HD. Dajemy sobie możliwość rozwoju, materiał przygotowujemy nadmiarowo, w standardzie, w którym na razie praktycznie nikt jeszcze nie jest w stanie pokazywać w sieci. Uruchomienie serwisu internetowego ze zdigitalizowanymi treściami to kwestia kilku miesięcy. W tej chwili rekonstruujemy ponad 830 tytułów w ramach projektu „Digitalizacja Polskiej Szkoły Telewizyjnej i Filmowej z Archiwum TVP SA", jednego z największych w Europie tego typu jednorazowych projektów. Wśród nich „Ekstradycja", którą pokażemy najszybciej, ale do 2018 r., czyli stulecia niepodległości Polski, gotowe będą m.in. takie tytuły, jak „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy" czy „Noce i dnie", „Czterdziestolatek", „Polskie drogi" i wybrane teatry telewizji.

Będą też nowe produkcje TVP.

Jeśli chodzi o film i serial, to w tej chwili w toku są dwie autorskie nowości. W całości produkowane przez TVP „Korona królów" – telenowela historyczna o złotym wieku historii Polski – oraz serial sensacyjny „Miasto skarbów" – o poszukiwaniu skradzionych dzieł sztuki. Trwają prace scenariuszowe i kompletowanie obsady do seriali pokazujących dzieje Polski w ostatnim stuleciu – od odzyskania niepodległości do współczesności. „Drogi nadziei" to będzie bardzo rozbudowana i kosztowna produkcja kostiumowa. Wątki historyczne będą się splatać z dziejami głównych bohaterów, którzy na przestrzeni wieku przyczynili się, częstokroć płacąc najwyższą cenę, do odzyskania niepodległości. Tematyka odzyskania niepodległości znajdzie się również w serialach o powstaniu wielkopolskim i biografii Ignacego Paderewskiego. Nie zapominamy również o uwielbianych przez naszą widownię komediach. Na początek serial komediowy „Pod wspólnym niebem", portretujący karykaturalność polskich sporów.

Telewizja Polska ma w tej chwili wiele problemów. 180 mln zł straty za ubiegły rok, spadek wpływów z abonamentu w 2016 r. o 10 proc., z reklam o 5 proc. i kryzys zaufania – TVP według badań Attention Marketing Research nie ufa ponad połowa widzów. Czy to odpowiedni moment na nadrabianie zapóźnień technologicznych?

To jest ostatni moment na inwestycje, bo rynek zmienia się w niesamowitym tempie. Cała tradycyjna telewizja notuje spadki i dotyczy to wszystkich uniwersalnych kanałów naziemnych. Są pewne fluktuacje, są lata, kiedy widownia częściowo wraca, ale ogólna tendencja jest taka, że widz, zwłaszcza młodszy, traktuje kanał naziemny jako dodatkowy, jego podstawowe środowisko mediowe to kanały internetowe. Inwestycje, które podejmujemy i planujemy, są absolutnie kluczowe. Uważam, że inwestujemy wciąż za mało, to się nieco zmieni w związku z planami opartymi na finansowaniu zewnętrznym, o którym pan wspomniał. TVN czy Polsat mają swoje platformy internetowe, w które od lat inwestują znacznie więcej od TVP.

Kiedy przyszliśmy do zarządu TVP półtora roku temu, jeszcze widzieliśmy meleksy wożące taśmy z przeglądu technicznego do emisji. Jako osoba odpowiedzialna za technologię postawiłem sobie za punkt honoru, żeby to zmienić, i najpierw udało się to w kanale, o którym większość polskich widzów TVP zapomina – w Biełsacie. Kilka tygodni temu uruchomiliśmy tam emisję beztaśmową, następne będzie TVP ABC, potem kolejne anteny. Dużo dobrego dzieje się w sekcji newsowej. Zaczęliśmy gruntowne przebudowy portalu tvp.info, gdzie upowszechniliśmy m.in. mobilne dziennikarstwo, i transmisje całkiem dobrej jakości z urządzeń mobilnych trafiają na antenę, a największe ich wykorzystanie jest w Internecie. Na przełomie lat 2016 i 2017 podnieśliśmy jakość emisyjną TVP Info do HD. Od pół roku z powodzeniem działa aplikacja Sport.tvp.pl i naprawdę wielkie widowiska transmitujemy on-line. Kiedy rok temu transmitowaliśmy mecze mistrzostw Europy, nasza konkurencja poległa w momencie, w którym musieli obsłużyć ponad 100 tys. jednoczesnych transmisji, a my tych jednoczesnych transmisji obsłużyliśmy ponad 220 tys. Jeśli chodzi o udostępnianie długich treści, czyli właśnie filmu, serialu czy transmisji sportowej w VOD, to jesteśmy teraz drugim medium w Polsce, jeśli chodzi o liczbę widzów, a na urządzeniach mobilnych pierwszym.

I nie odczuwa pan pretensji do polityków, że TVP będzie finansowała te inwestycje z kredytu, a nie z wpływów abonamentowych? Że tak długo trwa rozwiązanie tej kwestii?

Na pewno czuję niepokój, bo zarządzanie spółką w sytuacji niestabilności formalnej, odnoszącej się do sfery przychodowej, jest bardzo wyczerpujące. Jako telewizja publiczna moglibyśmy robić nieporównywalnie więcej, gdyby nam w jasny sposób zagwarantowano: „Wdrażamy rozwiązanie pozwalające sfinansować ze źródeł publicznych połowę kosztów działalności misyjnej". Połowa to już coś w stosunku do obecnych 20 proc., które uzyskujemy z kulawego abonamentu. Taka sytuacja jest nieznana w Europie. Inne telewizje publiczne nie chcą uwierzyć, gdy pokazujemy im, w jakich uwarunkowaniach finansowych funkcjonujemy i ile udaje się nam mimo to wyprodukować. Kwestia uregulowania finansowania mediów publicznych jest fundamentalna. Obecnie 80 proc. treści misyjnych jest finansowane z naszej działalności komercyjnej. Nigdzie nie ma takiego modelu. Przy odpowiednio ustabilizowanym i wysokim poziomie finansowania abonamentowego zyskują przecież też telewizje komercyjne, bo zakresy działania tych mediów są jednak nieco inne. Treści misyjne siłą rzeczy są bardziej niszowe, a TVP uwalnia wówczas część rynku reklamowego. Nie mówiąc o tym, że taki stabilny sposób finansowania też uniezależnia media od gier politycznych i potencjalnych uzależnień rynkowych, bankowych, od wszelkich stosunków klientystycznych. Przecież wszyscy, którym naprawdę zależy na zdrowych, dobrych jakościowo mediach publicznych, powinni rozumieć, że tylko dobry system abonamentowy stwarza warunki dla ich profesjonalizacji, sprawia, że ich realnym i jedynym właścicielem oraz zwierzchnikiem są obywatele. Taki stabilny system raz wypracowany będzie im służył przez lata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Fatalny sukces Morawieckiego

Przybywa zaniepokojonych sukcesami gospodarki. Przybywa tym szybciej, im szybciej poprawiają się jej wyniki. Wystarczy zajrzeć na niektóre (wiadomo które) portale, przekartkować niektóre (wiadomo które) gazety i tygodniki, by się zorientować, że jednak zdecydowanie nie tak miało być, że polscy przedsiębiorcy, w których pokładano tyle nadziei, i nie ukrywano tego ani przez chwilę, nie potrafili stanąć na wysokości zadania i zachować się odpowiedzialnie, po prostu patriotycznie, czyli na jakiś czas – na czas okupacyjnych rządów PiS – albo w ogóle zaprzestać prowadzenia biznesów, albo co najmniej zawiesić inwestycje, zyski zamienić w straty, pozwalniać pracowników, wywindować bezrobocie i w ten sposób zepsuć Polakom humor.

Innymi słowy, przedsiębiorcy zawiedli. Teraz widać to już gołym okiem, bo nie dość, że przybywa pieniędzy z podatków, że niezłe wrażenie robi saldo budżetu po półroczu (nawet jeśli nadwyżka zamiast deficytu to rezultat opóźnienia zwrotu VAT) i szybko zaczyna rosnąć PKB (o 4 proc.), to jeszcze przyspieszają inwestycje. A z inwestycjami wiadomo, jak jest – mogą jeszcze mocniej nakręcić tempo wzrostu. A od tego może jeszcze bardziej spaść bezrobocie, mogą pójść w górę płace i jeszcze bardziej poprawić się nastroje Polaków. I co wtedy?

Zawiedli jednak nie tylko polscy przedsiębiorcy; także zagraniczne agencje ratingowe, które tak dobrze zaczęły swą przygodę z okupacyjnym rządem nad Wisłą, i jeśli już nie obniżyły polskiej gospodarce ratingów – bo, niestety, nie obniżyły – to przynajmniej niektóre z nich pogrążyły perspektywę tych ratingów. Cóż z tego jednak, skoro potem było już tylko gorzej i gorzej? Agencje podkuliły ogony i zaczęły korygować w górę oceny wiarygodności Polski.

Na szczęście – dla tych, którzy naprawdę dobrze życzą naszej znękanej ojczyźnie – agencje wreszcie się ocknęły i w związku ze zmianą ustroju sądów i z kłopotami w relacjach Polski z KE, mimo dwóch wet prezydenta, zaostrzyły język. A i sukcesy Morawieckiego na pstrym koniu jeżdżą, łatwo więc może mu się powinąć noga. Wystarczy, by sprawdziły się te prognozy, które mówią o grożącym Polsce gwałtownym wzroście wydatków i postępującym zadłużaniu się oraz podwyżce podatków. I w tym cała nadzieja.

No, a poza tym – jak się przyśniło jednej z publicystek „GW", o czym nie omieszkała powiadomić na łamach – istnieje też inna ewentualność: że Morawieckiemu uda się trwale poprawić ściągalność podatków i rozkręcić gospodarkę, ale jako „dobry gospodarz" zdecyduje się on porzucić prezesa Kaczyńskiego, a najlepiej cały PiS, i przejść ze swoimi osiągnięciami na stronę demokracji. Cóż, w takim przypadku można byłoby pewnie uznać jego fatalne, wręcz antypolskie sukcesy za całkiem do pogodzenia z interesem kraju. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Komputery wygrywają

Komputer, a w zasadzie program komputerowy, pokonał człowieka, mistrza świata w szachach już dawno temu. Niedawno pokonał też mistrza świata w grę Go. Niepokonany do tej pory Koreańczyk komentował, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się pod taką presją. Komputer pokonał mistrzów gry Jeopardy!, w której trzeba odpowiadać na pytania z bardzo różnych dziedzin. W czasie konkursu komputer nie był podłączony do Internetu. Komputer zastępuje prawników w analizie standardowych umów, pisze artykuły w gazetach na typowe tematy, zastępuje ludzi w magazynach, restauracjach i na przejściach granicznych. Komputer umie prowadzić samochód i pilotować samolot.

Wkrótce komputery nauczą się samodzielnego tworzenia muzyki

Jednak komputer wkracza też w obszary, w których – jak się jeszcze niedawno wydawało – człowiek nie był zagrożony. Na przykład komputer jest w stanie bardzo dobrze ocenić potencjał badawczy człowieka. Czy zatem już niedługo proces rekrutacji kadry naukowej na najlepszych uczelniach zostanie przejęty przez komputery? Do takich wniosków doszliśmy też na Uniwersytecie Narxoz, gdzie zbadaliśmy, jak pracowników naukowo-dydaktycznych ocenia komitet ds. HR, a jak algorytm komputerowy. Algorytm oceniał lepiej, czyli ludzie wskazani przez komputer do promocji pracowali lepiej i osiągali lepsze efekty niż ci, których wyróżnił komitet ds. HR. Czy zatem funkcje HR na uczelniach (i w firmach) za jakiś czas w pełni przejmą komputery?

Niewielu ludzi ma świadomość, jak szybki postęp dokonuje się w dziedzinie sztucznej inteligencji, a jeszcze mniej rozumie, co to oznacza dla przyszłości człowieka. W tej dziedzinie nie ma żadnego nadzoru dotyczącego etyki i prowadzi się bardzo mało badań pokazujących, do czego tak szybki postęp może doprowadzić.

Mówimy o drastycznych zmianach w sposobie organizacji społeczeństwa. Najmądrzejsi ludzie na świecie coraz częściej po prostu nie wiedzą, nie rozumieją, w jaki sposób komputery osiągają takie możliwości. Komputer, który ograł mistrza świata w Go, rozegrał sam ze sobą miliony partii i się „nauczył", jak ograć mistrza. Za jakiś czas komputery nauczą się wygrywać z człowiekiem w nowych dziedzinach. Na przykład stopniowo komputery nabywają kompetencji samodzielnego tworzenia pięknej muzyki czy projektowania przemysłowego. Czyli nawet najbardziej kreatywne formy aktywności człowieka będą stopniowo przejmowane przez komputery. Co nam pozostanie za kilka dekad? I kto, a raczej co, będzie pisał(o) takie felietony? ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 990798db5f

TEST „DO RZECZY": GŁOŚNIK BOSE SOUNDLINK REVOLVE

Bardzo małe rozmiary (15,2 x 8,2 x 8,2 cm), niewielka waga (660 g) i zaskakująco dobra jakość dźwięku – to główne zalety przenośnego głośnika firmy Bose.

Zwiększona odporność na wstrząsy oraz wodoodporna obudowa sprawiają, że elegancko wyglądający głośnik świetnie nadaje się na wakacyjne eskapady. Aluminiowa, cylindryczna konstrukcja sprawia wrażenie solidnej, choć sama góra – gdzie umieszczone są m.in. przyciski służące do obsługi głośnika – jest podatna na zarysowania. Ciekawym elementem jest gniazdo umożliwiające postawienie głośnika na trójnogu.

Najważniejszą zaletą testowanego gadżetu jest jednak bardzo dobry, wielokierunkowy dźwięk. Głośnik można więc postawić na środku pokoju lub pola namiotowego i każdy słuchający będzie mógł się cieszyć podobnymi wrażeniami. A jakie to wrażenia? Dźwięk jest zaskakująco realistyczny i ciepły, a basy głębokie i mocne (za polepszenie jakości niższych częstotliwości odpowiadają m.in. dwa pasywne radiatory). Na szczęście wzmocnione basy nie zagłuszają wysokich częstotliwości. Jak na niewielkie rozmiary głośnika trzeba przyznać, że różne detale słychać bardzo dobrze. Emitowany dźwięk nie jest jednak perfekcyjnie czysty.

Nie ma też powodu, aby narzekać na głośność – aby wypełnić dźwiękiem średniej wielkości pokój, wystarczy ustawić głośnik na mniej więcej dwie trzecie jego maksymalnej głośności. Bose SoundLink Revolve powinien sprawdzić się więc w domu czy w biurze. A jeśli za pomocą aplikacji sparuje się co najmniej dwa takie głośniczki, to spokojnie obsłużą one nawet huczną imprezę w akademiku.

Źródło dźwięku do testowanego głośnika można podłączyć za pomocą złącza 3,5 mm lub bezprzewodowo za pośrednictwem Bluetooth. Proces parowania nowego smartfona lub tabletu przebiega szybko i intuicyjnie. Duży plus należy się też za baterię, która pozwala na odtwarzanie muzyki nawet przez 12 godzin na jednym ładowaniu.

Poważną wadą testowanego głośnika jest niestety stosunkowo wysoka cena, która wynosi aż 999 zł. Za tę kwotę można mieć nawet dwa dobre przenośne głośniki Bluetooth innych firm. Będą one brzmiały gorzej niż Revolve, choć niekoniecznie dwa razy gorzej. ©℗

Jacek Przybylski

SOLI, ŚWIECI, ŚPIEWA

Wreszcie jest! Tak, tak, jasne – sól to śmierć, zapycha żyły, powoduje udar... Wiem, słyszałem, ale cóż – na coś trzeba umrzeć. Jedzenie bez soli, bez przypraw jest niczym seks bez... wszyscy wiedzą, o co chodzi. Wracając do tematu, czyli do kuchni i soli, na profile crowdfundingowe trafiła niedawno inteligentna solniczka. Gadżecik o nazwie Smalt co prawda sam kolacji dla dwojga nie przygotuje, ale sprawi, że będzie przyjemniejsza. Solniczka bowiem dzięki połączeniu Bluetooth może zamienić się w całkiem niezły funkcjonalny głośniczek emitujący standardy w rodzaju „I just called to say..." i „Red, red wine", może też stać się lampką zapewniającą nastrojowe oświetlenie. Co jednak najważniejsze, dzięki połączeniu z Amazon Echo wyda nam dokładnie taką ilość soli, jaką potrzebujemy do konkretnej potrawy (co zdaniem producentów pozwoli na kontrolę spożycia sodu). Solniczka Smalt to raczej gadżet dla zamożnych, już teraz bowiem trzeba na nią – zamawiając ją na Indiegogo – zapłacić ponad 350 zł. Po wejściu na rynek ma kosztować nawet dwa razy więcej.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MUZYCZNE PCHEŁKI

À propos muzyki – zapewne większość słuchających jej podczas uprawiania sportu czy zwykłego spaceru nie znosi zbyt ciężkich, zbyt okablowanych, zbyt rozpychających ucho słuchawek, w dodatku zużywających zbyt dużo energii ze smartfonowej baterii. Jest rozwiązanie. Słuchawki Jam Ultra, które właśnie pojawiły się na rynku, to niemal dosłownie muzyczne pchełki. Mieszczą się w niewielkim pudełku, które upchniemy w kieszeni, nie mają żadnych kabli, pałąków etc. Po prostu wtykamy je do ucha i słuchamy czystego dźwięku. Słuchamy przez trzy godziny, bo na tyle w Jam Ultra wystarcza bateria. Uwaga! Żeby je naładować, wystarczy włożyć je do wspomnianego pudełka, które odgrywa też rolę powerbanku. Wystarcza na 10 ładowań słuchawek lub jedno solidne naładowanie smartfona. Te malutkie słuchawki mają też wbudowany mikrofon, więc można rozmawiać, nie przerywając – dajmy na to – treningu nordic walking. Cena niestety jest spora – ponad 460 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 990798db5f

Z Arturem Partyką, byłym skoczkiem wzwyż, olimpijczykiem i mistrzem Europy
rozmawia Łukasz Majchrzyk

Inwestujmy tam, gdzie wygramy

FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Po mistrzostwach świata w Londynie kibice i dziennikarze chcieliby ogłaszać powrót polskiego lekkoatletycznego wunderteamu. Rzeczywiście polska reprezentacja jest tak mocna?

ARTUR PARTYKA: Spróbujmy sobie przypomnieć, które to już ogłoszenie wunderteamu – chyba czwarte albo piąte. Mamy dobrą, solidną drużynę lekkoatletyczną. Już od kilku lat nasi reprezentanci regularnie zdobywają medale, chociaż zdarzają się słabsze występy. Wunderteam to już jest legenda, zamknięty rozdział. Dzisiaj zawodnicy piszą swoją historię, nie ma sensu porównywać, bo przez kilkadziesiąt lat bardzo zmieniła się sama lekkoatletyka. Poziom reprezentacji Polski jest bardzo wyrównany, a szczęśliwie w składzie jest jeszcze kilka gwiazd światowego formatu.

Sukcesy ostatnich lat to jest efekt systematycznej pracy czy raczej kwestia szczęścia i złotego pokolenia?

Spójrzmy na poszczególne konkurencje: w rzucie młotem sukcesy odnosimy już od wielu lat, podobnie jest w pchnięciu kulą, skoku o tyczce, biegu na 400 m czy w biegach średnich. Trzeba trzeźwo oceniać, w jakich konkurencjach mamy szanse medalowe, a gdzie jest wyraźna dominacja naszych rywali i nawet wielkie pieniądze by tego nie zmieniły. Takim przykładem są maratony, gdzie nie sposób wygrywać z koalicją biegaczy afrykańskich.

Z tego powodu warto podkreślać medale Adama Kszczota, bo mogłoby się wydawać, że już na dystansie 800 m trudno będzie Europejczykom włączyć się do walki o medale.

Adam jest bardzo doświadczonym biegaczem, który od wielu lat odnosi sukcesy, i to zaprocentowało, przecież bywało tak, że przegrywał jedynie z fenomenalnym Davidem Rudishą. Warto jednak też pamiętać, że w tym roku stawka biegaczy na 800 m jest trochę przetrzebiona. W Londynie Kszczot zdobył medal dzięki doskonałemu rozpoznaniu swoich możliwości i świetnie dobranej taktyce.

Jak to się dzieje, że od tylu lat polski rzut młotem, zwłaszcza kobiet, jest w światowej czołówce?

Przypomnijmy sobie igrzyska olimpijskie w Sydney i złoty medal śp. Kamili Skolimowskiej. Ona była pierwsza

eprasa.pl 990798db5f

i nadała całej konkurencji odpowiedni rozpęd. Dzisiaj kolejne rozdziały tej pięknej historii pisze Anita Włodarczyk, a na mistrzostwach w Londynie pokazała się jeszcze Malwina Kopron. Ta konkurencja pokazuje, że w polskiej lekkiej atletyce nie ma przypadku – procentuje systematyczna praca.

Jaką pozycję na świecie ma Paweł Fajdek, któremu kompletnie nie wyszedł start na igrzyskach olimpijskich w Rio de Janeiro?

To jest w dalszym ciągu najlepszy młociarz na świecie. Przed Londynem Paweł już dwa razy stawał na najwyższym podium mistrzostw świata. Jego występ w Brazylii potwierdził tylko starą prawdę, że dopóki medal nie zawiśnie na szyi, to nie można nikogo wirtualnie nim dekorować. Paweł jest w dalszym ciągu młodym zawodnikiem i jeszcze wiele startów i szans medalowych przed nim, bo rzut młotem to konkurencja nagradzająca długowieczność. Podobnie rzecz się ma z Konradem Bukowieckim w pchnięciu kulą, który ma ledwie 20 lat, a w Londynie stawiał sobie bardzo wysokie cele. Nie rozpaczajmy nad jego ósmym miejscem. Jeżeli za trzy lata w Tokio nie zdobędzie medalu, to dopiero wtedy będzie się można zacząć martwić. Przypomnijmy sobie, gdzie w jego wieku był Tomasz Majewski, i wtedy będzie widać, jak niesamowicie szybko rozwija się Bukowiecki.

Ostatnio furorę robi Piotr Lisek, skoczył niedawno o tyczce 6 m, a srebrny medal MŚ w Londynie tylko potwierdza jego klasę. Pan pewnie żałuje, że nie został przy uprawianiu skoku wzwyż, tylko został tyczkarzem? Byłby godnym następcą.

Piotr jest bardzo dobrze zbudowany i takie warunki fizyczne raczej by mu przeszkadzały w tym, żeby zostać wybitnym skoczkiem wzwyż, więc chyba dobrze, że zmienił konkurencję. Jeżeli nie skok o tyczce, to raczej doradzałbym mu startowanie w wieloboju. Tam mógłby się sprawdzić.

Nawet jeśli jak na tyczkarza jest nietypowo zbudowany?

Jest bardzo wielu zawodników na światowym poziomie, którzy mają podobną posturę. Może akurat Renaud Lavillenie czy Sam Kendricks temu przeczą, ale na pewno Lisek nie odbiega od średniej światowej (śmiech).

Adam Kszczot w Londynie wywalczył wicemistrzostwo świata w biegu na 800 m FOT. DAVID RAMOS/GETTY IMAGES

Anita Włodarczyk ze złotym medalem mistrzostw świata w rzucie młotem. Trzecie miejsce też należało do Polki – Malwiny Kopron FOT. ANDRZEJ BANAŚ/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Piotr Lisek cieszył się ze srebrnego medalu w skoku o tyczce FOT. MATTHIAS HANGST/GETTY IMAGES

Pan doskonale zna polską lekkoatletykę i jej potrzeby. Czy więcej pieniędzy zapewniłoby jeszcze więcej medali?

Myślę, że reprezentacja lekkoatletyczna jest finansowana na odpowiednim poziomie i naprawdę naszym zawodnikom niczego nie brakuje. Jeżdżą na zgrupowania zagraniczne, do bardzo dobrych ośrodków w USA czy na treningi wysokogórskie do RPA. Mają zapewnione takie same warunki przygotowań jak ich rywale. Nie da się tego porównać z czasami, w których ja startowałem. Oczywiście, nam władze polskiej lekkoatletyki starały się również zapewnić jak najlepsze warunki, ale czasami trzeba było doinwestować z własnej kieszeni. Problem leży gdzie indziej – tam, gdzie zaczyna się praca z kadetem czy juniorem na najniższym poziomie. To tam brakuje pieniędzy, chociaż wiem, że i na tym polu wiele się zmienia, tylko ciągle nie wystarczająco szybko. Gdyby znalazło się więcej środków na dofinansowanie pracy i dokształcanie trenerów pracujących w klubach i wyszukujących talenty, to mielibyśmy jeszcze więcej świetnych lekkoatletów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

Joanna Bojańczyk

Jaki sens ma kupowanie luksusowych marek, skoro kupuje się je na przecenach?

Luksus z drugiej ręki

Styl państwa Trumpów nie dla wszystkich jest wzorem do naśladowania, zainteresowanych jednak nie brakuje. Wydawałoby się zatem, że marka Ivanki Trump, córki prezydenta z pierwszą żoną, Czeszką Ivaną, niesie wystarczającą obietnicę glamouru, żeby dobrze się sprzedawać.

Niestety jest inaczej. Marnym ciuchom, niewiele różniącym się od produkcji tanich sieciówek, nie pomogło ani nazwisko, ani eleganckie domy towarowe w Stanach: Nordstrom, Neiman Marcus, Saks Fifth Avenue. Od wyboru Donalda Trumpa na prezydenta ciuchy zaczęły mieć problemy. Klienci je krytykowali, ktoś ostentacyjnie napluł na bluzkę przy kasie.

Co z tym zrobić? Dystrybutor marki, firma G III, wpadł na pomysł, żeby ubrania „przebrandowić", jak mówi się w żargonie marketingu. Przebrandowić, czyli zacząć sprzedawać pod inną marką i w dodatku w dyskoncie. Praktyka ta jest spotykana w biznesie i dopuszczalna, ale na ogół odbywa się z poszanowaniem prawa oraz zachowaniem środków ostrożności.

Tutaj wszystko zrobiono po cichu. Część ciuchów ometkowano jako Adrienne Cittadini (markę z renomą, od 20 lat obecną na rynku amerykańskim), po czym wprowadzono do sprzedaży w dyskontowej sieci Stein Mart – kolosie, który ma w Stanach 290 sklepów. Problem tylko w tym, że najbardziej zainteresowani, czyli właściciele Adrienne Cittadini, nic o tym nie wiedzieli. Sama Ivanka podobno również o sprawie nie miała pojęcia.

Gdy branżowy portal Business of Fashion opublikował zdjęcia identycznych ciuchów, które sprzedawano jednocześnie pod marką Ivanka Trump oraz Adrienne Cittadini, wybuchła afera. – O co właściwie chodzi? – kontratakował dystrybutor marki Trump. – Przecież to tylko tanie ciuchy w dyskoncie.

DLA ŚMIERTELNIKA

„Kultura dyskontu" to fenomen ostatnich 20 lat, reakcja obronna ludzi na księżycowe ceny markowych rzeczy i na utrzymujący się kult logo. Matecznikiem dyskontów jest Ameryka. Tam odzieżowe magazyny z przeceną od dawna cieszą się popularnością. Ulokowane przy autostradach w pobliżu dużych miast przyciągają tłumy. W Daffy's, TJ Maxxie, Marshallu, polując na okazje, spędzają poranki niepracujące panie domu. Trzeba mieć dużo czasu i cierpliwości, bo powierzchnie są gigantyczne, a dostawy codzienne. Wytrwałość jednak procentuje. Znam Polki, które całe rodziny w Ameryce i w ojczyźnie zaopatrują w Marshallu w „markowe" rzeczy. System działa również w Euro-

eprasa.pl 990798db5f

Kolekcja firmowana przez Ivankę Trump trafiła potem do outletów

FOT. JOHN LAMPARSKI/GETTY IMAGES

pie. W strefie outletów pod Mediolanem autokary wypluwają wycieczki turystów bardziej zainteresowanych kupnem przecenionych dżinsów Armaniego niż zwiedzaniem katedr.

Królem dyskontów jest TK Maxx, właściciel 440 sklepów na świecie, ośmiu w Polsce. „Koncepcja firmy opiera się na unikatowym modelu off-price, który polega na sprzedaży produktów znanych marek i projektantów po okazyjnych cenach" – wyjaśnia właściciel. „Luksus zarezerwowany dla gwiazd będzie od tej pory dostępny dla zwykłego śmiertelnika" – zachwalał TK Maxx, otwierając sklep w Warszawie w 2010 r. Ulokowany jest na Marszałkowskiej, w wąskiej przestrzeni wciśniętej między domy towarowe. Cokolwiek lumpeksowy wygląd wnętrza, konieczność grzebania w stosach stłoczonych i pogniecionych ubrań, butów, toreb, ciasnota, tłok w przymierzalniach nie odstraszają klientów. Na elegancję wnętrza przestaje się zwracać uwagę, gdy włącza się instynkt łowczy. Trofeum w postaci markowego ciucha lub sprzętu kuchennego z designerskim podpisem rekompensuje niewygody.

Na produkcie są zawsze umieszczone pierwotna cena oraz cena po zniżce. Półki i wieszaki pełne są ubrań.

Dyskonty potrafią skutecznie przetrawić niesprzedawalną nadwyżkę produkcji odzieżowej. W systemie fast fashion góra ciuchów rośnie co rok. Jak się ich pozbyć? Marki z wyższej półki niechętnie umieszczają swoje produkty w dyskontach, gdyż to obniża ich renomę. Jest na to sposób: artykuł można „przebrandowić" albo pozbawić metki z marką.

Każdy, kto kupował w outlecie, natknął się na koszulę czy sweter z obciętą metką. Producenci robią to, żeby nie degradować marki – pozycjonujący się wysoko dom mody nie chce, żeby jego ciuchy leżały w dyskoncie wymieszane z nie wiadomo czym. Odcięta metka ma także inną zaletę: wabiąc klienta tajemnicą, rozbudza jego zainteresowanie. Klient zaczyna myśleć, że trafił na wyjątkową okazję.

ILUZJA

Kult logo, tworu marketingowego ostatnich 30 lat, ma się dobrze i żadne defetyzmy Naomi Klein nie były w stanie mu zaszkodzić. Markowa metka daje poczucie wyższego statusu, wobec tego mechanizmu na styku ludzkiej próżności, ambicji i sprytu psychologowie są bezradni.

Kiedyś luksus był elitarny, dziś stał się masowy. Jednak jeśli za luksus można uznać zegarek Patek Philippe, ręcznie wykończony kostium Yves Saint Laurent z jedwabną podszewką, to co z okularami Chanel za 300 euro, T-shirtem Moschino, dżinsami Calvin Klein szytymi gdzieś w fabryce pod Szanghajem? Ludzie zaczynają się zastanawiać, czy za ten pseudoluksus rzeczywiście warto tyle płacić. Zadają sobie pytanie, ile ta rzecz naprawdę jest warta. Nie ma co liczyć, że tego rodzaju informacje wyciągnie się od producentów. „The Financial Times" napisał, że wyprodukowanie markowej torby kosztuje 10 proc. jej ceny. Rozziew między ceną produkcji a ceną w sklepie widać na targach handlowych, gdzie producenci oferują towar sklepom detalicznym. Na paryskich targach Premiere Classe, gdzie wystawiają się producenci ubrań i dodatków z całego świata, najwyższej jakości szal kaszmirowy, za który w sklepie trzeba zapłacić 800 euro, u producenta kosztuje 150. Relacje cenowe najlepiej widać na przykładzie galanterii, bo tam system logo działa najbardziej aktywnie.

Producenci luksusu jednak twardo trzymają ceny. Ich towar nie może stanieć. Louis Vuitton, Chanel nie uznają przecen. Alessandra Galloni, dziennikarka „The Wall Street Journal", opisała kiedyś, jak na jej oczach Patrizio Bertelli, mąż Miucci Prady, który twardą ręką rządzi jej biznesem, wezwał na dywanik dyrektora eleganckiego nowojorskiego domu towarowego Neiman Marcus. Ów starszy pan śmiał przecenić torby Prady, gdy w 2008 r. Amerykę dopadł kryzys i klienci przestali kupować. – Nasza marka nie może być tania – grzmiał Bertelli.

KOSTIUM KĄPIELOWY W STYCZNIU

Rytm mody stał się tak szybki i absurdalny, że ludzie nauczyli się czekać na wyprzedaże. Gdy zimowa kolekcja wchodzi do sklepów w lipcu, a letnia w styczniu, lutym, klienci wolą zaczekać do wyprzedaży i płaszcz kupić w styczniu, a kostium kąpielowy w czerwcu. Część towaru nie sprzeda się jednak nawet na wyprzedaży. I to, co zostanie, a jest tego coraz więcej, trzeba gdzieś upchnąć. Kto zauważy różnicę, czy męski sweter, płaszcz o klasycznym kroju albo spodnie pochodzą z kolekcji zeszłorocznej, czy sprzed dwóch lat? Moda zmienia się często, ale styl utrzymuje się kilka lat. Tylko fanatycy i insiderzy potrafią rozpoznać, z którego roku pochodzi dana rzecz.

Nadmiar trafia do outletów. Te wyszły naprzeciw zmieniającym się przyzwyczajeniom zakupowym w grupie młodych klientów (zbierających darmowe kupony, uczestniczących w programach lojalnościowych, kupujących rzeczy używane). Z badań wynika, że w outletach zaopatrują się najczęściej zamożni i wykształceni Polacy. Pierwsze centrum wyprzedażowe powstało w 2002 r. w Warszawie. Teraz są trzy, w całej Polsce 13, pod względem nasycenia mamy ich najwięcej w Europie Środkowej, a wciąż planuje się budowy kolejnych.

A zatem kupujmy, kupujmy. Trzeba upchnąć te ciuchy do naszych szaf, bo ich góra rośnie...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 990798db5f

Eger
Śladami Istvána Dobó

Historia bohaterskiej obrony egerskiego zamku przed Turkami obecna jest na każdym kroku FOT. FOTOLIA

Piotr Semka

Warto zajrzeć do Egeru – miejsca chwały Madziarów. Miasta, które jest symbolem walki z wojującym islamem

W największym skrócie István Dobó to węgierski odpowiednik pana Wołodyjowskiego. Obaj ci bohaterowie literaccy mieli autentyczne prawzory w postaci kresowych rycerzy walczących z islamską nawałą, tyle że Dobó żył w XVI w., a „prawdziwy" Wołodyjowski w XVII stuleciu. Odpowiednikiem naszego Henryka Sienkiewicza był na Węgrzech pisarz Géza Gárdonyi (1863–1922), który w 1899 r. wydał bijącą do dziś rekordy poczytności książkę „Gwiazdy Egeru". To przypominająca „Trylogię" opowieść o Węgrzech zmagających się z kryzysem państwa, wiarołomstwem Habsburgów i najazdami Turków. Głównym tematem powieści jest obrona węgierskiej twierdzy Eger w 1552 r. pod wodzą komendanta twierdzy Istvána Dobó. Jest jednak jedna różnica. Polska utraciła swoją legendarną twierdzę – Kamieniec Podolski – po II rozbiorze,

eprasa.pl 990798db5f

224 lata temu, a Węgrzy zamek w Eger mają w swych granicach do dziś. I aż się prosi, by zajrzeć do tego miejsca chwały Madziarów. Od przejścia granicznego ze Słowacją w Barwinku do tego historycznego miasta jest jedynie 270 km.

„Gwiazdy Egeru" wydano w Polsce w 1962 r. i można je kupić w Internecie. Mniej ambitni mogą w ośrodku informacji turystycznej (Eger, Bajcsy-Zsilinszky Endre út 9) nabyć komiks po polsku stworzony na podstawie powieści. A że tematyka naporu islamskiego jest na czasie, wizyta w mieście symbolu walki z wojującym islamizmem wyjaśni wam, dlaczego Viktor Orbán jest tak wyczulony na migrację z Bliskiego Wschodu. I jeszcze jedno – „útca" to po węgiersku ulica, a „tér" to plac.

1. Zaczynamy od zwiedzenia zamku (wejście od Tinódi Sebestyén tér). Aktualną formę forteca przyjęła w XIII w. W 1701 r. Austriacy wysadzili połowę zamku. Od 1925 r. zaczęto prace archeologiczne i rekonstrukcyjne, ale wojsko opuściło warownię dopiero w 1957 r. W czasie wojny na terenie zamku istniał obóz internowania dla polskich żołnierzy, którzy po kampanii 1939 r. zbiegli na Węgry. Od lat 60. zaczęto zamek zamieniać w obiekt muzealny.

Obejdźcie mury, obejrzyjcie fundamenty dawnej katedry. W dawnym pałacu arcybiskupim znajdziecie zamkowe muzeum (oczywiście imienia Istvána Dobó). Dość staroświecka wystawa obejmuje znaleziska archeologiczne, broń, zbroje i szyszaki z epoki oblężenia plus parę scenek rodzajowych ze średniowiecznych Węgier z udziałem manekinów. Codziennie o godz. 15.52 zamkowe działo oddaje pamiątkową salwę.

Na jednym z wałów zamku znajdziecie grób Gézy Gárdonyiego z napisem: „Tylko ciało" – to aluzja, że duch pisarza otacza nas tu zewsząd.

2. Idąc wzdłuż murów zewnętrznych w kierunku zachodnim, przy DobóIstvàn út 34 odnajdziemy rekonstrukcję namiotu paszy oblegającego zamek, a nieco dalej zostawiony na pamiątkę tureckiej epoki minaret zwieńczony krzyżem. Turcy zdobyli miasto bez walki w 1596 r., czyli 44 lata po bohaterskiej obronie.

3. Oprócz minaretu pamiątką po tureckich czasach są termy egerskie, w których przekonacie się, jak gorące są tutejsze źródła (Török Fürdő, Fürdő út 3).

4. Po kąpieli można zajrzeć na rynek miejski, czyli István Dobó tér z wielkim pomnikiem bohatera. Na wysokości pomnika, na murze dawnego kolegium franciszkańskiego, obejrzeć można tablicę ku czci tutejszego przedwojennego regimentu honwedów imienia Istvána Dobó, który znalazł zagładę w stepach Donu w czasie ostatniej wojny.

5. Skoro już jesteśmy w Egerze, to warto zerknąć na tutejsze polskie pamiątki. Na ulicy Lajosa Kossutha 16 obejrzyjmy rokokowy pałac prałatów kapituły diecezji egerskiej, w którym w dniach 25–26 lutego 1849 r. odbyła się narada sztabowa wojsk rewolucji węgierskiej z udziałem naszego gen. Henryka Dembińskiego przed bitwą z Austriakami pod Kápolną (25 km na południowy zachód do Egeru).

Na Érsek út 3 warto rzucić okiem na tablicę pamiątkową ku czci polskiego gimnazjum, które istniało tu w latach 1940–1944, a stworzone zostało dla polskich jeńców. Wejście do bazyliki katedralnej św. Jana (Pyrker János tér 1) zdobi figura św. Władysława – wnuka Bolesława Chrobrego, w środku świątyni znajdziemy zaś ołtarz ku czci św. Maksymiliana Kolbego z polskimi napisami. A jeśli traficie do Egeru w wakacyjną niedzielę, to o godz. 10 rano w kościele św. Antoniego Padewskiego na – gdzieżby indziej? – István Dobó tér odbywają się msze po polsku. Frekwencja polskich turystów jest imponująca, kościół zawsze jest pełny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

RYS. PEGAZ

István Dobó (ok. 1502–1572) *był węgierskim rycerzem, najbardziej znanym z udanej obrony zamku Eger w 1552 r. przed oblężeniem wojsk tureckich. Pochodził ze średnio zamożnej szlachty z północnych Węgier. W rywalizacji między habsburskim królem Węgier Ferdynandem a węgierskim kontrkrólem Janem Zápolyą Dobó stawał zazwyczaj po stronie Austriaka, który po tragicznym dla Madziarów pogromie wojsk węgierskich pod Mohaczem w 1525 r. zgłosił pretensje do korony św. Stefana. Komendantem twierdzy Eger został w 1549 r. Przez kolejne trzy lata wzmacniał mury warowni. W 1552 r. na czele 2,1 tys. obrońców obronił zamek przed 80-tysięczną armią Alego Paszy podległą tureckiemu sułtanowi Sulejmanowi. W nagrodę za ten wyczyn w 1553 r. król Ferdynand obdarzył go tytułem wojewody Transylwanii oraz zamkami Déva i Szamosújvár. Gdy Siedmiogród oficjalnie oddzielił się od Węgier podległych Habsburgom, Dobó dostał kolejny zamek – Léva (Levice) na terenie dzisiejszej Słowacji. Oskarżony o spiskowanie przeciw Habsburgom Dobó został wtrącony do lochów zamku w Pożoniu (dziś Bratysława). Wycieńczony zimnem i wilgocią aresztu zmarł w domu kilka miesięcy po zwolnieniu z więzienia.* © ℗

Coś na ząb po egersku

Gastronomia dla turystów skupia się wokół trasy na zamek przy István Dobó út oraz na głównym spacerowym corso miasta – Széchenyi Istvàn út. Jadłospisy są nużąco podobne: zupy gulaszowe, pikantne polewki rybne, gołąbki, kaczki i paprykarze.
Najlepsze desery węgierskie znajdziecie w cukierni koło zamku w Marján Cukrászda na Lajos Kossuth út 28.
Jeśli jednak macie ochotę uciec od lokali z napisami „original hungarian cuisine" i poobcować z kulturą winiarską na wysokim poziomie, to zajrzyjcie do winiarni Fúzió Tibora Gála na Csiky Sàndor út 10. Tibor Gál był pionierem odrodzenia winiarstwa egerskiego po „masówce" produkcji win z epoki komuny. Gál zginął w wypadku samochodowym w 2005 r., a jego dzieło kontynuują syn i córka. Tutaj można spróbować, jak smakuje prawdziwe słynne egerskie wino Egri bikavér, czyli Bycza Krew (nazwa wina to pamiątka po opowieściach Turków, którzy tłumaczyli swoją porażkę bajeczką, że nadzwyczajna siła obrońców zamku była efektem picia byczej krwi). Wybierzcie degustację kilku gatunków koniecznie z talerzem tradycyjnych zakąsek węgierskich. Smacznego! © ℗

eprasa.pl 990798db5f

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Żarłok słońcem królów

Król Słońce, Ludwik XIV, znany był nie tylko jako najpotężniejszy europejski monarcha, lecz także niezwykły żarłok pochłaniający posiłki złożone z kilku dań. Jak podaje Georges Bordonove, chociaż na śniadanie wypijał tylko bulion lub filiżankę szałwii, to na obiad podawano ogromną liczbę potraw. Zwykle król zjadał je sam, we własnej komnacie w Wersalu. Na stół trafiały mocno przyprawione zupy i polewki, świeże melony, kandyzowane owoce i ciasto – a wszystko popijane winem rozcieńczonym wodą. Według relacji dworzan na jedno posiedzenie król potrafił zjeść cztery talerze różnych zup, bażanta, kuropatwę, baraninę w sosie cebulowym, dwa grube plastry szynki, talerz ciast oraz poprawić owocami i konfiturami.

Jeszcze obfitsze bywały oficjalne kolacje, które spożywał o szóstej, w towarzystwie domu królewskiego i gości – zwykle synów i córek, także tych z nieprawego łoża. Podawano wówczas wiele dań – najpierw jednak zupy i przystawki, potem mięsa pieczone, na końcu owoce i desery. Wytworny król Francji, którego obyczaje powtarzano, jadł te wszystkie potrawy palcami.

Ludwik Słońce lubił na stole świeże warzywa i owoce – dlatego w Wersalu założył ogromny ogród i szklarnie, dzięki którym prawie o każdej porze roku dostarczano mu truskawki, szparagi, ponadto ananasy, figi, melony, cukinie i karczochy. Król miał przez całe życie tak dobre zdrowie, że przetrwał nawet praktyki XVII-wiecznych lekarzy, zwykle pogarszające zdrowie pacjenta. Zapewne czuł się dobrze dzięki aktywnemu trybowi życia, a przede wszystkim – namiętnemu uprawianiu sportu, jakim dla każdego szlachcica w Europie było polowanie. „Poluje on często, ale poznać od razu, że czyni to raczej z chęci przebywania na powietrzu i dla pozbycia się tuszy, aniżeli z zamiłowania dla tego sportu" – pisał o nim ambasador Wenecji. Dzisiaj znamy już także przyczyny gigantycznego głodu króla – Ludwik cierpiał na nieprzyjemną chorobę jelit, o której jednak nie będę pisał, bo przyrzekłem sobie na tej stronie nie opisywać rzeczy obrzydzających jedzenie.

Siły zaczęły opuszczać go dopiero pod koniec życia. Kiedy wyrwano mu zęby, uszkadzając przy tym kawałek podniebienia, zasmakował w potrawach niewymagających przeżuwania. Podobno właśnie dla niego stworzono zająca po królewsku przygotowywanego z mięsa tak miękkiego, że rozpływało się w ustach i nie było ono kłopotem dla kogoś nieposiadającego uzębienia.

Za czasów Ludwika XIV francuska sztuka kulinarna przeżywała rozkwit. Pojawiły się buliony, nowe rodzaje potraw, a przede wszystkim podręczniki kulinarne. Wiele opisanych tam potraw upowszechnił u nas Stanisław Czerniecki. ©℗

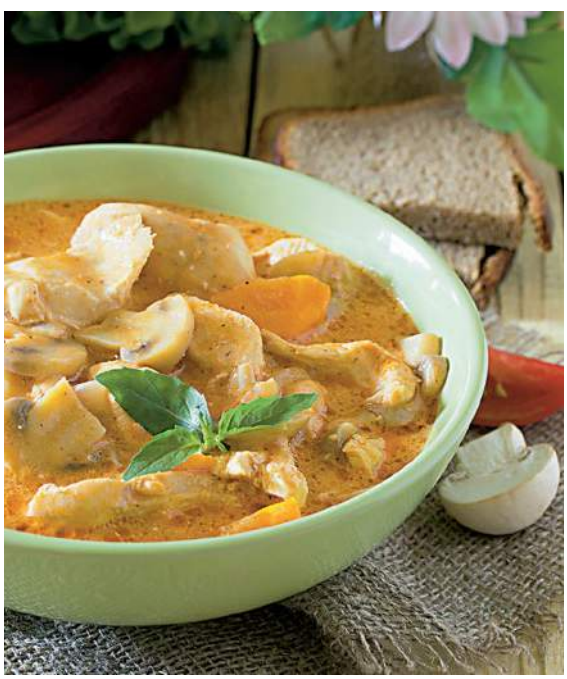

FOT. FOTOLIA

Zając po królewsku

Comber z zająca myjemy, zalewamy kilkoma szklankami rumu, wkładamy w gliniany garniec i pozostawiamy pod przykryciem w bardzo chłodnym miejscu lub lodówce przez 24 godz. Następnie wyjmujemy, osuszamy, doprawiamy pieprzem, solą, musztardą, posypujemy kilkoma łyżkami pszennej mąki. Potem przyrumieniamy mięso na dobrze rozgrzanym smalcu lub maśle. Polewamy rumem i dusimy na małym ogniu pod przykryciem, aż zrobi się miękkie. Następnie wyjmujemy je, usuwamy kości i kroimy w kostkę jak gulasz. Osobno obieramy 20 dag pieczarek, kroimy je w paski, smażymy na maśle, studzimy, dodajemy kilka łyżek majonezu, pół szklanki ubitej śmietanki, dorzucamy mięso i dwie łyżki stołowe whisky lub śliwowicy. Mieszamy razem, podgrzewamy i potem układamy na półmiskach udekorowane pokrojonymi brzoskwiniami z kompotu.

Baranek z kaparami

Bierzemy 0,5 kg baraniny, usuwamy kości, moczymy kilka godzin w wodzie, potem osuszamy i podsmażamy. Następnie zalewamy rosołem (może być barani). Solimy, dorzucamy kilka łyżek masła. Gotujemy, aż mięso zrobi się miękkie. Wtedy dodajemy trochę rozrobionego z miodem, mocno rozcieńczonego octu winnego, drobnych rodzynków, cukru, pieprzu, cynamonu i wreszcie kaparów. Podgrzewamy i podajemy na ciepło.

eprasa.pl 990798db5f

SPOSÓB NA UPAŁ – GAZPACHO WEDŁUG ROBERTA MAKŁOWICZA

Polska jest w tej chwili gorącym miejscem, choć i tak jeszcze cieplej jest w Andaluzji. Kuchnia może pomóc w znalezieniu ochłody. Andaluzyjczycy mają niezwykle prosty sposób radzenia sobie z upałami, mianowicie zawsze w lodówce mają świeżo zrobione gazpacho. Jest to danie bajecznie proste do zrobienia, wspaniale chłodzi oraz jest źródłem potasu i magnezu. Zupa genialna na upał, zwłaszcza gdy dodamy do niej kostki lodu.

Składniki:

• pomidory • świeża papryka • cebula • oliwa • ocet winny • kmin

Przygotowanie:

Dojrzałe w słońcu pomidory obieramy ze skórki i wrzucamy do blendera. Możemy je odpestkować, ale nie jest to konieczne. Dodajemy trochę świeżej papryki, odrobinę cebuli i blendujemy. Powstaje papka, którą rozrzedzamy źródlaną wodą, i do smaku – oliwą oraz octem winnym. Dodajemy trochę posiekanego kminu (nie mylić z kminkiem – chodzi o kmin rzymski) i solimy. Kiedy uzyskamy konsystencję zupy, danie należy mocno schłodzić. Podajemy na stół bardzo zimne, posypawszy po wierzchu grzankami, posiekaną w kostkę papryką i cebulą. Na stole stawiamy też ocet winny i oliwę, jeśli ktoś będzie chciał dodatkowo przyprawić swoją porcję.

Jest jeszcze jedna fantastyczna wersja gazpacho, nazywa się ajo blanco. Podstawowym składnikiem są migdały, które należy sparzyć, obrać ze skórki i zblendować. Dodajemy nieco czosnku i ośródki chleba namoczonej wcześniej w wodzie i occie winnym. Miksujemy, rozcieńczamy wodą źródlaną do konsystencji zupy i dodajemy nieco oliwy. Ajo blanco możemy podać z kostkami zimnego melona. Również fenomenalna rzecz na upał. ©℗ ***oprac. raw***

Robert Makłowicz jest dziennikarzem, publicystą, krytykiem kulinarnym, podróżnikiem i pisarzem.

FOT. BOGDAN KRĘŻEL/FORUM

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Księga 28 ziół

Superfood z ogrodów, łąk i lasów" Karin Greiner (wyd. Muza) to wyjątkowo sympatyczna i pożyteczna książka. Trochę podręcznik botaniki, trochę gotowania, trochę o zdrowiu. Przyda się naszemu zurbanizowanemu plemieniu, które nie odróżnia sosny od dębu, jęczmienia od owsa, nie mówiąc o kwiatkach, które teraz kwitną na łąkach.

Nie dość, że ładne, to jeszcze te rośliny są jadalne. Jak się okazuje, superżywności, która teraz jest na ustach wszystkich, nie trzeba kupować w supermarkecie, sprowadzanej z nie wiadomo skąd. Tybetańskie jagody goji, południowoamerykańskie jagody acai, tropikalne orzechy kokosowe... To wszystko jest OK. Jednak czy nie lepiej jeść to, co rośnie niedaleko pod płotem, na łące, w lesie? Nie trzeba tego konserwować, przewozić, nie dojrzewa to w skrzynkach na statku. Na szczęście lokalne, najpospolitsze rośliny odzyskują powoli należne im miejsce w naszym jadłospisie.

Jednak trzeba je znać i umieć zastosować. Książka Karin Greiner uczy znajdować i przyrządzać 28 ziół. Które zjeść jako sałatę, których użyć jako przyprawy, a które wrzucić do smoothie, którym będziemy się ratować przed zimowym deficytem witamin. Kwiaty, pędy czy korzenie?

Oto zachwala się słynny już rokitnik, który zawartością witaminy C bije na głowę cytrusy, czarną porzeczkę i natkę pietruszki. Nie ma takiej obróbki cieplnej, która by go jej pozbawiła. Jedzmy, pijmy, dodawajmy, do czego się da. Kupujmy sok.

KARIN GREINER „SUPERFOOD Z OGRODÓW, ŁĄK I LASÓW" MUZA

Lebiodka pospolita – oregano – rośnie także u nas, trzeba tylko umieć ją znaleźć. Zawiera olejki eteryczne, witaminy, potas, wapń i żelazo. Jest naturalnym antybiotykiem, zabija wirusy i grzyby. Zbieramy jej liście, kwiaty, czubki pędów z pączkami i kwiatami. Jemy świeże lub suszone. Koniczyna dobra nie tylko dla krów – jej świeżo rozwinięte kwiaty uchronią przed chorobami układu krążenia. Kminku, wyładowanego wysokowartościowymi białkami roślinnymi, szukajmy na suchych nasłonecznionych łąkach, jedzmy świeży lub suszony, dodawajmy do wzdymających potraw. Mniszek pospolity ma już swoją sławę zdrowotności. Jadalne są jego listki, pąki, kwiaty i korzenie. Kto pielił trawnik, wyrzucając z furią te na żółto kwitnące rośliny, ten wie, jak duże mają korzenie. Zamiast wyrzucić, zjedzmy je. Największym zaskoczeniem w tej książce są liście. Jadalne są nie tylko liście drzew liściastych: brzozy, buka, czereśni, głogu, leszczyny, lipy, lecz także pędy świerkowe, sosnowe (wie o tym każdy, kto zna nalewkę sosnówkę) i modrzewiowe. Młode, wiosenne to listowie zawiera chlorofil, białko, witaminy. Jedzmy liście młode, gdy są delikatne i łatwo przyswajalne. ©℗

eprasa.pl 990798db5f

NASZ TEST: AUDI S4 AVANT

Wiele jest aut praktycznych i nudnych. Są też na szczęście i takie modele, które są zarówno użyteczne, jak i zaskakująco ciekawe. Testowane Audi należy do tej drugiej grupy. Z zewnątrz kombiak z czterema pierścieniami w logo specjalnie niczym szczególnym się nie wyróżnia – to, że jest to odmiana sportowa, można poznać tylko po dyskretnych detalach, np. znaczku z tyłu auta, nieco zmienionym grillu w szarym kolorze czy czterech końcówkach układu wydechowego.

Trzylitrowy silnik o mocy 354 KM sprawia jednak, że to świetny samochód dla miłośników szybkiej jazdy, którzy wyrośli już z typowych aut dla singli i zamiast wozu o wyglądzie drogowego chuligana szukają teraz czegoś bardziej rodzinnego i stonowanego.

W KABINIE

Wnętrze S4 jest bardzo przestronne. Minimalistyczny design i precyzyjnie spasowane materiały wysokiej jakości dają wrażenie elegancji. Wygodne sportowe fotele świetnie podtrzymują ciało. Niezłe wrażenie robi również opcjonalny wirtualny kokpit. Wielkość kufra, którego pojemność wynosi 505 l (po złożeniu siedzeń wzrasta do 1510 l), jest zadowalająca.

JAZDA

Benzynowy silnik V6 o pojemności 3 l z bezpośrednim wtryskiem i turbodoładowaniem potrafi wygenerować moc aż 354 KM. Tyle koni pod maską sprawia zaś, że uśmiech na twarzy kierowcy pojawia się zawsze przy mocniejszym naciśnięciu gazu. Usportowione kombi Audi od 0 do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 4,9 s. Maksymalna prędkość jest teoretycznie ograniczona elektronicznie do 250 km/godz., ale w praktyce po osiągnięciu tej szybkości nadal można jeszcze trochę docisnąć gaz.

Osiąganiu tak wysokich prędkości sprzyja to, że auto jest też świetnie wyciszone, a warkot potężnego silnika jest ograniczony do poziomu, w którym wciąż jest on niezwykle przyjemny dla ucha. Model S4 bardzo dobrze trzyma się też drogi. Jest to zasługa m.in. napędu quattro z mechanizmem sterowania rozkładem momentu obrotowego między kołami. Innymi słowy: jeśli np. bardzo szybko wchodzimy w zakręty, to koła po wewnętrznej są delikatnie przyhamowywane, aby ułatwić bezpieczne pokonywanie serpentyn. W razie potrzeby komputer przekazuje też większą część mocy silnika z tylnej osi na przednią, jeśli akurat ona ma lepszą przyczepność (zazwyczaj 60 proc. mocy trafia na tylną oś, a 40 proc. na przednią).

Bardzo dobrze sprawdza się również ośmiobiegowa skrzynia biegów. Przełożenia pierwszych biegów są odpowiednio krótkie, aby móc szybko osiągać wyższe prędkości. System drive select pozwala z kolei wybrać m.in., czy chcemy jechać ekonomicznie, komfortowo czy dynamicznie. Miłośnicy sportowej jazdy mogą być jednak minimalnie rozczarowani niewystarczającą liczbą informacji o położeniu kół, które otrzymuje kierowca podczas jazdy w dynamicznym trybie.

Dla właścicieli aut, które w nazwie mają „S" lub „RS", spalanie ma mniejsze znaczenie niż dla zwykłych śmiertelników. Dla porządku podajmy jednak, że średni apetyt testowanego S4 wynosił w cyklu mieszanym 9,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Audi A4 zdobyło komplet pięciu gwiazdek. Auto jest też wyposażone w elektronicznych asystentów, którzy ostrzegą przed innymi samochodami w martwym polu lusterek oraz ułatwią jazdę w korku czy wyjazd z zatłoczonego parkingu.

CENA

Sportowe emocje w kombi do tanich nie należą. Za Audi S4 Avant trzeba zapłacić ok. 400 tys. zł. Około, bo choć teoretycznie można je dostać kilkadziesiąt tysięcy taniej, to lista fajnych, acz kosztownych opcji dodatkowych, które chciałoby się mieć w takim aucie, jest bardzo długa.

KONKURENCI

BMW M3, Mercedes-AMG klasa C, Lexus IS ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 990798db5f

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Brudne intencje

MARCIN MAKOWSKI: Protesty na ulicach, napięte relacje z UE, kryzys na linii rząd – prezydent, tymczasem w sondażach PiS notuje kolejne rekordy. Wyborcy lubią, gdy dużo się dzieje?

MATTHEW TYRMAND: Kolejny raz zacznę od tego, że obecna sytuacja polityczna w Polsce bardzo przypomina amerykańskie podwórko. I tu, i tam niewielka grupa „wpływowych" elit stara się narzucać społeczeństwu narrację, że rząd jest o krok od upadku, pałacowe intrygi przybierają na sile, a cały świat z przerażeniem obserwuje rozwój wypadków. W przypadku Polski na wyborców działa również efekt walki o suwerenność narodową przy ciągle rosnącym apetycie politycznym Brukseli. Dziennikarze i politycy opozycji mogą podnosić lament, że konfliktujemy się z unijnymi instytucjami, ale to, co obchodzi wyborców, to np. komunikat, że zaproponowanie kobietom szybszego przejścia na emeryturę uderza w równouprawnienie. Jakoś gdy PO podniosła wiek emerytalny, żadnego zaniepokojenia Komisji Europejskiej nie było. Owszem, w Waszyngtonie i Warszawie trwa ostry spór polityczny, ale choćby to, że następują korekty kursu, prezydent wetuje szkodliwe ustawy, toczy się dialog, a prawo nie jest stanowione odgórnymi nakazami, sprawia, że mówimy o żywej demokracji, która nie jest zagrożona. Jeśli wszystkie lewicowo-liberalne partie razem wzięte mają mniej poparcia niż ten „dyktatorski" rząd, to chyba warto przemyśleć dlaczego.

Tymczasem w Stanach sondaże wskazują, że Trump cieszy się najniższym poparciem od początku kadencji. I co?

I nic. Te same sondażownie przekonywały dwa tygodnie przed wyborami, że Hillary Clinton ma 99 proc. szans na zwycięstwo. Nie można im ufać, ponieważ wielokrotnie udowadniały, że nie tyle mierzą nastroje opinii publicznej, ile starają się je nieudolnie kreować. Tymczasem wystarczy spojrzeć choćby na wskaźniki gospodarcze, historyczne wzrosty na giełdzie czy historycznie niski poziom bezrobocia w USA. Oprócz tego wskaźnik nielegalnej imigracji na granicy z Meksykiem znacznie się zmniejszył, i to nawet bez budowy muru. Gwarantuję ci, że to właśnie te kwestie interesują przeciętnego Amerykanina, a nie to, kto jest szefem komunikacji Białego Domu.

Czyli twierdzisz, że te same środowiska popełniają ten sam błąd w zakrzywianiu rzeczywistości, przez który już raz przegrały? FBI, które przeszukało niedawno dom Paula Manaforta, szefa kampanii wyborczej Trumpa, to też spisek przeciwko prezydentowi?

Siłowe przepychanie własnej narracji to nie błąd, ale jedyna strategia tracących wpływy elit. Tak jak w polskiej opozycji, tak w Ameryce nie uznano, że ktoś się pomylił, ale że krzyczał i protestował za cicho przeciw kandydatowi republikanów. O Manaforcie rozmawialiśmy już chyba rok temu, od początku uważałem jego zatrudnienie za błąd, ale to on się musi tłumaczyć przed służbami, a nie cała administracja Białego Domu, z którą od dawna nie ma niczego wspólnego. Zwróć uwagę, że ten sam mechanizm powtarza się w Polsce. Ze szczegółu wyprowadza się wniosek ogólny. Prezydent spiera się z szefem MON albo ministrem sprawiedliwości? Wojna na górze i koniec świata. Rząd nie chce się godzić na pisanie prawa przez Brukselę? Krok od polexitu. Praktycznie w ciemno można przyjąć, że za takimi konkluzjami stoją ludzie, w których interesie jest utrzymanie status quo. Ostatnio posprzeczałem się na Twitterze z Marcinem Zaborowskim, szefem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych za czasów Sikorskiego. Próbował wywołać poruszenie faktem, że skrytykowałem ambasadora USA w Polsce. Zamiast odnieść się do argumentów, zarzucił mi, że brałem pieniądze z MSZ, co jest bzdurą. Gdy odbiłem piłeczkę i zapytałem o prywatne mieszkanie finansowane za czasów jego prezesury w Warszawie z pieniędzy ministerstwa – zamilkł. Ten sam typ ludzi w obu krajach zrobi wszystko, aby zatuszować swoje błędy. Dlatego nie wierzę w ich czyste intencje. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

eprasa.pl 990798db5f

OKIEM BLOGERKI

Wypychanie prezydenta

KATARYNA

JERZY TARGALSKI: Andrzej Duda Prezydent postanowił przejść do odebrania tego, co się w ciągu ostatnich dwóch lat „ubekistanowi" wymknęło. Zaczął kontynuować zadanie przywrócenia kontroli „ubekistanu" nad wojskiem. Chodzi bowiem o to, by „ubekistan" miał pełną kontrolę nad wojskiem, którą zaczął systematycznie tracić. Powiedzmy sobie wprost: Andrzej Duda srebrny łańcuszek, który go łączył z Jarosławem Kaczyńskim, zerwał i w zamian za to wybrał nałożone przez bezpiekę solidne, niemieckiej roboty dyby. Jeżeli na tym ma polegać niezależność i wolność, to ja wolę takiej wolności nie doświadczać.

Andrzej Duda to bodajże jedyna naprawdę udana inwestycja kadrowa Prawa i Sprawiedliwości

Choroby autoimmunologiczne to choroby, w których system odpornościowy organizmu zaczyna atakować własne komórki i tkanki. Taka właśnie polityczna choroba autoimmunologiczna toczy PiS i – sądząc po ostrym przebiegu – wykończy go, zanim opozycja się ogarnie i zacznie zasługiwać na przejęcie władzy. Co, niestety, fatalnie wróży nie tylko samej „dobrej zmianie" – coraz bardziej pracującej na ten cudzysłów – lecz przede wszystkim Polsce, bo przy takiej władzy opozycja wcale nie musi się starać, żeby swoje wziąć. Władzę dostanie od takich jak Targalski, człowiek bez najmniejszej przesady całkiem intelektualnie i emocjonalnie zniewolony przez „ubekistan". Bo czym innym jest taka obsesja?

Andrzej Duda to bodajże jedyna naprawdę udana inwestycja kadrowa Prawa i Sprawiedliwości od czasu, kiedy Lech Kaczyński wynalazł „muzealników", i jedyna naprawdę dobra zmiana personalna od czasu, kiedy Jarosław Kaczyński ich z partii wypchnął. Przy całym szacunku należnym człowiekowi, który zbudował masową partię polityczną, wiele wyborów personalnych z czasem okazywało się, jeśli nie porażkami, to takimi sobie wzmocnieniami. Niestety, lekkomyślna łatwość, z jaką wypchnięto z PiS Ołdakowskiego czy Kowala, znowu daje o sobie znać i pewnie gdyby można było prezydenta odwołać, to w partii – a na pewno w żelaznym elektoracie – już zbierano by podpisy pod wnioskiem.

Jeśli PiS nie zmądrzeje i nie przewartościuje swojego stosunku do Andrzeja Dudy, to może go wkrótce postawić przed wyborem: wrócić do nieszanowanego przez żadną ze stron Adriana i liczyć na to, że w nagrodę prezes pozwoli poadrianować kolejną kadencję, czy poprzestać na jednej kadencji, za to dokończyć ją w stylu pozwalającym zasłużyć na szacunek u tej ze stron, u której ma nań jeszcze szanse. Na razie PiS zdaje się pewny, że jest w stanie prezydenta zadrianizować konsekwentnym obrażaniem go i wypychaniem ze wspólnoty „dobrej zmiany". Ciekawe, czy ma jakiś pomysł na wypadek, gdyby to prezydent podziękował za kolejną kadencję, uznając, że miejscówka w pałacu nie jest warta ceny, jaką mu każą za nią płacić. I jak sobie wyobrażają udział regularnie znieważanego prezydenta w kampaniach wyborczych PiS, gdy znowu trzeba będzie na chwilę schować Macierewicza i pokazać inną twarz. ©℗

PODSŁUCHANE

Porachunki na rachunki

To jak, Sławek, wypuścisz to? Tylko wiesz, dyskretnie.
Grzesiu, jasne, że dyskretnie. Potem będziemy sobie patrzeć, jak się Radzio kręci w kółko i próbuje sprawdzić, kto mu to zrobił. He, he.

Ale jesteś pewien? Bo mogę dać komuś innemu – Kini, Szczerbie...
No co ty. To idioci są przecież. Młode to i głupie, nie będą umieli. A ja, rozumiesz, mam powody.

Weź mi jeszcze raz opowiedz, jak to było.
Zaprosił mnie, sołtys jeden, do tego swojego Chobielina. Zjadłem, przespałem się, rano sam wsiadł do auta, na lotnisko do Bydgoszczy mnie odwiózł. Już mam wysiadać, a ten mi wręcza rachunek odręcznie wypisany: kolacja 250, wino osobno 200, nocleg 400, transport na lotnisko 180.

Zapłaciłeś sknerze?
A co miałem zrobić? Ale, myślę, czekaj no, ja cię przyskrzynię. Więc jak teraz mam te rachunki za jego pizze od BOR-u...

Ile tego było?
W sumie 60. Regularnie. To myślę sobie: oho, Grzesiu mu nie popuści za tego żulika, pójdę, pokażę, co mam...

Możesz być pewien: ja ci to zapamiętam. Czekaj, to ile w sumie wyszło?
Ale czego?

No za ten Chobielin. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Czy to prawda, że Macierewicz chce, żeby gen. Jaruzelski był nie tylko zdegradowany, ale też rozstrzelany?".

JOANNA SENYSZYN, *była eurodeputowana SLD, na Twitterze*

eprasa.pl 990798db5f

Boje Lechitów

fot. Jerzy Gumowski

Jutrzejsze Święto Wojska Polskiego skłania do nostalgicznych wspominków o wielkich triumfach polskich wojsk. Kircholmowo–Beresteczkowo–Rokitnowo–Somosierskie, Orsza 1514, Wiedeń 1683, Warszawa 1920, et cetera. Sięgając dalej w głąb, ku *„mrokom Średniowiecza”*, możemy czcić Cedynię 972 jako pierwszy duży zwycięski bój. Ale czemu mielibyśmy się tak ograniczać, czy nie lepiej sięgnąć jeszcze głębiej w otchłań Czasu, powiedzmy: jakieś półtora tysiąca lat głębiej niż Cedynia Czcibora, brata Mieszkowego? Toż w roku 529 przed Chrystusem, na rozległych stepach scytyjskich, perskie wojska Cyrusa II Wielkiego zostały *„wybite do nogi”* przez koalicję, której trzonem były hufce słowiańskich Lechitów. A. D. 513 p.n.e. kolejny perski *„król królów”*, Dariusz I Wielki, zaatakował Lechistan, jednak nasi dali mu wycisk i pogonili precz. Roku 58 p.n.e. nasz król Lech III stoczył u brzegów Renu walną bitwę z legionami Juliusza Cezara. Pięć lat później (53 p.n.e.) Lech III rozgromił pod Karrami (Carrhae) rzymskie legiony Krassusa. 9 roku naszej ery Leszek IV (następca Lecha III) unicestwił pod dzisiejszym Augsburgiem *„Marsowy Legion”* pretora Titusa Enniusa i trybuna Warusa Warro, więc pole tej bitwy zwano odtąd *„Lechfeld”* (Pole Lecha), a przepływającej blisko rzece dano nazwę: Lech. Tego samego roku (9 n.e.) głośna bitwa w Lesie Teutoburskim (anihilacja rzymskich legionów Kwintyliusza Warusa) zakończyła się triumfem nie Germanów (jak dawniej pisano), tylko Słowian Lecha IV Uznanego. W latach 405–406 północną Italię pustoszyły lechickie szeregi króla Radgoszcza, a w roku 892 wojska króla Lechii, Wrocisława, czyniły to samo na terenie Wielkiej Morawy. Wreszcie roku 897 dwie armie polskie (jedną dowodził król Lech X Dzielny, drugą jego hetman, Semirad Starża herbu Topór) zdusiły represyjnie (bitewnie) bunt książąt kaszubskich, pomorskich i połabskich. Słowem: jest co świętować każdego 15 sierpnia!

Skąd zaczerpnąłem powyższe informacje wojenne? Ano z wydanej przez szacowną jeszcze niedawno firmę edytorską Bellona książki Janusza Bieszka **„Słowiańscy królowie Lechii”**. Skąd natomiast autor tej książki je wziął? Ano z *„kroniki słowiańsko–sarmackiej”* krakowskiego biskupa Prokosza, który miał ją pisać u schyłku X wieku. Co prawda poważni historycy polscy od dwustu lat uważają *„kronikę Prokosza”* za apokryf, czyli za oczywiste/ordynarne fałszerstwo, więc się nią zupełnie nie interesują (nawet jej nie wzmiankują), lecz panu Bieszkowi wcale to nie przeszkadza, bo uważa on negowanie owego tekstu za kontrpolski spisek cudzoziemców (głównie Germanów) i antyojczyźnianych renegatów — dla niego mniemany tekst Prokosza to świętość patriotyczna. Wielce osobliwa, chciałoby się rzec: rewolucyjna tout court. Tekst ów bowiem mówi, że już w pierwszej połowie XVIII stulecia przed Chrystusem na terenie środkowej Europy istniało mocarstwo zwane Lechią alias Imperium Lechitów. Jego władcy (Bieszk wymienia kilkunastu, różnych Alanów, Filanów, Kodanów) gromili na całym kontynencie kogo popadło, żenili się blaskomiotnie (Juliusz Cezar został szwagrem Lecha III, bo ten poślubił siostrę wielkiego Rzymianina), ich imionami zwano europejskie grody, góry, rzeki, przylądki, itd., itp. Wyłożone nam to jest przez pana Bieszka na prawie 300 stronach językiem trochę koślawym (*„z powodu nieuznania zwierzchnictwa króla przez książęta prowincji”*), ale za to twardym, bezdyskusyjnym, znamionującym pewność siebie autora stuprocentową. Niestety: cała ta książczyna — tak, tak, panie Bieszk — to kupa

∞

Andrzej Niemojewski
*(wiersz: **„Kiedy kłamią”**):*
„Na fałszywych miar łańcuchu”

∞

bełkotliwej demagogii, kuglarskiego uwiarygodniania bzdur i sofistycznego hagiografowania apokryfu z XVIII wieku.

Twórcą tej mistyfikacji był zawodowy fałszerz dokumentów Przybysław Dyamentowski (1694–1774), człowiek wprost maniakalnie (takie hobby) fałszujący co tylko się dało. Specjalizował się w fałszerstwach genealogicznych, heraldycznych i historiograficznych. Wincenty Ogrodziński: *„Pozostawił po sobie w spadku całą skrzynię sfałszowanych papierów”* (1948). Łatwowierni dawali się nabierać na te papiery, gdyż Dyamentowski był świetnym szperaczem (łuskał ciekawostki z mało znanych pism polskich i cudzoziemskich, penetrował biblioteki klasztorne i prywatne), a nadto biegle operował łaciną, vulgo: warsztat miał (jak to u fałszmistrzów) bez zarzutu. Swoim *„opus magnum”* (*„kroniką Prokosza”*) dołączył do światowej pierwszej ligi mistyfikatorów. Notabene: niedawno apokryf ten został wznowiony drukiem jako autentyk (również Bellona kompromitująca się dla zysku); wcześniejsze wydanie było z roku 1825, później przez prawie 200 lat nikt się nie wygłupiał.

Fałszowanie literatury (każdej, zarówno naukowej, jak i tzw. *„pięknej”*) stanowiło pasję ludzkości zawsze, lecz dla porównania z mistyfikacją Przybysława Dyamentowskiego adekwatne mogą być nie tyle rymy celtyckie (fałszywe) Osjana czy późnośredniowieczne ballady (też fałszywe) Chattertona, ile raczej głośne akty prawne i religijne lub analizy/komentarze niby to faktograficzne, jak **„Akt darowizny Konstantyna”**, **„List kapłana Jana”** (o cudownym chrześcijańskim mocarstwie na Dalekim Wschodzie), traktaty Pseudo–Dionizego Areopagity (rzekomego ucznia św. Pawła), kontrjezuickie **„Monita secreta”** i kontrżydowskie **„Protokoły mędrców Syjonu”**, fałszywe listy Pascala (pichcone przez Vrain–Lucasa na dowód, że Pascal wcześniej aniżeli Newton odkrył prawo grawitacji), fałszywe listy Lincolna do kochanki (spreparowane przez dziennikarkę Wilmę Minor) i fałszywe pamiętniki Hitlera (którym zaufał tygodnik **„Stern”** oraz mnóstwo historyków), wreszcie dwa fałszywe manuskrypty filologa Vaclava Hanki (**„Rękopis kralodworski”** i **„Rękopis zielonohorski”**) mające uświetniać czeską przeszłość mediewalną. Było takich apokryfów od groma, a współczesną ich emanacją są fałszerstwa pseudoreporterów. Tu królem farmazonów był pupil Salonu, agent KGB i szpicel SB, Ryszard Kapuściński, który na kartach swej sławnej **„Wojny futbolowej”** zmyślił (podobnie jak w **„Cesarzu”**) większość wydarzeń, łącznie z puentującym dramat samobójstwem 18–letniej Amelii Bolanios (badacze stwierdzili później, że nic takiego nie miało miejsca, i że dziewczyna w ogóle nie istniała!).

Wróćmy ku wersetom pana Bieszka. To ekonomista z zawodu, a popularyzator bzdur z powołania. Samorealizuje się jako historyk–amator. Najpierw był *„ufologiem”*, by następnie, gwoli kochanego grosza, przejść od *„paleoastronautyki”* (sztandarowe dzieło: **„Cywilizacje Kosmiczne na Ziemi”**) do tzw. *„turboslawizmu”*, czyli do parascjentycznego epatowania rodaków kilkutysięczną starożytnością ich rzekomych przodków, co stało się modne dzięki badaniom genetycznym (DNA szczątków, haplogrupy, etc.) i co pasjonuje dziś środowiska *„narodowe”*, *„endeckie”* (vide **„Najwyższy Czas!”**) itp. Łatwość uprawiania obecnie takiej kuglarskiej quasi–nauki ma jedno źródło: internet (czytaj: Wikipedia, wielki śmietnik prawd, półprawd, zmyśleń, oszczerstw, *„jaj”* i celowych fałszywych tropów). Internet dostarcza tu *„pokarmu”* oraz *„paliwa”*, lecz równocześnie *„bata”* na cwaniaczków i frajerów (Bieszk już tego zakosztował, bo internetowi komentatorzy zwą go per: *„autor pseudohistorycznych książek”*, a jego płody określają jako *„bieszkowe wysrywy”* i *„gównoksiążki”*). Końcowy wniosek tego felietonu jest pesymistyczny par excellence: ekspansja *„Sieci”* będzie mnożyła zastępy pseudohistoryków epatujących czym tylko się da, a pazerni edytorzy będą tę pulpę drukować bez skrupułów. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 990798db5f

ZAPROJEKTUJ Z NAMI POLSKI PASZPORT 2018

GŁOSUJ

Z okazji 100. rocznicy odzyskania Niepodległości stwórz razem z nami nowy paszport, który każdy z nas będzie nosił z dumą.

www.zaprojektujpaszport.gov.pl

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl 990798db5f